



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

STYCZEŃ - LUTY 1 (90) 2006

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



*Zimowa panorama Lwowa II połowy XVIII wieku (fragment).
Z. Rozwadowski i S. Janowski, Lwów, 1929 r.*

Spis treści

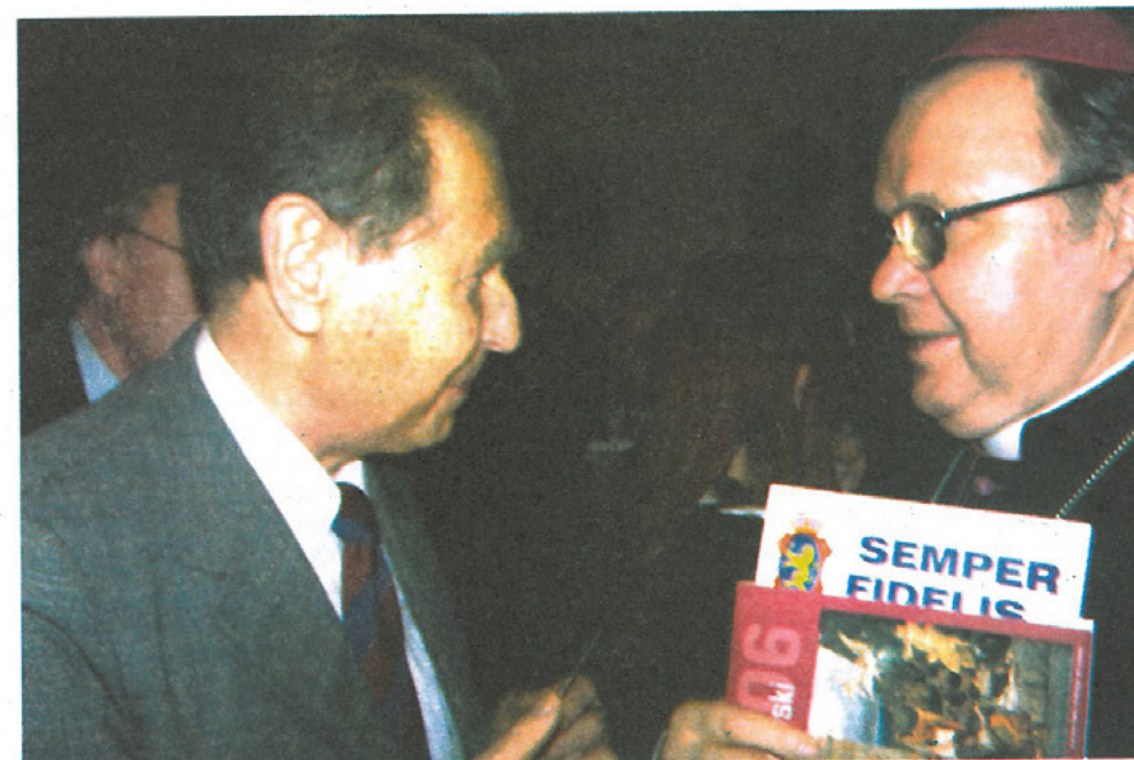
Życzenia kresowian dla Metropolity Wrocławskiego	1
Kazimierz Wesołowski – Refleksje na koniec 2005 r.	1
Helena Wiewiórska – Kresowanie na obczyźnie (II)	3
Aleksander Smoliński – Bez „ognia i miecza” – część 5 (II) – Brzeżany	6
Piotr Marek Stański – Teatr Lwowski w Wiedniu i Paryżu	11
Piotr Marek Stański – Rodzina Hellerów: Mira i Ludwik oraz Irena Bohuss	12
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	14
Maria Pawłowiczowa – Wojenne losy księży na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej	20
Edward Poskier – Dzieje lwowskich browarów – czas lwowskich piw	22
Tadeusz Tomkiewicz – Tryptyk Kresowy	24
Zbigniew Kabata – Sztandar – wiersz	28
Józef Zajac – Byliśmy w sanktuariach Maryjnych na Kresach	29
Zbigniew Umański – „Z Kleparowa w świat szeroki”	29
Kto jest autorem tych akwarel?	32
Kiedy zostały namalowane?	33
Piotr Franków – 11 listopada 2005 r. w Gorzowie Wielkopolskim	34
Krystyna Pustelnik, I. Kopeć – Udań pięciolecie	37
Mieczysław Kostur – VI Powiatowy Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej Świdwin 2005	38
Halina Bogucka – Konkursy piosenki i poezji lwowskiej w Koszalinie	40
Pamiętnik pociągu pancernego „Gen. Iwaszkiewicz”. Rok 1920 (II)	41
Bogumiła Rajca – 60 lat wypędzenia Polaków z Kresów Wschodnich	45
Kazimierz Wesołowski – Śladem lwowskiego świętego	49
Barbara Ruszel-Szymańska – Wspomnienia o moich rodzicach Jadwidze i Mieczysławie Szymańskich (od czasów ich zamieszkania we Lwowie)	50
Danuta Braty – Święty Mikołaj u Polaków na Kresach	52
Anna Kołodrubiec – Ocalić od zapomnienia – pochodzenie współczesnych Oleśniczan	53
Mariusz Oberc – Gwiazda Betlejemka ponownie zawitała do Przemyśla	57
Zbigniew Żyromski – Tajemniczy sarkofag w podziemiach lwowskiego kościoła jezuitów	58
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Tarnopolanie – Śp. dr Irena Berg	60
Jerzy Duda – Śp. ks. prałat Kazimierz Bochenek (7 VII 1914 – 12 XI 2005)	60
Feliks Cały, Bolesław Kierski, Wacław Ogiński, Tadeusz Zachariasiewicz – Śp. prof. Bolesław Broś (16.11.1921 – 26.01.2006)	61
Zarząd Główny TMLiKPW – Śp. prof. zw. dr inż. Bolesław Broś	62
Zarząd TMLiKPW Oddział w Szczecinie – Śp. Kazimierz Kaźmierczyk (1920-2005)	63
Anna Makowska-Cieleń – Wspomnienia o kresowiance Ludwinie Nowickiej (1929-2005)	63
Nowe książki	64
Informacja	64
Lista Ofiarodawców	65

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe
Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie placimy honorariów autorskich.

Życzenia kresowian dla Metropolity Wrocławskiego



Na tradycyjnym Spotkaniu Oplatowym wrocławskich dziennikarzy z arcybiskupem Marianem Gołbiewskim, metropolitą Wrocławskim, red. Zbigniew Umański rzecznik prasowy i członek Zarządu Głównego TMLiKPW, złożył Jego Ekszelencji serdeczne życzenia noworoczne od kresowian-członków Towarzystwa oraz wręczył Kalendarz Lwowski 2006 i świąteczny numer „Semper Fidelis”. Jego Ekszelencja odwzajemnił się życzeniami, które za pośrednictwem „SF” przekazujemy wszystkim kresowianom.

Kazimierz Wesołowski

Refleksje na koniec 2005 roku

Dokonując analizy wydarzeń 2005 roku, które w sposób istotny zdominowały życie kraju, kiedy siadając do świątecznego stołu w rodzinnym kręgu lub w gronie przyjaciół, uciekaliśmy jak co roku do czasów naszej młodości, którą przeżyliśmy na ukończonych Kresach. W tych świątecznych dniach kończących rok rozmyślaliśmy o tych rodakach, którzy w swoim życiu nie utracili małej Ojczyzny – miejsca, gdzie z łaski Boga ujrzeli światło dzienne, gdzie rośli i dojrzewali, to oni mimo najlepszych chęci nie rozumieją nas kresowian, którzy ją stracili...

Ostatni w polskim Lwowie Sylwester 1938/39 roku był jak zwykle radosny. Mimo pomruków zbliżającej się wojny kresowianie powitali go radośnie. Postaraliśmy się wszyscy o rok z wyjątkiem pań – grzmiał o północy na transmitowanym przez Polskie Radio balu sylwestrowym Kazimierz Wajda, sprawozdawca radiowy i nieoceniony Szczepcio z „Wesołej Lwowskiej Fali”. Wśród licznych karnawałowych balów do najświetniejszych należał bal oficerów sławnego czternastego Pułku Ułanów Jazłowieckich, zawsze w dniu 1 lutego, który był dniem imienin Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Miejsce balu były sale hotelu „George” przy

placu Mariackim. Gospodarzem balu był pułkownik Edward Godlewski, a wśród bawiących znajdował się też major Władysław Nowacki, uczestnik zmagania z Ukraińcami w 1918 roku i twórca słów słynnej pieśni (muzyka Jan Dłutek) MODLITWA ULANA JAZŁOWIECKIEGO. Nikt nie przewidział tego, co przyniesie wojna. Nastął wrzesień – ciepły, nadzwyczaj pogodny, kolorowy pięknymi barwami jesieni. I stało się, wojna stała się rzeczywistością. Pod Wólką Węglową w obronie stolicy zginął major W. Nowacki, zaś pułkownika E. Godlewskiego rozstrzelali Niemcy. Wśród żyjących nie ma też Kazimierza Wajdy, któremu w latach pięćdziesiątych nie na Łyczakowie a na krakowskich Rakowicach wybrano miejsce wiecznego spoczynku.

W roku ubiegłym przypadła 80 rocznica ustanowienia w Warszawie Grobu Nieznanego Żołnierza, w którym spoczął wzięty z Cmentarza Orląt Lwowskich obrońca Lwowa. Czy dziś po osiemdziesięciu latach wszyscy Polacy wiedzą, jaki żołnierz spoczywa w najbardziej znanym polskim grobie? Niestety, okres PRL-u zrobił w świadomości spustoszenie. Owoce tego okresu to: dyskoteka na placu Piłsudskiego, brak elementarnego szacunku dla Grobu i dla wartowników, a nawet cham-

skie, prowokacyjne ekscesy jak opluwanie płyty i obrzucanie wartowników wulgarnymi słowami. Grób Nieznane- go Żołnierza jest miejscem świętym, które należy otoczyć szczególną opieką. Należy też pamiętać o przywróceniu temu miejscu dawnej świetności odbudowując Pałac Saski.

Uczciliśmy w ubiegłym roku 60-lecie wyzwolenia Auschwitz-Birkenau, pamiętaliśmy też, że w 2005 roku minęło 65 lat od straszliwych aktów prześladowania ludności polskiej pod okupacją bolszewicką. Trzeba nam upominać się o prawdę i mówić o ogromnych cierpieniach i krzywdach, których doświadczyli nasi rodacy na „niehumanitarnej ziemi”. Należy pamiętać, że od 10 lutego 1940 r. do czerwca 1941 r. w głąb Związku Sowieckiego trafić mogło nawet do dwóch milionów Polaków. Rok 2005 domaga się od nas Polaków, abyśmy pamięcią i sercem otoczyli to wszystko, co stało się 65 lat temu. Rok Golgoty Wschodu, Rok Katyński – rok pełen dat, które mrozą krew w żyłach. Pod koniec 2004 roku Instytut Pamięci Narodowej wszczął śledztwo w sprawie wymordowanych oficerów wojska i funkcjonariuszy policji. Pozbawiono ich życia w Katyniu, Charkowie i Twerze, każdego strzałem w tył głowy. Tragiczne wydarzenia w Związku Sowieckim są martyrologium polskim, które nie może być zapomniane. Pamięć tych tragicznych wydarzeń zachowajmy dla przyszłych pokoleń.

W 2005 roku przeżyliśmy z żalem odejście Ojca Świętego Jana Pawła II, ale jednocześnie radościliśmy się powszechnym uznaniem jego świętości. Ojciec Święty niemal ostatnim odruchem swego serca na dzień przed swoim odejściem, 1 kwietnia, ofiarował i pobłogosławił Korony dla Jezusa i Maryi z Jasnogórskiego Wizerunku w Grotach Watykańskich. Radować musi fakt, że Papież uczynił to w dniu 349 rocznicy Ślubów Lwowskich Króla Jana Kazimierza. 2 kwietnia 2005 r., w dniu odejścia Jana Pawła II do wieczności, w Kaplicy Polskiej w Grotach Watykańskich kardynał Marian Jaworski ze Lwowa ukoronował skronie Dzieciątko Jezus i Maryi. Należy tu wspomnieć, że jego poprzednik na lwowskiej stolicy – dziś już św. abp Józef Bilczewski otrzymał od papieża Piusa X w 1910 r. koronę dla Jasnogórskiego Wizerunku (poprzednie skradziono). **Nie zapomnijmy drodzy lwowiacy o przypadającej za kilka tygodni 350 rocznicy Ślubów Króla Jana Kazimierza składanych w naszej Lwowskiej Bazylice Archikatedralnej przed Obliczem Matki Bożej Łaskawej.**

Radujmy się kochani lwowiacy z faktu, że w ubiegłym roku powiększyło się grono lwowskich świętych. Papież Benedykt XVI kanonizował dwóch Polaków, bł. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, rzecznika poprawy stosunków polsko-ukraińskich oraz bł. ks. Zygmunta Gorazdowskiego, opiekuna lwowskiej biedoty, zwanego „księdzem dziadów”. Były to pierwsze kanonizacje za pontyfikatu papieża Benedykta XVI. Jak się dowiadujemy, kończy się opracowywanie dokumentacji związanej z procesem beatyfikacji męczennika z czasów II wojny światowej ks. Błażeja Nowosada z Potoka Górnego na terenie obecnej diecezji zamojsko-lubaczowskiej. Kapłan został zamordowany w 1943 r. przez Ukraińców z niemieckiej jednostki SS Galizien. Trzeba mieć nadzieję, że lista kandydatów na ołtarze, zwłaszcza księży i sióstr zakonnych, którzy zostali bestialsko zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich, znacznie się

powiększy. Kresowanie na to liczą. Zaś wszystkim tym, którym marzy się wymazanie przeszłości z pamięci naszego narodu, trzeba przypomnieć, że polska ziemia to ziemia grobów, ziemia, w którą przez stulecia wsiąknęło morze łez, krwi, poświęcenia i oddania Ojczyźnie.

I wreszcie po długich targach i staraniach ministra Andrzeja Przewoźnika tysiące Polaków z całego świata mogło uczestniczyć w uroczystości otwarcia i poświęcenia zbyszczeszczonych przed laty Cmentarza Obrońców Lwowa, zwanego Cmentarzem Orłąt Lwowskich. Mnóstwo flag polskich, sztandarów, proporców, barwne stroje ludowe, mundury wojskowe i harcerskie – wszystko to stworzyło atmosferę wielkiego polskiego święta. Odetchnęliśmy z ulgą. Wydawać by się mogło, że po „rewolucji pomarańczowej” i udzielonym przez nas narodowi ukraińskiemu poparciu, otwarciu Cmentarza Orłąt to znak pojednania. Ale oto w listopadzie 2005 r. komisja pochówków wojskowych Rady Miasta Lwowa zdecydowała o formalnym zwróceniu się do Komitetu Wykonawczego RML z wnioskiem o usunięcie symboli militarnych z Cmentarza Orłąt. Dowodem na to jest miecz-szczerbiec wyrzeźbiony na płycie głównej, którym król Bolesław Chrobry uderzał w kijowską „złotą bramę”. Usunięcia wszystkich symboli militarnych domaga się przewodniczący komisji Wasyl Biłous oraz partia „Batkivszczyzna”. Kiedy biskupi polscy i biskupi Ukrainy obrządku wschodniego wypowiedzieli słowa: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie” powiał nowy duch w stosunkach polsko-ukraińskich. Prosimy Stwórcę, by ci, którzy „polegli byśmy żyli w wolności”, wypraszał u Boga pokój i pojednanie dla obydwu narodów. Jednak to wszystko, co się nadal wokół Cmentarza Orłąt dzieje, nie wróży niczego dobrego.

Jest we Lwowie jeszcze jeden cmentarz polskich żołnierzy, który nie jest odwiedzany, a na którym uprawia się ziemniaki i jarzyny. Spoczywają na nim obrońcy Lwowa z 1939 r. Ten opuszczony cmentarz, na którym spoczywa 900 naszych żołnierzy znajduje się na końcu ulicy Warszawskiej. To z tego miejsca 19 września 1939 r. wieczorem ruszyło polskie kontrnatarcie na Niemców, by otworzyć drogę oddziałom gen. Sosnkowskiego idącym z odsieczą do Lwowa. Do zażartego boju doszło w lasach Hołoska Wielkiego, Brzuchowic i Zboisk. Niemcy nazwali ten las Toten Wald (las śmierci). Pamiętam te straszne dni. Artyleria niemiecka ostrzeliwała Żółkiewskie i wzgórza Wysokiego Zamku. Ostrzał spowodował szereg pożarów m.in. płonęła rafineria, fabryka wódek Baczewskiego, zakłady spirytusowe oraz tabor kolejowy na dworcu Podzamcze.

Środowisko kresowe pożegnało w ubiegłym roku Stanisława Stommę, wybitnego publicystę i posła na Sejm z Katolickiego Koła „Znak”, który jako jedyny poseł wstrzymał się od głosu podczas głosowania poprawek do Konstytucji PRL w 1976 r. Tą decyzją skazał się na śmierć polityczną. S. Stomma był dzieckiem Kresów, urodził się w 1908 r. w Szacunkach na Wileńszczyźnie.

Na zawsze odeszła też Stefania Woytowicz, wielka polska śpiewaczka, która na świat przyszła 8 października 1922 r. na Kresach w Oryniu koło Kamieńca Podolskiego.

Na zakończenie tych ubiegłorocznych wspomnień należy poinformować, że na przełomie roku 2005/2006

tarnowski zespół muzyczny GLORIA wielki entuzjasta historii Lwowa i Kresów dał dwa koncerty pt. NA KOLEJ-DOWĄ I LWOWSKĄ NUTĘ. Pierwszy odbył się w sali Klubu Inteligencji Katolickiej, zaś drugi w sali św. Stanisława tarnowskiej parafii NSPJ. Niezwykle gorąco publiczność przyjęła utwór Emila Hliba „Pastoraika dla Ciebie Lwowiaku”. W trakcie koncertów wiceprzewodniczącą tarnowskiego TML-u inż. Edward Kupiniak bardzo

Helena Wiewiórska

Kresowanie na obczyźnie (II)

W czasie mego pobytu w Kanadzie u mojej rodziny w październiku ubiegłego roku, zadzwoniła moja serdeczna koleżanka z dawnych lat informując mnie, że w niedalekiej Mississauga przy polskiej parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego odbędzie się uroczyste spotkanie Klubu Seniora, na które ma zarezerwowane dwa bilety. Irena zapewnia mnie, że spotkam tam wielu Kresowian. Ze wzruszeniem spotykam się z Ireną (również Kresowianką) po czterdziestu latach w hallu Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II, gdzie odbywają się spotkania seniorów i chociaż nieubłagany czas poczynił zmiany w naszym wyglądzie, rozpoznajemy się natychmiast i po chwili rozmowy rozumiemy jak dawniej. Irena przedstawia mnie wielu osobom, także władzom Klubu. Przemila wiceprezes Klubu pani Kazia Działkowiec wita mnie serdecznie.

Ponieważ jest to uroczystość dożynkowa, więc „ten sobie mówi, a ten sobie mówi, pełno radości i krzyku”, dowiaduję się jednak, że Klub Seniora powstał w 1991 roku z inicjatywy proboszcza tutejszej parafii śp. ks. Stanisława Bąka i aktywnych parafian, którzy Klub utworzyli. Parafia licząca 11478 rodzin jest największą polską parafią w Kanadzie. Klub liczy około 260 osób i ze względu na warunki lokalowe trzeba było ograniczyć ich przyjmowanie, a celem Klubu jest wzajemna pomoc, propagowanie kultury i historii polskiej, podtrzymywanie polskich tradycji narodowych. Obecnym prezesem Klubu Seniora jest dr habilitowany Edward Jerzy Krynicki. Funkcję tę pełni od roku 1998, a od początku powstania Klubu był zaangażowany w jego działalność i był członkiem Zarządu.

Większość seniorów Klubu pochodzi z Kresów Wschodnich, którzy po zsyłce na Syberię i opuszczeniu tej niehumanitarnej ziemi z Armią Andersa dostali się po wojnie do Anglii, potem do Kanady, druga grupa przyjechała tu po wojnie z Niemiec i trzecia to emigranci z Polski prześladowani przez rząd komunistyczny PRL-u.

Pierwszy prezes Klubu Seniora pan Jan Matuszek pochodzi z woj. lwowskiego. Urodzony w Lubczy Królewskiej, pow. Rawa Ruska, gdzie rozpoczął swoje średnie wykształcenie. W czasie wojny uciekają do Tomaszowa Lubelskiego, skąd w 1941 roku zostaje wywieziony na roboty do Niemiec. W Niemczech zdaje maturę i zaczyna wyższe studia.

Do Kanady przybył w 1950 roku i tu kończy studia otrzymując tytuł inżyniera budownictwa. W branży budowlanej pracuje aż do emerytury zostając dyrektorem projektów w firmie projektowo-budowlanej. Po przejściu

ciekawie opowiadał o swoich wyjazdach na polskie Kresy, jak i o trudnej sytuacji zamieszkałych tam Polaków.

Zamykając wspomnienia z ubiegłego roku mam nadzieję, że pamięć o bohaterstwie Orłąt i gehennie rodaków nie będzie tylko celebrą poszczególnych rocznic, ale zobowiązaniem do czynów wielkich, odważnych jak te, które dały siłę i moc lwowskim Orłutom. □

na emeryturę postanawia pracować społecznie. Wraz z proboszczem parafii Maksymiliana Kolbego ojcem Stanisławem Bąkiem zakładają Klub Seniora. Klub liczył na początku 22 osoby, a pan Jan Matuszek został jego prezesem i funkcję tę pełnił przez 6 lat, a jego żona Jadwiga była sekretarką Klubu i prócz tej funkcji poświęcała swój czas telefonicznie udzielając porad będącym w potrzebie seniorom. Klub szybko się rozrastał, dostał dotacje z rządu. Pan Jan został mianowany dyrektorem Fundacji Maksymiliana Kolbego i jako kierownik komitetu budowlanego prowadził budowę projektu Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II. Budowa została zakończona w 1994 roku.

Moim rozmówcą jest również pan Leon Popławski wywieziony z miejscowości Żabinka, pow. Kobryń, na Polesie 10 lutego 1940 roku do Archangielska z rodzicami i trzema siostrami. Ojciec i 18-letnia siostra pracują w lesie, mama umiera z głodu ratując dzieci.

Po układzie Sikorski-Majski ojciec przyłącza się do Wojska Polskiego, niestety w Kazachstanie umiera na tyfus. Dzieci z Wojskiem Polskim dostają się do Persji, Janusz wstępuje do Junaków w Pahlevi, z Junakami wyjeżdża do Teheranu i tu przez pomyłkę nazwisk zostaje wysłany do Isfahanu, gdzie przebywa w Zakładzie nr XV. W lutym 1943 roku wraz z grupą dzieci wyjeżdża do Unii Południowej Afryki do Domu Polskich Dzieci w Oudtshoorn i tu przebywa do 1945 roku. W lutym 1945 roku w czasie łączenia rodzin dostaje się do obozu Tengeru koło równika i tu spotyka się z trzema siostrami i pozostaje do roku 1948.

W 1948 r. wyruszają w podróż do Kanady transportem przez Włochy, gdzie dowiadują się, że Kanada ich nie przyjmie. Tym, którzy nie chcą wracać do Polski proponują pracę na farmach we Francji lub w kopalniach w Anglii. Tych którzy nie korzystają z tych propozycji wysyłają do obozów w Niemczech pod pretekstem wyjazdu stamtąd do Kanady.

Oczekiwanie i staranie o wyjazd do Kanady trwają jednak kilka miesięcy. Panu Leonowi udaje się wyjechać pierwszym transportem i przybywa do Kanady w sierpniu 1948 roku.

Grupę 18-osobową umieszczają na farmach na Ontaryjskich Kaszubach w okolicy Renfrew. Praca na tamtych farmach była bardzo ciężka – ściąganie ogromnych kamieni z pól (o Polakach na Ontaryjskich Kaszubach więcej w następnym numerze). Pan Leon pracował ko-

lejno u Niemca, Polaka i Irlandczyka. Po skończeniu rocznej umowy o pracę na farmie trzeba było mieć zezwolenie na pobyt w Kanadzie z urzędu w Ottawie. Po wystaraniu się o takie zezwolenie pan Leon wyjeżdża do Toronto do swych siostr, które były zatrudnione jako pomoce domowe.

Pan Leon wykonywał w Toronto różne prace i nadal tutaj mieszka. Należy do Klubu Seniora, z czego jest bardzo zadowolony.



Stowarzyszenie Kombatantów w Toronto (X 2005 r.)

Po występach artystycznych w czasie uroczystości dożynkowych w Klubie Seniora udaje mi się porozmawiać z panią Stanisławą Kalczak, wywiezioną do tajgi



Stanisława Kalczak.
Hall Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II.
Mississauga (X 2005 r.)

syberyjskiej 10 lutego 1940 roku z rodzicami, bratem i 5 siostrami z miejscowości Kociubryczyk, woj. tarnopolskie. Przetrwali nieludzkie warunki na Syberii do układu Sikorski-Majski. Podczas tułaczki w oczekiwaniu na transport do Persji, płyną do kolchozu barkami w niewyobrażalnych warunkach. Dwie najmłodsze siostry Stasi umierają, złożone do ziemi na brzegach Amu-Darii. Brat wyjeżdża z kolchozu do Guzaru do organizującego się Wojska Polskiego. Kiedy wreszcie są w Krasnowodsku Stasia z ojcem wnoszą chorą mamę na statek. Z Pahlevi są skierowani do Teheranu, następnie do Ahwazu i stąd do Indii w 1943 roku do Osiedla Polskiego w Valivade koło Kolhapur. Tu przebywają do roku 1947.

Po wojnie przyjeżdżają tu agenci namawiać na wyjazd do Polski. Po wielkich wahaniach Stasia z mamą wyjeżdżają do Polski w czerwcu 1947 roku. Tu jadą do Stryja w woj. poznańskim, gdzie nie mogą dostać pracy i wyjeżdżają na Dolny Śląsk do Oleśnicy, a następnie do Zawidowa koło Zgorzelca, gdzie Stasia wychodzi za mąż w 1949 roku.

Kiedy na urlop przyjeżdża brat, który po wojnie z Anglii (służył w lotnictwie) wyemigrował do Kanady, postanawiają że Stasia z mężem, dziećmi i mamą wyjeżdżają do Kanady w roku 1964. Pani Stasia mieszka dotychczas w Toronto działając w Klubie Seniora w Mississauga. Była w Zarządzie sekretarką przez 4 lata, obecnie prowadzi grupę taneczną dla seniorów. W 1985 roku straciła męża, ma dwie córki, które mówią po polsku, czują się Polkami. Młodsza jest znanym architektem.

Pani Stasia pomimo tylu bolesnych przeżyć i pobycie ponad 30 lat w swojej drugiej ojczyźnie Kanadzie, kocha Polskę, odwiedza ją często z córkami pokazując im Kraj Ojców. Działając w Klubie Seniora zachowuje pogodę ducha, czuje się młodo i tak też wygląda.

Kończy się uroczystość dożynkowa w Klubie Seniora, umawiam się z Kresowiakami na przyszły wtorek, a z Ireną mamy jeszcze okazję zwiedzić Centrum Kultury Polskiej imienia Jana Pawła II i podziwiać jego rozmach organizacyjny, który jest naprawdę imponujący. Jestem zachwycona działalnością klubów, szkół, piękną biblioteką im. ks. Stanisława Bąka. Szkoły – szkoła matematyki, szkoła rysunku i malarstwa im. Jana Matejki, kursy językowe, cykle wykładów z historii i teologii moralnej, klubu sportowe – dżudo, karate, kręgielnia, klub brydżowy, modelarnia – Model Flying School, kółko teatralne, zespół taneczny „Lechovia”, orkiestra dęta, sala Rycerzy Kolumba, kawiarnia czynna dla wszystkich w niedzielę. Zapewne nie wymienię tu wszystkich kół i klubów wspaniale zorganizowanych i rozmieszczonych w Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II przy parafii katolickiej w Mississauga. Jest to imponujący dorobek Polaków świadczący o niezwykle zmyśle organizacyjnym i dynamizmie społeczności polskiej. Umiały to docenić władze miasta.

U nas panuje moda na akcentowanie naszych wad i negowanie naszych zalet. Media i polskojęzyczna do-
brze prosperująca prasa niszczą nasze autorytety i potrafią butnie określać nas jako nietolerancyjny ciemnogród, zaścianek i Bóg wie jeszcze jak... Na to trzeba

reagować, bo młodzi Polacy nie mając doświadczenia ulegają modnym trendom i wstydzą się swego patriotyzmu, który obecnie mylony jest z nacjonalizmem.

Irena jak zawsze uczynna i solidna w swoim domu w Oakville organizuje dla mnie spotkanie z Lwowianką panią Janiną Nocoń Górnicką wywiezioną 13 kwietnia 1940 roku do Semipalatyńskiej oblasti, wieś Petropawłowska, z mamą i rodzeństwem. Ojciec jako zawodowy wojskowy zatrzymany koło Tarnopola po wejściu Rosjan. Rodzina dostała od niego kartkę na początku 1940 roku, potem kontakt się urwał. Kiedy enkawudziści zabierali mamę z dziećmi zapewniali, że zawiozą ich do ojca. Tymczasem w Petropawłowie przetrzymywani są z miejsca na miejsce. Mama była ciągle chora, dzieci pracowały w polu – zbierały odchody bydła na opał. Po układzie Sikorski-Majski opuszczają we wrześniu kolchoz i jadą na południe. Trzy miesiące trwała tułaczka po Kazachstanie. Kiedy dojeżdżają do Górnego Uzgenu mamę zabrano do szpitala, a dzieci do Domu Dziecka. Dzieci ją odwiedzały, a mama zawsze wynosiła im kawałek chleba. Niestety mama umiera 24 XII w 1941 r. Pielęgniarki widząc dzieci, które przyszły odwiedzić mamę, nie mogą powstrzymać się od łez, kiedy muszą im oznajmić tę tragiczną wiadomość. Dzieci zabrano do Wojska Polskiego, ale wracają do Domu Dziecka. Dwunastoletnia Janka zdecydowała, że zostaną tutaj i były tu do 1945 roku.

Zastępca dyrektora Domu Dziecka lubiła grzeczną Jankę i pomogła przez swojego narzeczonego w załatwieniu papierów na wyjazd do Polski, o której Janka ciągle marzyła. Dojechali do Kowna, a z Kowna do Lwowa (na gapę). We Lwowie szukają ciotki, siostry ojca, wczesnym rankiem zatrzymują się przed domem ciotki, babcia jeszcze żyła. Umieściła dzieci w Domu Dziecka, który miał być wkrótce ewakuowany do Polski.

Przez Czerwony Krzyż odnajdują starszą siostrę, która była przy Wojsku Polskim jako sanitariuszka i wyjechała do Rumunii, a po wojnie mieszkała w Warszawie. Po spotkaniu z siostrą w Warszawie Janka wyjeżdża do Zakopanego, następnie do Łodzi, gdzie kończy liceum i pracuje w zawodzie nauczycielskim robiąc równocześnie studia zaoczne.

W 1966 roku wyjeżdża do Kanady, wychodzi za mąż, a w następnym roku rodzi się córka. Po 11 latach małżeństwa pani Janina zostaje wdową i nadal mieszka w Oakville ze swoją córką.

W następny wtorek – dzień spotkań Klubu Seniora, zajeżdżają po mnie do Ireny pp. Studzińscy, aby zabrać mnie do Mississauga, gdzie jestem umówiona z Kresowiakami. Wielki to dla mnie zaszczyt, że mogę rozmawiać z jednym z bohaterów książki O. Łucjana Królikowskiego „Skradzione dzieciństwo”. Pan Stanisław Studziński był wywieziony 10 lutego 1940 roku jako 4-letnie dziecko z rodzeństwem i mamą. W czasie choroby trafia do szpitala. Rozdzielony z mamą i rodzeństwem zabrany zostaje potem przez ks. Franciszka Plutę z Równego i z tą grupą sierot po układzie Sikorski-Majski dostaje się do Persji. Krótko przebywa w sierocińcu w Isfahanie i razem z księdzem Plutą dostaje się do osiedla dla polskich dzieci w Indiach, które zostało wybudowa-



Stanisław Studziński przy Centrum Kultury Polskiej im. Jana Pawła II. Mississauga (X 2005 r.)

ne dzięki Maharadży Jam Saheb w księstwie Navanagar. Książę Jam Saheb był przyjacielem naszego wielkiego patrioty Ignacego Paderewskiego (mieli obok siebie wille w Szwajcarii). Księcia wzruszył los polskiego narodu, dla polskich dzieci zaofiarował gościnę z dala od zawieruchy wojennej, w miejscowości Balachadi oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od Jamnagar wybudowano osiedle na tysiąc osób, a w Valivade koło Kolhapur polskie osiedle na pięć tysięcy osób.

Do Balachadi już od lipca 1942 roku przyjeżdżają polskie dzieci z przejściowego ośrodka w Bendrze koło Bombaju.

Funkcję komendanta osiedla pełnił ks. Franciszek Pluta. Z nim to przebywa tutaj również młody Stasio Studziński. Następnym etapem jest Afryka. Tu, w polskim osiedlu Tengeru pod Kilimandżaro Staś spotyka dwie swoje siostry – bliźniaczki Zosię i Józję, z którymi został rozdzielony na Syberii. W trakcie organizowania życia obozowego w Afryce ciągle przybywały nowe transporty dzieci z sierocińców. W każdym obozie sporządzano wtedy listy z nazwiskami przyjeżdżających, by mogli zgłaszać się ich krewni. Niekiedy po rozdzielaniu jeszcze w Rosji dzieci uznane za stracone odnajdywały się w sposób przypadkowy. Tak też było z rodzeństwem Studzińskich. Zosia i Józia dowiedziały się od koleżanek, że z transportem z Indii przyjechał chłopczyk o takim samym nazwisku. Kiedy udały się do baraku, aby sprawdzić czy to ich brat, zaczęły go dokładnie wypytywać. Kiedy okazało się, że to ich brat, wszyscy troje już się w obozie nie rozstawali. Pan Stanisław stracił dwóch braci, którzy umarli w Kazachstanie. W sierocińcu w Tengeru przebywają do roku 1949 tj. do likwidacji obozu. Potem już jako życiowa przystań jest Kanada, gdzie pan Stanisław zakłada rodzinę i żyje szczęśliwie w Oakville do tej pory z małżonką, którą również miałam przyjemność poznać.

Pan Romuald Wadziński, znany w Kanadzie polski inżynier konstruktor, specjalista konstrukcji szklanych, był wywieziony z Kresów z rodzicami i rodzeństwem do Aktubińskiej oblasti, rej. Martuk, kolchoz Budienowskaja. Ojciec umiera, Romuald zostaje z mamą i szóstką

rodzeństwa. Po układzie Sikorski-Majski dostają się do Kujbyszewa, gdzie zostają zarejestrowani na wyjazd do Iranu. Czeka. Niestety układ Sikorski-Majski został już zerwany. Dostają się na Ukrainę, gdzie umieszczają ich w domach po wysiedlonych Niemcach. Tu panuje głód i tyfus – mama umiera. Ktoś ze znajomych uciekł do Łomży i napisał list, chłopcy wyjeżdżają do Lwowa, gdzie zastają ogólny rozgardiasz. Najstarsza siostra załatwia papiery na wyjazd do Polski. Po wielu trudach dostają się do Warszawy.

Pan Romuald kończy szkołę podstawową i gimnazjum w Warszawie, następnie Politechnikę Warszawską i wyjeżdża do kombinatu Nowa Huta, gdzie pracuje jako specjalista kolejowy.

W 1976 roku na zaproszenie matki żony wyjeżdża do Kanady. Tu przekwalifikował się ze specjalisty inżyniera komunikacji kolejowej na inżyniera konstruktora, a jego dzieła mogłam podziwiać w Toronto.

Syn skończył studia, ożenił się z Polką, pracuje w Polsce, z czego pan Romuald jest bardzo zadowolony.

Pani Maria Bohatkiewicz pochodzi z okolic Głębokiego na Wileńszczyźnie. Rodzina była na liście do wywózki, ale dzięki Niemcom, którzy mieszkali w ich domu, nie zostali wywiezieni. Ojciec poszedł na front z Armią Kościuszkowską i po wojnie osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych w Gubinie. Tam przyjeżdża p. Maria z mamą i z bratem po otrzymaniu od ojca dokumentów na łączenie rodzin.

Po śmierci ojca wyjeżdżają do Krosna Odrzańskiego, gdzie p. Maria kończy szkołę podstawową i następnie średnią w Zielonej Górze.

Mama w tym czasie dostaje się do Kanady na zaproszenie siostry, do niej dołączają dzieci. I tak p. Maria mieszka z mężem do tej pory w Kanadzie.

Pani Anna Łopińska urodzona we Lwowie – mama była nauczycielką we Lwowie, ojciec Piłsudczyk w rezerwie, powołany do wojska w 1939 roku, jest internowany na Węgrzech w obozie Eger, następnie przetrzuty do Niemiec, gdzie przebywa w oflagu dla oficerów. Rodzina ucieka ze Lwowa na stronę niemiecką. Niestety w 1941 roku zostają wywiezieni do Niemiec na roboty. Pracują u Bauer'a.

Po wojnie w 1945 roku rodzina łączy się w Niemczech i zapada decyzja wyjazdu do Kanady.

Dwudziestoletni brat zapisuje się do pracy w kopalni złota na północy, następnie dołącza do niego rodzina.

Pani Anna w roku 1952 zdaje maturę, robi kurs rentgenowski i cały czas pracuje w swoim zawodzie. Przenoszą się do Saint Cathrines na południe Kanady. W 1965 roku umiera ojciec, a w 1980 mama, do końca wspominając Lwów.

Rodzice jako wielcy patrioci pilnowali, aby dzieci mówiły czystym językiem polskim, co osobiście stwierdzam – pani Anna mówi pięknie po polsku bez akcentu angielskiego.

Pani Anna odwiedziła Lwów we wrześniu 2001 roku. W katedrze ze wzruszeniem oglądała tablicę twórców Harcerstwa Polskiego Olgi i Stanisława Małkowskich, zresztą oglądała cały swój Lwów, oprowadzana przez kuzynów Jurka i Jadwigę Tabaczkę, wszystkie drogie

sercu miejsca, pamiątki. Lwów teraz inny, ale dla Lwowiaków zawsze tak samo kochany.

Mąż pani Anny pan Henryk Łopiński przybył do Kanady w roku 1949, również z Niemiec, gdzie był wywieziony na roboty. Pracował najpierw w kopalni złota równocześnie się doksztalcając. Pracuje potem jako kreślarz, najpierw jako przedstawiciel firmy budowlanej. Razem z braćmi kupuje farmę dla rodziców koło St. Catherines i sprowadza ich do Kanady. W roku 1955 pobierają się z Anną, jest to harcerskie małżeństwo z lat szkolnych. Pan Henryk od początku pobytu w Kanadzie pracuje społecznie dla Polonii. W Fenwick był Prezesem Stowarzyszenia Polsko-Kanadyjskiego, w St. Catherines w szkole polskiej, a także w Kongresie. W Toronto pełnił funkcję Prezesa Zarządu Głównego ZP w Kanadzie, także przez wiele lat pracował w Komitecie Imigracyjnym Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Był również Prezesem Fundacji Maksymiliana Kolbego w Mississauga, aktywnie działał również w Klubie Seniora będąc jego prezesem w latach 1997-1998.

Państwo Anna i Henryk Łopińscy mają trójkę dzieci i pięcioro wnuków. Dzieci i wnuki również są aktywnymi harcerzami i zuchami, państwo Łopińscy są szczęśliwi, że kontynuują ich działalność harcerską.



Irena Chojnacka (17 lat) w Afryce w 1945 r.

Pani Irena Chojnacka Kuś została wywieziona z rodzicami i trzema braćmi z osady Radziwiłłów na Kresach do Archangielskiej oblasti. Najpierw umieszczono ich w brudnych, zapluskwionych barakach między Ko-

tlasem a Kirowem, potem przeniesiono do obozu Kristofarafa koło Oparina. Warunki do życia niewyobrażalne dla człowieka żyjącego u nas nawet w bardzo trudnych warunkach. Ojciec z bratem Mietkiem pracowali w lesie. Irena i najmłodszy brat Julek chodzili do szkoły rosyjskiej, a Edek był z mamą w domu.

We wrześniu 1941 r. kiedy dociera wreszcie do nich wieść o „amnestii” wyruszają na południe – chcą dotrzeć do Wojska Polskiego. Po drodze zatrzymują się w kolchozach – wszędzie straszna bieda i głód. Zbierają piolun. W styczniu 1942 r. docierają do Taszkientu, gdzie przy Wojsku Polskim zatrzymują się – dezynfekcja i nakarmiono ich z wojskowej kuchni. Dostają się następnie do Guzar. Ojciec wstąpił do wojska, Irena do Junaczek, dwaj bracia do Kadetów, a najmłodszego Julka mama oddaje do sierocińca, bo tam jest opieka i chleb. Dalej wędrówka do Krasnowodska, skąd pod opieką wojska, przez Morze Kaspijskie dostają się do Persji. W porcie Pahlevi dziękują Bogu, że udało im się wydostać z sowieckiego piekła. Znowu dezynfekcja, w czasie której Irena traci swoje piękne warkoczki. Z Pahlevi Irena jedzie z Junaczkami do Teheranu, gdzie spotyka mamę i brata, z którymi rozdzielona została w Rosji. Z Teheranu są kierowani do osiedla polskiego w Afryce. Po długiej podróży docierają do osiedla Masindi w Ugandzie i tu Irena przebywa aż 6 lat. Ojciec z Armią Andersa bierze udział w kampanii włoskiej. Starszy brat dostaje się do lotnictwa i bierze udział w bitwie o Anglię. Po wojnie jest w Anglii, gdzie przyjeżdża Irena z Afryki w 1948 r., wychodzi za męża za Sybiraka i w Anglii rodzi się córka. W roku 1954 wyjeżdżają do Kanady, gdzie jest już młodszy brat. Pani Irena mieszka w Montrealu, gdzie „wpadam” do niej tylko na chwilę, która przeciąga się do kilku godzin. Irena „ugaszcza” mnie po kresowe-

mu, a ja mam okazję nie tylko słuchać o losach tej patriotycznej rodziny, ale mogę oglądać zdjęcia i dokumenty, które Irena pieczołowicie przechowuje. Jak wiele można się dowiedzieć z fotografii! Z zainteresowaniem oglądam stare zdjęcia rodzinne ozdabiające ściany, słucham rodzinnych historii. Oglądam następnie zdjęcie ojca Ireny w czasie odznaczania Krzyżem Walecznych, zdjęcie ojca z synami w Anglii z notatką, że po 6 latach są znowu razem, zdjęcie Ireny z Afryki z osiedla Masindi – Irena jako zastępowa w grupie harcererek, pamiątnik, który otrzymała w Polsce na Boże Narodzenie w 1938 roku, pamiątnik z Masindi z lat 1942-1948. Obydwie recytujemy wiersz Asnyka, który wpisał Irenie do pamiątnika dyrektor szkoły Arnold w 1944 roku. Świetnie gawędzi się harcerce z harcerką, ale muszę pożegnać sympatyczną „Afrykankę” z nadzieją na spotkanie we Wrocławiu na zjeździe „Afrykańczyków”.

Pozornie wydawać by się mogło, że już to wszystko znamy, więc może nie warto więcej o tym pisać. Tymczasem przez 50 lat nie mówiło się u nas o wyniszczaniu narodu polskiego, a przez ostatnie lata tylko nieliczne media odważnie prezentują prawdę historyczną. Mówienie więc i pisanie o gehennie naszego narodu bez manipulacji i fałszowania naszej historii słuchając jej świadków jest naszym obowiązkiem.

I tu zacytuję naszego wielkiego poetę Cypriana Kamila Norwida, którego Ojciec Święty Jan Paweł II często cytował:

*„Do tych, co mają tak za tak, nie za nie
Bez światłocienia...
Tęskno mi Panie”.*

(c.d.n.)

Aleksander Smoliński

Bez „ognia i miecza”

Migawki z sentymentalnych podróży po niepodległej Ukrainie w poszukiwaniu śladów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Część 5 (II)

Brzeżany

Po tej milej choć jednocześnie refleksyjnej podróży w przeszłość opuszczając Zbaraż i podążając w kierunku południowo zachodnim dotrzemy do niewiele od niego większych i leżących również na Tamopolszczyźnie Brzeżan. W 1919 r. liczyły one 13.000 mieszkańców, a mianowicie 4600 Polaków, 3100 „Rusinów” oraz 5300 Żydów.

To malowniczo położone miasteczko leży na rzeką Złotą Lipą. Pierwsza odnotowana wzmianka o tym mieście pochodzi z 1375 r. i wiąże je z rodziną Sieniawskich, którym zawdzięcza swoje istnienie i rozwój. Sprowadzili oni bowiem do Brzeżan Ormian, a w 1530 r. Mikołaj Sieniawski, późniejszy wojewoda ruski i hetman wielki koronny, doprowadził do lokacji miasta. Ponadto już w 1554 r. rozpoczął on budowę zamku, który potem wielokrotnie i bezskutecznie szturmowały wojska kozackie, tureckie i tatarskie.

Miasto było ważnym ośrodkiem handlowym łączącym Rzeczpospolitą oraz Turcję, który przez wiele lat doskonale funkcjonował dzięki obecności Ormian. Jednak już w 1772 r., po pierwszym rozbiórze Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Brzeżany znalazły się pod panowaniem Austrii. Poza zmianami politycznymi nastąpiła również reorientacja dotychczasowych szlaków handlowych, co spowodowało upadek handlu ormiańskiego, a przez to także upadek ekonomiczny miasta. Skutkiem tego w XVIII w. Ormian wyparł z miasta bardziej od nich elastyczni pod względem ekonomicznym Żydzi. W wyniku tego oraz zmian, jakie następowały na przestrzeni XIX w., w pierwszej ćwierci XX w., już w niepodległej Polsce, mieszały tam obok siebie trzy duże, wspomniane powyżej, wspólnoty: Żydzi, których było około 40% mieszkańców, Polacy, jakich było niewiele mniej oraz Ukraińcy. Ormianie stanowili już tylko niewielki odsetek jego ludności. Efektem II wojny świa-

towej było praktyczne zniknięcie z Brzeżan kolejnych dwóch grup narodowych – Polaków oraz Żydów.

Warto także wspomnieć, iż w Brzeżanach w 1886 r. urodził się późniejszy legionista i bohater wojny polsko-bolszewickiej oraz marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły. Był on jedną z najtragiczniejszych, choć jednocześnie ciekawych i nietuzinkowych postaci w całej polskiej historii, głównie XX w.

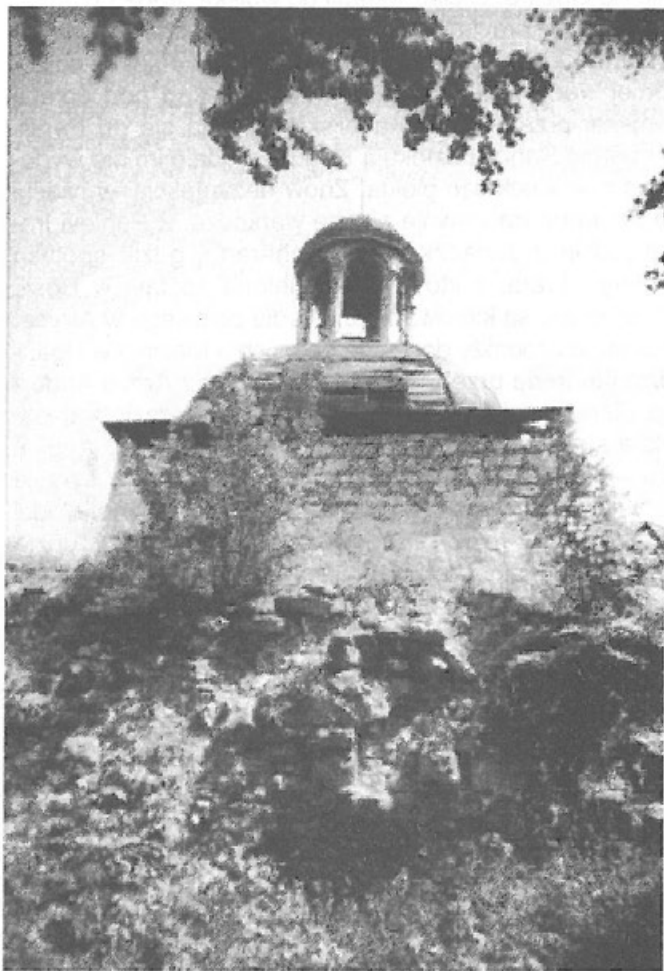
Wszystko, co w Brzeżanach warto jest zobaczyć, rozmieszczone jest w niewielkiej odległości od niedużego i bardzo spokojnego, małomiasteczkowego rynku. Oczywiście z punktu widzenia polskiego turysty odbywającego swoistą podróż sentymentalną spośród wielu cennych zabytków tego miasta najważniejszą rzeczą będzie położony na niskim wzniesieniu **zamek**. Prace przy budowie warowni posiadającej wyraźne cechy późnego renesansu i wczesnego baroku trwały przez kilka lat II połowy XVI w., a kierowali nimi majstrowie sprowadzeni w tym celu z Włoch. Następnie w wiekach XVII i XVIII był on rozbudowywany i upiększany. Wzniesiono go na planie pięcioboku, a głównej bramy wjazdowej znajdującej się w skrzydle południowym strzegła półkolista basteja. Natomiast północną, załamującą się pod ostrym kątem część obwarowań zamku flankowała pięcioboczna baszta oraz kolejna półkolista basteja.

Najstarszą częścią zamku jest trzykondygnacyjny budynek pałacowy, którego elewację wieńczy ściana attykowa z fryzem arkadowym wyposażonym w otwory strzelnicze. Natomiast od strony dziedzińca jego elewacje wzbogacały krużganki. W południowo-zachodnim narożniku dziedzińca stoi **Kościół po Wezwaniu Świętej Trójcy**. Wzniesiono go równocześnie z fortecą. Początkowo była to jedyna katolicka świątynia w Brzeżanach. Jednak po powstaniu kościoła farnego służyła Sieniawskim, jej fundatorom, jako kaplica zamkowa i jednocześnie mauzoleum rodowe, ponoć jedno z piękniejszych w całej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Świątynia zbudowana jest na planie krzyża. Najwcześniej, bo około 1554 r. powstała nawa z prezbiterium. Natomiast kształt głównej fasady z pilastrami w wielkim porządku i bogatą dekoracją łączącą cechy renesansowe (portal i kompozycja okien) oraz barokowe (owalne nisze) pochodzi z I połowy XVII w. W latach 1619-1624 z fundacji Katarzyny Sieniawskiej do nawy, od strony południowo-zachodniej, dobudowana została kwadratowa w planie kaplica przykryta kopułą z latarnią. Piękną stiukową dekorację kaplicy w latach 1627-1628 wykonał wrocławski rzeźbiarz Jan Pfister. Wejście do kaplicy z nawy ozdobione zostało ornamentem geometrycznym oraz masywnymi rozetami w kasetonach łuku. Kolejna kaplica, a mianowicie północno-zachodnia, powstała nieco później i w zasadzie jest wzorowana na tej pierwszej. W jej fasadzie umieszczono jednak okrągłe okno. Wewnątrz znajdowały się marmurowe nagrobki Sieniawskich wykonane również przez Jana Pfistera i Henryka Horsta w latach 1627-1638. Cynowe sarkofagi z płaskorzeźbami przedstawiającymi postacie zmarłych członków rodu umieszczono w kryptach.

Od czasu I rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1772 r. zamek i kaplica stopniowo podupadały, a w 1784 r. władze austriackie skonfiskowały srebra kaplicy, wśród których były na przykład portrety trumienne Sieniawskich malowane na srebrnej blasze. W połowie XIX w. w zamku urządzono browar, a w kaplicy skład wódki, co doprowadziło do ogromnych zniszczeń, głów-

nie w jej wystroju wewnętrznym. Dopiero w II połowie XIX w. z inicjatywy Stanisława Potockiego, ówczesnego właściciela miejscowych dóbr zamek i kaplica zostały częściowo odnowione, a ówczesną konserwację prowadził Leonard Marconi. Jednakże już w 1920 r. w obawie przed zbeszczeszczaniem szczątków Sieniawskich ich sarkofagi przewieziono do Krakowa, a potem do Pieskowej Skały, gdzie pozostają do dnia dzisiejszego. W ostatnich latach były one odnowione.

Na marginesie tych faktów należy zauważyć, iż stało się bardzo dobrze, że szczątków Sieniawskich nie ma już w Brzeżanach. Chodząc po ruinach zamkowych, a głównie po kaplicy zamkowej często napotykało się bowiem na bardzo liczne ślady „działalności” miejscowej



Brzeżany – kaplica grobowa na zamku Sieniawskich



Obecny stan wnętrza kościoła na zamku Sieniawskich w Brzeżanach

„społeczności”, która przez długie lata kompleks ten traktowała jako miejsce różnorodnych „spotkań towarzyskich”. Stąd także w miejscu konsekrowanym znajdowało się mnóstwo ludzkich ekstremów, butelek po alkoholu i tym podobnych rzeczy. Natomiast na ścianach można było znaleźć różne wulgarne teksty i hasła. Ponadto kaplica i nagrobki Sieniawskich w latach powojennych w potworny sposób zostały zdewastowane. Ich resztki znalazły się na zamku w Olesku. Jednocześnie niezabezpieczona w żaden sposób świątynia stopniowo popadała w coraz większą ruinę, odbudowa której nie będzie już chyba możliwa. W ostatnich latach bowiem proces degradacji tego obiektu, wskutek zniszczenia dachu i zapadnięcia się dużej części sklepień, uległ gwałtownemu przyspieszeniu. Wydaje się, iż obecnie po zamknięciu całego tego terenu bezczeszczenie miejsca świętego może nareszcie ustać.

Natomiast resztę XVII-wiecznej zabudowy brzeżańskiego zamku Sieniawskich stanowiły dwu lub trzykondygnacyjne jego skrzydła mieszkalne z krużgankami wychodzącymi na dziedziniec.

W latach 1648 i 1655 zamek odparł próby jego zdobycia przez wojska kozackie, a w 1672 r. przez wojska tureckie. Położenie na obszarze walk z Kozakami, a następnie także z wojskami rosyjskimi i tureckimi spowodowało, iż przed 1675 r. ówczesny hetman polny koronny i wojewoda wołyński Mikołaj Hieronim Sieniawski znacznie wzmocnił twierdzę, wykorzystując nowoczesne osiągnięcia i rozwiązania stosowane wówczas przez nowoholenderską szkołę fortyfikacyjną. Nowoczesny system umocnień zaprojektował wybitny inżynier wojskowy służący wtenczas w artylerii koronnej, a mianowicie Wilhelm Beauplan le Vasseur.

Wykorzystując położenie zamku na wyspie otoczono go wtedy potężnymi fortyfikacjami ziemnymi, co spowodowało, iż dotychczasowa jego powierzchnia powiększyła się ośmiokrotnie o obręb starannie usypanych i oskarpowanych dębowymi balami wałów tworzących podłużny czworobok z czterema wysuniętymi bastionami po rogach i rawelinem od strony miasta. Natomiast koryto Złotej Lipy i moczary wraz z systemem skomplikowanych śluz piętrzących wodę tworzyły naturalne fosy. Wszystko to wraz z kanałami i bateriami artyleryjskimi tworzyło z zamku silną fortecę, zaliczaną do „najobronniejszych” zamków kresowych. Według spisu z 1762 r., a więc z okresu upadku znaczenia zamku, w jego arsenale znajdowało się, nie licząc innej broni, 71 armat, a garnizon liczył 45 ludzi. Tak umocniona forteca w listopadzie 1675 r. oparła się licznej armii turecko-tatarskiej dowodzonej przez Ibrahima Szyszmana, który po zajęciu i zniszczeniu miasta nie odważył się jednak zdobywać zamku. Podobnie było też w roku następnym oraz w późniejszej fazie konfliktu Rzeczypospolitej Obojga Narodów z imperium osmańskim.

W XVIII w. włości te zmieniły jednak swoich właścicieli, gdyż Zofia córka ostatniego z rodu Sieniawskich, a mianowicie zmarłego w 1726 r. Adama Hieronima, wniosła je w dom książąt Czartoryskich.

Dodać należy, iż wnętrza zamkowe w okresie jego świetności urządzone były w iście „pańskim stylu”, tak aby mogły świadczyć o potęgze i znaczeniu rodu Sieniawskich. W sali zwanej królewską wisiały bowiem portrety królów i książąt polskich, a ściany poszczególnych pokoi obite były karmazynowym brokatem; przy czym jedna z sal miała ściany wyłożone przetykanymi

złotem i srebrem perskimi obiciami. W takich wnętrzach w 1698 r. goszczony był, między innymi, król polski August II Mocny, a w 1707 r. car rosyjski Piotr I Wielki i książę siedmiogrodzki Franciszek Rakoczy. Pobyt tego ostatniego upamiętnia tablica znajdująca się na zamkowym murze. Warto też dodać, iż niekiedy spotkać pod nią można wiązanki kwiatów ze wstążeczkami w węgierskich barwach narodowych.

Po przejściu w ręce Czartoryskich bezpowrotnie skończył się okres świetności tej magnackiej niegdyś siedziby oraz miasta. Przedostatnimi jego właścicielami byli Lubomirscy, a następnie przez ponad sto lat zamek należał do wspomnianych już wyżej Potockich.

Po znalezieniu się w składzie monarchii habsburskiej zaborcy dokonali znacznych zmian w jego kształcie zewnętrznym. Obniżono bowiem basteje, zlikwidowano fortyfikacje bastionowe, a cały kompleks zamieniono najpierw na koszary, a potem urządzono w nim wspomniany już wyżej browar. Warto jednak dodać, iż do częściowej dewastacji obiektu przyczynił się także Aleksander Potocki, który w 1829 r. kazał rozebrać część zamku oraz zedrzeć część dekoracji.

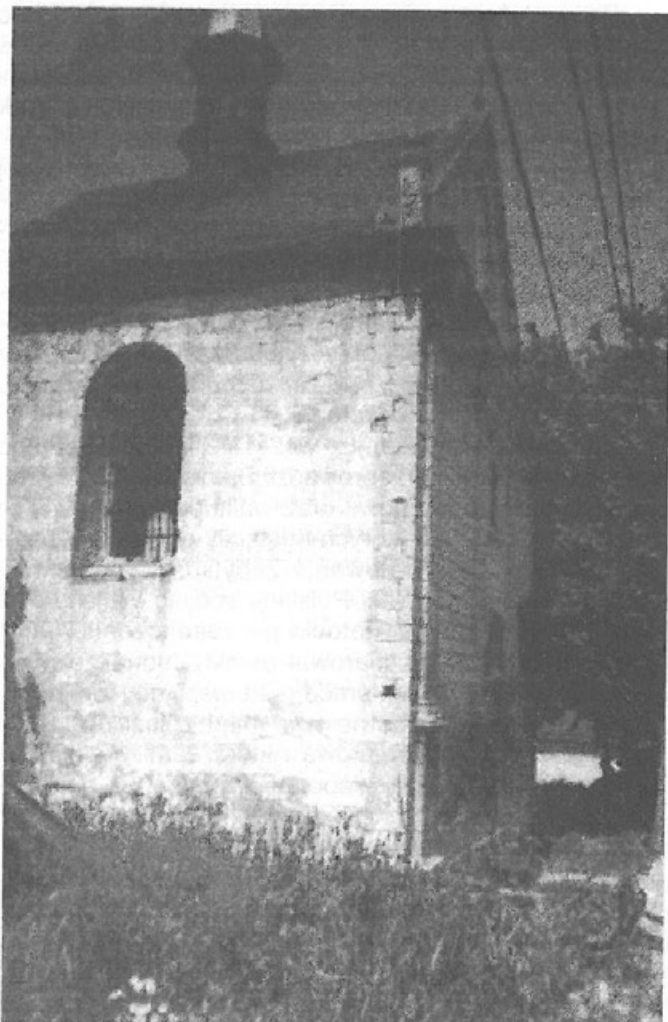
Efekty wspomnianej już wcześniej częściowej jego rekonstrukcji, jakie przeprowadził Stanisław Potocki zwyciężyła I wojna światowa oraz walki polsko-ukraińskie w 1919 r., w wyniku których nastąpiły dalsze zniszczenia. Kolejne próby ratowania zabytku, już w okresie władzy Rzeczypospolitej Polskiej, podjęło Wojsko Polskie, któremu Jakub Potocki po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej ofiarował obiekt. Jednakże przeprowadzone do 1939 r. prace restauracyjne i zabezpieczające poszły na marne w wyniku zniszczeń, jakie przyniosła II wojna światowa i która zamieniła zamek w malowniczą i nikomu niepotrzebną ruinę. Do dnia dzisiejszego zachowały się jedynie: zrujnowane skrzydło wschodnie, południowe mury pałacu z bramą, zniszczone mury kościoła oraz dolne kondygnacje baszty i bastei.

Jeszcze do niedawna cały ten obiekt stał zupełnym otworem i był dostępny dla wszystkich chętnych, którzy chcieli go odwiedzić i zobaczyć. Zagładanie w różne zakamarki nie było jednak zbyt bezpieczne, bowiem szczególnie w kaplicy zamkowej, istniało poważne zagrożenie zapadnięcia się mniejszych lub większych elementów sklepienia. Obecnie jednak brama została zamknięta, a wszystkie możliwe otwory okienne oraz zwykłe wylomy w kamiennym murze zostały zamurowane czerwoną, współczesną cegłą, co uniemożliwia dostanie się na dziedziniec. Ponoć ma to być początek jakiś szerszych prac remontowych. Pojawił się także stróż, który nawet za przysłowiowy „bakszys” (sic!) nie chce wpuszczać do wnętrza obiektu Polaków nie mających specjalnego pozwolenia na jego zwiedzanie. Zauważyć jednak trzeba, iż użycie wspomnianej tutaj cegły bardzo silnie zaburzyło harmonię bryły architektonicznej całego kompleksu oraz znacznie obniżyło jego walory estetyczne. Mimo to oraz pomimo tak znacznych uszkodzeń zamek w Brzeżanach uważany jest za najwybitniejszą budowlę renesansową na Ukrainie.

Opisując wrażenia z Brzeżan koniecznie należy wspomnieć również o jego świątyniach i klasztorach. Należą do nich **Kościół pod Wezwaniem Świętego Mikołaja oraz klasztor ojców bernardynów**⁴⁾ fundacji uczestnika bitwy wiedeńskiej i hetmana polnego koronnego wspomnianego już wcześniej Mikołaja Hieronima Sieniawskiego oraz położony na niewysokim wzniesie-

niu na południowo-zachodnich granicach miasta farny **Kościół pod Wezwaniem Narodzenia Matki Boskiej**⁵⁾, a także dwie grekokatolickie cerkwie, a mianowicie **Cerkiew pod Wezwaniem Świętej Trójcy** i drewniana pochodząca z końca XVII w. **Cerkiew pod Wezwaniem Świętego Mikołaja**.

Nieco więcej uwagi poświęcić jednak trzeba **kościółowi ormiańskiemu**. Pierwsze wzmianki o gminie or-



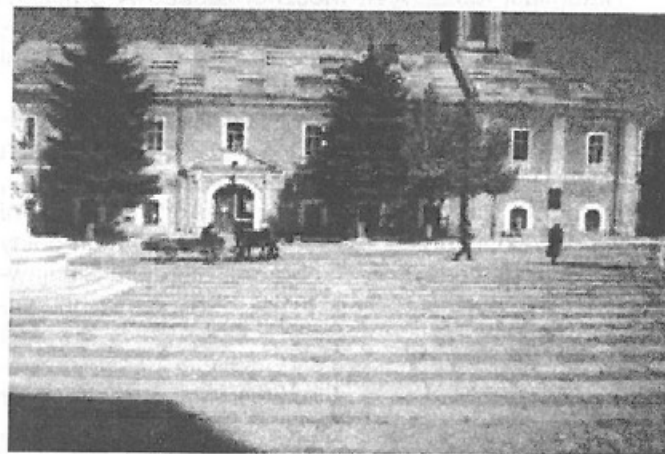
Brzeżany – kościół ormiański

miańskiej w Brzeżanach pochodzą z XIV w., kiedy to miejscowa gmina otrzymała od króla polskiego przywilej na sprawowanie sądów nad swymi członkami według prawa ormiańskiego. Jej liczebność uległa zwiększeniu w okresie tureckiej okupacji Podola po traktacie buczackim z 1672 r., kiedy to w Brzeżanach osiedliła się spora grupa ormiańskich uciekinierów z Kamieńca Podolskiego. W okresie rozbiorów działała tam jedna z 12 ormiańskich parafii, jakie istniały w ówczesnej Galicji. Kościół został wzniesiony w 1764 r. Uwagę zwraca bogata dekoracja stiukowa. Według miejscowej tradycji ściany tej świątyni dekorować miał ponoć późniejszy marszałek Edward Rydz-Śmigły. W rzeczywistości jednak jedynym jego dziełem związanym z tym kościołem była olejna Matka Boska wymalowana na jego frontonie około 1914 r., która następnie na polecenie miejscowego proboszcza została zamalowana przez lwowskiego malarza Leonarda Winterowskiego.

Przez większą część okresu rządów sowieckich na Ukrainie świątynia ormiańska znajdowała się w niezłym stanie. Był to skutek tego, iż urządzono w niej suszar-

nię i skład tytoniu, co powodowało konieczność doglądania stanu technicznego dachu oraz wykonywanie innych bieżących remontów. Podobnie było jeszcze w czasie, gdy kościół pełnił funkcję składu drewna. Obecnie jednak obiekt jest w bardzo złym stanie, a przeciekający dach powoduje dalszą i szybko postępującą dewastację sklepień oraz jego wnętrza. Zniszczenia te powstały natomiast dopiero w latach dziewięćdziesiątych, a więc już za czasów niepodległej Ukrainy, kiedy to przestano dbać o stan techniczny budynku. Ponadto we wnętrzu kościoła urządzono strzelnicę, przy czym bardzo często celem ćwiczących były elementy stiukowego zdobnictwa oraz inne przedmioty stanowiące jego wystrój wewnętrzny. Tak przynajmniej twierdzą miejscowi.

Innym obiektem godnym uwagi w Brzeżanach jest duży, piętrowy ratusz miejski wzniesiony w 1811 r. na



Ratusz miejski w Brzeżanach

planie prostokąta z wewnętrznym dziedzińcem oraz dwukondygnacyjną wieżą umieszczoną nad jednym ze skrzydeł. Do budynku prowadzą cztery ozdobione portykami wejścia umieszczone osiowo we wszystkich fasadach.

Przypisy:

- 1) Część autorów twierdzi, że prace budowlane rozpoczęto dopiero w 1627 r.
- 2) Cmentarz.
- 3) Nagrobki.
- 4) Obecnie zarówno w kościele, jak i w zabudowaniach klasztornych znajduje się więzienie.
- 5) Świątynia ta pochodziła z przełomu XV i XVI w. i miała charakter obronny. Stąd też była otoczona murem. Dodać też należy, iż najtragiczniejszym okresem w dziejach kościoła był okres po 1945 r., kiedy to jego wnętrze podzielono żelbetonowym stropem i urządzono w nim salę gimnastyczną. Obecnie, po zwróceniu fary wiernym, trwa jej remont. Z powodu mocno ograniczonych możliwości niewielkiej miejscowej społeczności katolickiej jest on powolny. Zauważyć też trzeba, iż całe wewnętrzne wyposażenie kościoła bezpowrotnie przepadło.

Źródła ilustracji:

Fotografie autorstwa Aleksandra Smolińskiego oraz Jerzego Ekerta; materiał ilustracyjny do druku przygotował Jerzy Ekert.

Wszystkie fotografie pochodzą ze zbiorów autora.

Errata do Nr. 6 / 2005 r.

W numerze 6 „Semper Fidelis” z 2005 r. na str. 41 znalazła się fotografia przedstawiająca fragment ruin zamku Sieniawskich z Brzeżan, która jednak została błędnie opisana jako zamek Sieniawskich ze Zbaraża. Za powyższą pomyłkę autor pragnie przeprosić potencjalnych Czytelników. □

Piotr Marek Stański

Teatr Lwowski w Wiedniu i Paryżu

Ludwik Heller, dyrektor Teatru Lwowskiego, dwukrotnie organizował zagraniczne tournées zespołu dramatycznego, zawożąc go nie tylko do stolicy habsburskiej monarchii Wiednia, ale i ówczesnego kulturalnego świata, a więc samego Paryża. Gościnne występy w obydwu europejskich metropoliach rozpoczynano od popularnej wówczas baśni scenicznej Lucjana Rydla „Zaczarowane koło”, będącej poniekąd polską repliką „Zatopionego dzwonu” Gerharda Hauptmanna. Pokazywano też: dyptyk zestawiony z Wyspiańskiego „Sędziów” i „Warszawianki”, fredrowską „Zemstę”, wreszcie „Upiory” Ibsena i włoską farsę Roberta Bracco „Pietro Caruso”.

W Wiedniu grano pomiędzy 1 a 8 maja 1910 roku na deskach Bürgertheater. Na inauguracyjne przedstawienie „Zaczarowanego koła” oprócz Polaków przyszło dużo Czechów, natomiast na spektaklu „Upiory” przeważała publiczność niemiecka, wśród której znalazło się wielu miejscowych artystów. Prawdziwą gwiazdą lwowskiego tygodnia był najczęściej występujący Gustaw Fiszer, znany już tamtejszej widowni z monologów, zaprezentowanych kilka lat wcześniej ze znacznym sukcesem. Tym razem wywarł spore wrażenie mimiczną rolą Felicjana Dulskiego w sztuce Zapolskiej (o czym pisał „Neue Wiener Journal”), komediowymi kreacjami fredrowskiego Papkina i tytułowego Argona w molierowskim „Chorym z urojenia”. To on też odpowiadał na toast Ksawerego Zamojskiego podczas bankietu, wydanego na cześć artystów przez miejscową Polonię w salonach sławnego hotelu Sachera po wieczorze jednoaktówek Wyspiańskiego, o których wykonaniu informował półoficjalny „Fremdenblatt”, że „grano doskonale, z wzruszającą rzewnością i miłością”. Z kolei Alfred Wysocki w korespondencji na łamach „Gazety Lwowskiej” donosił, że „Aktorzy polscy zdobyli sobie popularność. Poznawano ich w kawiarniach i trącano się łokciami na ich widok” (nr 107 z 13 maja, s. 4). W związku z zainteresowaniem jakie wywołała „Moralność pani Dulskiej” (zapowiedziano jej wystawienie po niemiecku w Neue Wiener Bühne), autorka depeszowała do dyrektora Hellera: „Szczęśliwa i wdzięczna raduję się gorąco przede wszystkim z powodzenia teatru lwowskiego w Wiedniu. Żelazna Pana praca, miłość jego dla sztuki, wielkie talenty naszych aktorów odnoszą spodziewany i zasłużony triumf i nagrodę. Cieszę się, że u Pana Dyrektora i w zespole jego teatru dane mi było zdobyć tak zaszczytne dla mnie powodzenie” (za: „Gazeta Lwowska” nr 103 z 8 maja, s. 5). Sam Heller otrzymał okolicznościowy wieniec w trakcie sztuki Zapolskiej, powtarzanej na zakończenie występów. Następnie odbył się raut, urządzony przez Oscara Fronza, dyrektora Bürgertheater, udzielającego gościny polskiemu zespołowi. Stwierdził on m.in.: „Gościłem w moim teatrze zespół rosyjski Stanisławskiego. Gdy w teatrze Stanisławskiego imponuje zewnętrżność sztuki scenicznej, Polacy zajmują się wewnętrżnością jej. U was, zdaje się, momenty dekoratywne są na drugim planie, na pierwszy plan wysuwa się gra artystów i niezwykła jej harmonia” (za: „Gazeta Lwowska” nr 106 z 12 maja, s. 5). Jak relacjonowano, bawiono się do białego rana, kiedy przyszło wracać do Lwowa.

O zespołowej grze lwowskich aktorów mówić będą i pisać również Francuzi, gdy trzy lata później wyruszono z kolei na podbój Paryża. Artyści w dwóch specjalnych wagonach przybyli 30 maja 1913 r. o godzinie 17.45 na dworzec Wschodni, gdzie zostali powitani „z wiązankami kwiatów dla pań, z serdecznym uściskiem dla panów” (za: „Gazeta Lwowska” nr 126 z 5 czerwca, s. 4). Z tej okazji poeta de Flavigny ułożył pochwalny wiersz:

*„Paryż w dobie tej właśnie wita
Zespół lotu wysokiego,
Co talenty swymi rozkwita
Na chwałę teatru lwowskiego!!!
Pozdrómy więc prześwieatne gwiazdy,
Które dla nas przyprowadzą o bicie
Duszę swego kraju”.*

W kilkanaście automobili udano się do hotelu Brebant, położonego w odległości 500 metrów od teatru „Gymnase”, w którym od 2 do 15 czerwca, co wieczór o dziewiątej, rozpoczynały się przedstawienia. Otwierające serię „Zaczarowane koło” zgromadziło na widowni takie znakomitości ze świata polityki jak Georges Clemenceau, były i przyszły premier, architekt Traktatu Wersalskiego, Jean Jaurès, przywódca Socjalistów. Robert de Flers w recenzji na łamach „Figara” podnosił zalety gry, pomimo że toczyła się w mowie „przepelnionej dźwiękami słów barbarzyńskich, z których nie rozumie się ani jednej sylaby. Trzeba więc zadowolić się tym, co oczy nasze widziały, a czego uszy nie rozumiały”. Nie zrażeni tym Francuzi prawie w połowie zapelnili teatr podczas prezentacji dramatów Wyspiańskiego. A przecież jeszcze niecałe sto lat wcześniej z zupełnym niezrozumieniem spotkała się angielska trupa szekspirowska, występująca w Théâtre Porte Saint-Martin, co przypomniał w trakcie jednego ze spotkań Adolphe Brisson, prezes stowarzyszenia krytyków. Ostatni ze spektakli zaszczyciła swą obecnością Réjane, czołowa wędrowniczka ówczesnych scen paryskich, a Louis Schneider w specjalistycznej „Comœdii” napisał wprost: „Jestem pewien, że nasi aktorzy francuscy, którzy zresztą mają wiele zalet, odnieśliby korzyść z przypatrywania się grze swoich kolegów ze Lwowa! Widać tam usiłowania grania sztuki bez oglądania się na publiczność, bez ubiegania się o efekt i bez ściągania uwagi na siebie, co jest zaletą godną zaznaczenia i zasługującą na najzupełniejsze pochwały”. Najchłodniej przyjęta została „Topiel” Przybyszewskiego, przyćmiona być może przez znaną we Francji dramaturgię skandynawską, z którą miała wiele wspólnego. Żywe emocje, zwłaszcza wśród polskiej imigracji, wywołał natomiast „Tamten” Zapolskiej, a to ze względu na przejmujące ukazanie realiów panujących w zaborze rosyjskim. Według korespondenta „Gazety Lwowskiej” „jedna ze studentek Polek, dostawszy się przypadkiem za kulisy i spotkawszy żandarmów, pod wpływem wspomnień przejść niegdyś przeżytych, nieomal nie zemdlą...” (nr 131 z 11 czerwca, s. 4).

Ludwik Heller pierwotnie nosił się z zamiarem urządzania dwóch przedstawień na cele charytatywne dla środowiska polskiego (na rzecz przytułku św. Kazimierza, gdzie ostatnie lata życia spędził Norwid) oraz nie-

zamożnych aktorów francuskich, ale ostatecznie wycofał się z tej inicjatywy, aby nie zostać posądzonym o próbę koniunkturalnego wpływania na przychylną opinię publiczną.

Tym razem najbardziej podziwianą spośród wykonawców była Wanda Siemaszkowa, która ponadto wraz z dyrektorem Hellerem wygłaszała po francusku przemówienia na mniej lub bardziej oficjalnych imprezach towarzyskich, odbywających się równolegle z występami. 7 czerwca w południe w restauracji Langer przy Polach Elizejskich miało miejsce uroczyste śniadanie komitetu francusko-polskiego, z udziałem m.in. Władysława Mickiewicza, syna poety. Mowy wygłosili: Fortunat Strowski de Robkova, profesor Sorbony polskiego pochodzenia oraz Charles-Gustave-Auguste Le Bargy, aktor Théâtre Forte Saint-Martin, który wyraził nadzieję na ponowny przyjazd teatru lwowskiego, również jego zespołu operowego. Tydzień później o tej samej porze śniadaniem podejmowało Towarzystwo Krytyków Dramatycznych. Najserdeczniejszy przebieg miały jednak

gościny u przebywających we Francji malarzy: w pracowni Jana Chelmińskiego 31 maja wieczorem oraz w podparyskiej posiadłości Jana Styki w Garches po południu 15 czerwca. W tym celu gospodarz wysłał po gości specjalny autokar. Przy dźwiękach przygrywającej kapeli cygańskiej w ogrodzie rezydencji spotkali się aktorzy lwowscy oraz paryskiej Comédie Française, a także Opery. Obecny był ambasador Austro-Węgier oraz premier Francji Jean-Louis Barthou, który 21 lat później zginie tragicznie w zamachu wraz z królem jugosłowiańskim Aleksandrem I.

Nazajutrz o 12.30 wyruszone w drogę powrotną do kraju. Po odniesieniu sukcesów w Wiedniu i Paryżu Ludwik Heller planował również wyprawę do Londynu, ale udaremnić ją miał wybuch w nieodległej przyszłości wielkiej wojny narodów, w czasie której polscy poddani austriackiego cesarza nie z własnej woli znaleźli się po przeciwnej stronie frontowych okopów, przecinających wzduż i w szerz Europę wstrząsaną wojennymi konwulsjami. □

Lwowskie i kresowe życiorysy

Rodzina Hellerów: Mira i Ludwik oraz Irena Bohuss

Ludwik Heller większą część swego życia zawodowego związał z teatrem, również operowym. Śpiewaczkami były: jego siostra Mira, solistka nowojorskiej Metropolitan Opera, oraz druga żona Irena Bohuss, występująca z kolei na scenie londyńskiej Covent Garden.



Ludwik Heller urodził się 4 sierpnia 1865 r. w podlwowskiej Mszanie, a jego siostra kilka lat później 28 lutego w Krakowie, nosząc początkowo imię Kazimierz, skrócone i z lekka zmodyfikowane na potrzeby sceniczne. Ojciec – Władysław – był urzędnikiem, ożenionym z Marią Huber.

Na głos Miry Hellerówny uwagę zwróciła słynna Marcelina Sembrich-Kochańska, zalecając jego kształcenie. Tak też się stało, a jej pierwszym nauczycielem był M. Biernacki w Stanisławo-

wie. Potem uczęszczała do lwowskiej szkoły śpiewu, prowadzonej przez Adelinę Pachalis i Augusta Souverstrów. Na scenie zadebiutowała natomiast 13 marca 1888 r. w Teatrze Skarbowski i to od razu w głównej roli, a mianowicie Carmen w operze Bizeta. „Gazeta Lwowska” tak o tym napisała: „Młoda debiutantka odniosła dzięki swemu pięknemu głosowi, sympatycznej powierzchowności i rzadkiej u występujących po raz pierwszy na scenie śmiałości i pewności siebie, sukces niepospolity” (nr 61 z 15 marca, s. 5), a „Gazeta Narodowa” jej wtórowała: „Panna Hellerówna posiada bardzo wiele warunków scenicznych – ma temperament, jest miłym zjawiskiem, obraca się swobodnie na scenie, no... i rozporządza bardzo pięknym głosem” (nr 62 z 15 marca, s. 3). Także pozostałe tytuły codzienne – „Dziennik Pol-

ski” i „Kurier Lwowski” – chwaliły walory jej mezzosopranu, zwłaszcza w górnym rejestrze, co w przyszłości pozwalało artystce w równej mierze wykonywać partie napisane na ten głos (Azucena w „Trubadurze”, Amneris w „Aidzie”, Jadwiga w „Strasznym dworze”), jak i przeznaczone na sopran dramatyczny (Rachel w „Żydówce”, Santuzza w „Rycerskości wieśniaczej”). Od roku 1890 występowała gościnnie na scenach krajowych (Kraków, Warszawa) i zagranicznych, we Włoszech (Mediolan, Rzym, Wenecja), Rosji (w zespole włoskim), Budapeszcie i Wiedniu, w którym zerwała kontrakt z powodu niezadowolających ją propozycji repertuarowych. Tytułową Mognon Thomasa zadebiutowała w nowojorskiej Metropolitan Opera, gdzie gwiazdą była wspomniana Sembrich-Kochańska. Po wyjściu za mąż stopniowo wycofała się ze sceny, po raz ostatni śpiewając w 1902 roku w Krakowie już jako Mira Olszewska. Ostatecznie zamieszkała w Stanach Zjednoczonych, gdzie zmarła w latach dwudziestych, przy czym dokładny rok śmierci nie jest znany, podobnie jak w przypadku urodzin.

Tymczasem brat Ludwik po zdaniu matury we Lwowie rozpoczyna na miejscowym uniwersytecie studia prawnicze. Po dwóch latach wyjeżdża za granicę, odwiedzając Berlin, Paryż i Londyn. Po powrocie do kraju i odbyciu służby wojskowej nosi się z zamiarem wstąpienia do jasnogórskich paulinów, ale w końcu zostaje urzędnikiem w krakowskiej dyrekcji kolejowej, publikując jednocześnie recenzje teatralne i korespondencje w podwawelskim „Kurierze Polskim”, a także „Kurierze Lwowskim” i „Kurierze Warszawskim”. W 1895 roku wraz z Juliuszem Bandrowskim organizuje w Krakowie letni sezon operowy, a od 5 kwietnia 1896 r. obejmuje teatr lwowski. W tym samym roku umiera jego pierwsza żona Aleksandra. Od następnego sezonu już samodzielnie sprawuje dyrekcję, ale u progu nowego stulecia i przeprowadzki teatru miejskiego do zbudowanego właśnie gmachu przegrywa w Radzie Miejskiej rywalizację z Tadeuszem Pawlikowskim stosunkiem głosów 34 do

45. W tej sytuacji w 1902 roku zakłada w opuszczonym Teatrze Skarbowski drugą na ziemiach polskich Filharmonię, z którą rok później odbywa tournée koncertowe po Rosji. 11 października 1902 r. poślubia młodszą



od siebie o 13 lat Irenę Bohuss de Beherfalva, pochodzącą z osiadłej w Jarosławiu rodziny węgierskiej. W 1895 roku ukończyła z wyróżnieniem Konserwatorium Lwowskie w klasie Walego Wysockiego, ucząc się razem z Salomeą Kruszelnicką, Janiną Korolewicz, Eugenią Strassern. Swoje umiejętności wokalne doskonaliła następnie u Teresy Arklowej w Mediolanie. Debiutowała na scenie Teatru Skarbowskiego prawdopodobnie 2 marca 1895 r. w spodenkowej roli Siebla w „Fauście” Gounoda. Zrazu należała do zespołu operetkowego, występując w utworach Offenbacha i Sullivana, by niebawem na stałe przejść do operowego. Na osobiste życzenie kompozytora Henryka Skirmuntta uczestniczy w lwowskiej prapremierze jego „Pana Wołodyjowskiego” (1902 r.), wykonując partię Basi. Śpiewa zarówno w kraju (Warszawa) jak i za granicą (Praga, Rzym, Madryt, Lizbona, Petersburg). Apogeum jej kariery stanowią występy w londyńskiej Covent Garden (Norina w „Napoju miłosnym”, Magdalena w „Andrei Chénier”, tytułowa Adriana Lecouvreur w operze Cilei). W 1905 roku bierze udział w zorganizowanych przez męża włoskich premierach „Sprzedanej narzeczonej” (9 października) i „Halki” (5 listopada) w mediolańskim Teatro Lirico, odtworząc w obydwu operach tytułowe role. Jest cenioną interpretatorką nie tylko repertuaru włoskiego, zwłaszcza werystycznego (Mimi w „Cyganerii” Pucciniego, Nedda w „Pajacach”, Stella w popularnej niegdyś operze Oreficego, osnutej na kanwie życiorysu i utworów Chopina), ale i słowiańskiego (Tatiana w „Eugeniuszu Onieginie”, Hanna w „Strasznym dworze”) oraz wagnerowskiego (Elza w „Lohengrinie”, Freja i Gudruna w „Pierścieniu Nibelunga” na przełomie lat 1910 i 1911). Do polskiej premiery tego ostatniego doprowadził Ludwik Heller, od lipca 1906 r. ponownie stojący na czele lwowskiego teatru. Na tym stanowisku wykazuje dbałość o zróżnicowanie repertuaru, zaznajamiając publiczność z nowościami rodzimej i światowej dramaturgii (m.in. 18 sztuk Ibsena we własnej reżyserii). Przywiązuje duże znaczenie do starannej inscenizacji (sam przygotowuje spektakle operowe), na nowo organizuje skarbkowski fundusz emerytalny, a od podstaw zapomogowy dla personelu technicznego oraz wzajemną pomoc artystów. Zawozi teatr lwowski do stolic ówczesnego świata: Wiednia, gdzie pomiędzy 1 a 8 maja 1910 r. występuje na scenie Bürgertheater, oraz Paryża, w którym w dniach od 2 do 15 czerwca 1913 r. gościny udziela mu Théâtre Gymnase. W dowód uznania we Francji odznaczony zostaje Palmami Akademickimi I klasy. W okresie I wojny światowej opuszcza Lwów na czas zajęcia miasta przez wojska rosyjskie. Przebywając w Wiedniu zakłada w Residenzbühne polski zespół złożony z akto-

rów przebywających w austriackiej stolicy, a żona uczy śpiewu. Ale już w lipcu 1915 r., zaraz po wycofaniu się Rosjan, wracają do Lwowa, gdzie jeszcze przez trzy lata pełni funkcję dyrektora. Po odzyskaniu niepodległości przenoszą się do Warszawy, w której przed 14 laty przez pół roku prowadził z Zygmuntem Przybylskim zespół operetkowy w teatrze „Renaissance”. Teraz z kolei z Ryszardem Ordyńskim tworzy Towarzystwo Akcyjne Teatrów Stołecznych, w skład którego wchodzi grające operetki Nowości, a także Komedia oraz Maska. Przystępuje do przebudowy budynku dawnej panoramy Jana Styki „Golgota” przy ul. Karowej na potrzeby przyszłej opery, ale przedsięwzięcia tego nie udaje mu się doprowadzić do końca. W roku 1924 bezskutecznie ubiega się o dyrekturę Teatru im. Bogusławskiego.

Po wojnie Irena Bohuss-Hellerowa zamieniła scenę operową na dramatyczną, poświęcając się temu gatunkowi aktorstwa (30 lat później podobnie postąpiła włoska primadonna koloraturowa Toti Dal Monte). Występuje nie tylko w kierowanej przez męża Komedii, ale i w Reducie Juliusza Osterwy. Dramaty pisał również sam Heller, pod pseudonimem „Nieznajomy” („Debiutantka”, bądź do spółki z Henrykiem Cepnikiem („Za gwiazdą Napoleona”).

W końcu lutego 1926 r. Ludwik Heller doznaje wylewu, wskutek czego zostaje sparaliżowany. Umiera 5 marca przed południem w lecznicy Władysława Antoniego Gluzińskiego. We lwowskim „Słowie Polskim” z 10 marca ukazało się epitafium, złożone przez autora podpisującego się „Janek”: „Aktor na scenie kontent był z Hellera / Publiką w krzesłach i Słowacki w niebie / Nie dziw, że polska widownia i scena / W żałobie po nim obleka się w kiry / Bo deficytów oszczędził teatrowi / A widzowi szczędził teatralnej szmiry”. Dwa dni wcześniej w warszawskim kościele św. Barbary przy ul. Koszykowej odprawiono o godzinie 11 nabożeństwo żałobne, po czym odbył się pogrzeb na Cmentarzu Powązkowskim. Jak donosił następnego dnia „Kurier Warszawski” – „liczny orszak odprowadził zwłoki ś.p. Ludwika Hellera”, którego grób pokryły wieńce od „związku dyrektorów teatrów polskich, teatrów miejskich we Lwowie, teatrów stołecznych”.

Trzy miesiące później, 10 czerwca, w tragicznych okolicznościach zakończy życie Irena Bohuss-Hellerowa. Oto jak nazajutrz relacjonował przebieg wydarzeń „Kurier Poranny”: „Do szpitala Dzieciątka Jezus jakiś nieznajomy mężczyzna przywiózł dorożką z ul. Marszałkowskiej 33, zamieszkującą tam artystkę opery Irenę Bohuss-Hellerową. Lekarz dyżurny stwierdził na razie zatrucie veronalem. Heller nie odzyskała przytomności, rano zakończyła życie” (nr 160 z 11 czerwca, s. 4). Z kolei lwowskie „Słowo Polskie” nr 161 z 14 czerwca odślaniało głębsze tego tło: „Smutne przeżycia wojenne, tragizm w pożyciu małżeńskim w ostatnich latach (pozostawali w separacji – przyp. P. M. St.) podkopał i tak stargane zdrowie i nerwy, toteż zaczęła używać środków nasennych, co stało się wreszcie przyczyną jej śmierci. Pogłoski o samobójstwie na tle materialnym okazały się nieprawdziwe”. Tego samego dnia o godzinie wpół do dziesiątej rozpoczęły się uroczystości żałobne w kościele św. Boromeusza, zakończone złożeniem do rodzinnego grobu na Cmentarzu Powązkowskim. Stronę organizacyjną pogrzebu przyjął na siebie Związek Artystów Scen Polskich. □

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

Spotkania opłatkowe

*Któż to z rzędu Wigilia, kochani?
A każda Wigilia, czy dobra, czy zła,
Ślad pozostawia i co pozostanie,
To chrońmy przed zapomnieniem
Jak długo się da
Jak długo się da...*

– śpiewał Jerzy Michotek, nasz wielki bard lwowski i kresowy. Spotkania opłatkowe członków TMLiKPW to nasze kresowe wigilie od kilkunastu lat. Serdeczne, wzruszające. Stały się już tradycją. Ich niepowtarzalny urok i nastrój przyciągają na nie kresowian nawet z dalekich stron – pani Jadwiga Chruszczyk przyleciała na tegoroczny opłatek wrocławskich tłumaczan aż z dalekiej Kanady, 86-letni Julian Piotrowski, ostatni żyjący „cichociemny”, który walczył w Powstaniu Warszawskim, mimo złego stanu zameldował się, jak co roku, na opłatkowe spotkanie wrocławskiego Klubu Stanisławowian. To tylko drobne przykłady z najbliższego otoczenia, nie wspominam naszych rodaków zza wschodniej granicy, którzy z radością w nich uczestniczą, gdy tylko mają okazję i bardzo je przeżywają emocjonalnie.

Spotkania opłatkowe kresowian to piękna tradycja Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., zrodzona z potrzeby serca, z tęsknoty za utraconą małą ojczyzną młodości na Kresach. Choć nas coraz mniej, chrońmy ją przed zapomnieniem, jak nam nakazywał Jurek Michotek w tej nostalgicznej piosence wigilijnej. Jeszcze pamiętam, słyszę jego głos: „jak długo się da...”. Obiecujemy.

Instytut czy muzea?

Pierwszy pomysł utworzenia Muzeum Pamiętek Kresowych narodził się w latach 90. w środowisku kresowym we Wrocławiu, które jest największym skupiskiem ekspatriowanych lwowiaków i kresowian w kraju. To mini-muzeum miało się mieścić w Arsenale miejskim i kustosz tego muzeum p. Irena Zielińska zaczęła nawet zbierać i przyjmować pamiątki kresowe przynoszone przez wrocławian. Ale pani kustosz przeszła na emeryturę...

Podczas obchodów XV-lecia TMLiKPW w 2003 r. we Wrocławiu red. nac. czasopisma „Cracovia – Leopoldis” Andrzej Chlipalski wystąpił z dobrze uzasadnioną ideą utworzenia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów. Przejąłby on wielki dorobek TMLiKPW, jego klubów, oddziałów – piśmienniczy, pamiątnikarski, dokumentacyjny, pamiątki. Uporządkował i opracował naukowo dla potomnych. Idea zyskała aprobatę TMLiKPW i Zarząd Główny Towarzystwa upoważnił red. Chlipalskiego do realizowania jej.

Mimo że ta idea została spontanicznie poparta przez środowiska kresowe w kraju i za granicą, mimo starań

jej inicjatora, potrzeba było prawie trzech lat, żeby przebiła się do świadomości czynników decydujących o realizacji takich projektów i znalazła zrozumienie. I znowu we Wrocławiu, z okazji zakończenia II wojny światowej i zasiedlenia Ziemi Zachodnich Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego wystąpił z inicjatywą powołania Muzeum Ziemi Zachodnich „jako wyraz pamięci o tych, którzy uczynili Wrocław jednym z ważniejszych miast Europy, złożenia hołdu pierwszym mieszkańcom Dolnego Śląska”. Choć jest to projekt na skalę lokalną, TMLiKPW poparło go, bo widzimy w przyszłym muzeum miejsce także na kresowian. Przedstawiciele ZG Towarzystwa uczestniczą w dyskusjach merytorycznych o ostatecznym profilu tej placówki muzealnej. Jednocześnie nie rezygnujemy z myśli o realizacji naszej TMLiKPW idei powołania Instytutu. I są rezultaty tych rozmów, starań.

Dyrektor Ossolineum dr A. Juzwenko, po dwukrotnych spotkaniach z nim prezesa Andrzeja Kaminskiego i członków Zarządu Głównego TMLiKPW, wyraził zainteresowanie i poparcie dla idei red. A. Chlipalskiego. Jeśli uzyska aprobatę i poparcie ministra kultury i dziedzictwa narodowego dla utworzenia takiego instytutu, to oddałby do jego dyspozycji część pomieszczeń Muzeum Lubomirskich, którego budowa ma się rozpocząć w tym roku i będzie integralnie związane z Ossolineum (widziałby w nim makietę dawnego Lwowa autorstwa inż. Witwickiego, eksmitowaną z przenoszonego obecnie Muzeum Medalierstwa).

I ostatnia dobra wiadomość, tym razem z Warszawy. Rada Pamięci Walk i Męczeństwa podjęła na ostatnim swoim posiedzeniu uchwałę o powołaniu Muzeum Kresowego. Gdzie, kiedy? – nie wiemy. Czy to będzie instytut, czy muzeum, jaką będzie nosiło nazwę? – w tej chwili nie jest to istotne. Ważne jest, aby były najbliższe naszej idei i powstały jak najszybciej. Pokolenie ekspatriowanych ze Lwowa, Wilna, z Kresów odchodzi do przeszłości, jest nas coraz mniej... Nie traćmy więc czasu na rozważania i dyskusje: instytut czy muzeum, zbierajmy, porządkujmy, zabezpieczajmy materiały i pamiątki związane z dotychczasową działalnością klubów i oddziałów TMLiKPW. Tak jak to robi wiceprezes Oddziału Szczecińskiego TMLiKPW dr Krzysztof Szczur. Zebrał już ok. 300 biografii do „Złotej Księgi Zasłużonych Lwowiaków i Kresowiaków”. W tych dniach ukazał się także zbiór wspomnień pionierów Ziemi Odzyskanych pt. „Pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich”, które zebrał pracownik lwowianin śp. prof. Broś, a wydał Zarząd Główny naszego Towarzystwa przy finansowym wsparciu prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza. Dorzucimy je do TML-owskiego „wiana” dla instytutu lub muzeów kresowych. Wierzę, że powstaną i nasze kilkuletnie starania zostaną uwieńczone sukcesem. Tylko, daj Boże, doczekać najstarszym lwowiakom i kresowiakom...

Prawda zwyciężyła za późno

Sąd lustracyjny oczyścił sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika –

kandydata na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej – z podejrzeń o współpracę z tajnymi służbami PRL. A. Przewoźnik sam wystąpił o autolustrację. – Nie był on agentem SB – orzekł sąd lustracyjny. Zwycięstwo moralne przyszło jednak za późno.

Te podejrzania – jak informowaliśmy Czytelników „SF” – spowodowane przez jedną notatkę b. kaprała SB, który chcąc uzyskać pracę w policji III RP kłamliwie obciążał A. Przewoźnika, wyeliminowały go z konkursu na prezesa IPN. Droga wycieku tej notatki prowadziła do krakowskiego IPN, którego szefem był Janusz Kurtyka. I to on, jako jedyny kandydat do fotela po prof. Leonie Kieresie, został zaakceptowany przez Kolegium IPN. Sejm, mimo ujawnienia przez media dokumentów obciążających J. Kurtykę, wybrał go na prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, a Senat – „zaklepał” ten wybór. Opozycji nie udało się zablokować wyboru Partyki.

Arcybiskup Józef Życiński Metropolita Lubelski w liście do Andrzeja Przewoźnika napisał:

Sposób, w jaki potraktowano w ostatnich miesiącach Pana osobę, pozostanie dla przyszłych pokoleń smutnym świadectwem epoki. Świadczy on o braku elementarnej kultury środowisk, które w rozliczeniach z dziedzictwem PRL nie potrafią wyzwolić się ze stosowania metod równie żenujących jak dawne prowokacje SB. Ci wszyscy, którzy wnosili swój „wkład” do podobnych działań, kreując klimat sensacji i pomówień wokół Pańskiej osoby, powinni się zdobyć teraz na słowa wyraźnych przeprosin niosące nadzieję uniknięcia w przyszłości równie patologicznych zachowań. Ewentualny brak przeproszenia stanowił będzie świadectwo moralnego poziomu kandydatów na polskich Katonów rocznik 2005. (...)

Oczekuję, iż wrażliwe moralnie środowiska dziennikarskie podejmą trud wnikliwej analitycznej refleksji, pytając, w jaki sposób demokratyczne media zamieniają ludzi uczciwych w agentów. Refleksja ta jest niezbędna, aby przeciwdziałać w przyszłości podobnym powtórkom z barbarzyństwa. Mam bowiem do czynienia z nadzwyczaj poważną patologią wówczas, gdy w stronę uczciwych i odpowiedzialnych osób kieruje się zarzuty na podstawie przypadkowych zapisów sporządzanych przez byłych pracowników aparatu zakłamania, ci ostatni zaś zostają promowani do roli arbitrowi sprawiedliwości i autorytetów moralnych. Kiedy pogorzyć za sensacyjnym newsem staje się ważniejsza od godności osoby ludzkiej, pojawia się głęboki kryzys kultury i moralności.

Zapewniam Pana o mej modlitewnej więzi duchowej bliskości w tym trudnym czasie, kiedy naturalną reakcją może stanowić poczucie bólu, gorczy i osamotnienia. Proszę nie czuć się samotnym, gdy wiele osób patrzy z uznaniem na świadectwo Pańskiego stylu.

POZOSTAJĘ BLISKI W DUCHU I PRAWDZIE.

Zarząd Główny i członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w pełni solidaryzują się z listem abp. J. Życińskiego i jego odczuciami. My także, Panie Andrzeju, pozostajemy z Panem, jak dotychczas, bliscy w duchu i prawdzie.

Pamięci Wielkich Lwowiaków

„Pamięci Rudolfa Weigla (1883-1957), biologa, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Twórcy

szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Człowiekowi wielkiego serca i ogromnej odwagi”
Rodacy

Ten skromny napis widnieje na marmurowej tablicy umieszczonej na kamiennym obelisku, który stanął przed Instytutem Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda Akademii Nauk przy ul. Rudolfa Weigla we Wrocławiu. Jego treść mówi o Nim wszystko, ale...

Tablicę ufundowali weiglowcy – byli pracownicy Instytutu Weigla we Lwowie podczas okupacji hitlerowskiej. Byli hodowcami wszy; karmicielami oddającymi codziennie krew tysiącom wszy zdrowym i zakażonym; strzykarzami, którzy wstrzykiwali wszom zarazki; preparatorami, którzy wyjmowali owadom jelita i preparowali z nich szczepionkę skuteczną przeciw tyfusowi plamistemu, którego Niemcy bali się panicznie. Za jej odkrycie prof. Weigel był czterokrotnie mianowany do Nagrody Nobla, wielokrotnie wyróżniany. Za uratowanie ludzi w wielu krajach na różnych kontynentach papież Pius XI odznaczył Go orderem św. Grzegorza – najwyższym odznaczeniem papieskim.

Podczas okupacji prof. R. Weigl zgodził się produkować szczepionkę dla Niemców, ale wymógł, że to on decyduje kogo zatrudnić. Być weiglowcem, tj. pracownikiem Instytutu Weigla, podczas okupacji to oznaczało prawie nietykalność we Lwowie. Chroniło przed łapankami i wywózką do Niemiec. Uniknęli tego karmiacz wszy u Weigla profesorowie lwowscy, wśród nich b. rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza botanik Stanisław Kulczyński i geograf Alfred Jahn – po wojnie pierwsi rektorzy Uniwersytetu Wrocławskiego, sławny matematyk Stefan Banach i inni uczeni, a także poeta Zbigniew Herbert, pisarze Mirosław Żuławski i Jerzy Broszkiewicz, czy słynny dyrygent Stanisław Skrowaczewski. W ten sposób przetrwało okupację ponad tysiąc osób zatrudnionych u Weigla. Szczepionka przemycana z Instytutu do „lasu” i getta uratowała także życie wielu partyzantom i Żydom, m.in. prof. L. Hirszfeldowi. Mimo to, gdy prof. Weigel wyjechał ze Lwowa do Polski, władze PRL posądziły go o kolaborację z Niemcami i wycofały jego kandydaturę do Nobla...

W skromnej uroczystości odsłonięcia obelisku – płyty pamiątkowej poświęconej wielkiemu polskiemu uczonemu, oprócz wrocławskich weiglowców i z innych miast, uczestniczył także Andrzej Weigl, stryjeczny wnuk profesora. Świętana Hyalusz, dziekan Wydziału Biologii Uniwersytetu we Lwowie (mieści się w tym samym budynku, gdzie kiedyś Weigl pracował nad szczepionką) zapowiedziała, że za dwa lata, w 50. rocznicę śmierci Profesora, będzie też odsłonięta tablica pamiątkowa.

W warszawskim XVI Liceum dla Dorosłych im. Orłąt Lwowskich, które co roku organizuje Dni Lwowa i liczne imprezy z tej okazji, otwarto Salę Pamięci i Tradycji Lwowa im. Stefana Banacha i Zbigniewa Herberta. Ekspozycje zgromadzone w nich przybliżają uczniom sylwetki i dorobek naukowy oraz kulturalny wielkich lwowiaków – światowej sławy profesora matematyki i równie sławnego poetę oraz ich lwowskie środowisko.

Organizatorki i opiekunki Sal Pamięci – nauczycielki Maria Supratowska i Aldona Teler zostały uhonorowane przez ZG TMLiKPW Złotymi Odznakami Honorowymi Towarzystwa.

Lwowski Listopad w Lubelskim

W województwie lubelskim patronami czterech szkół – w Lublinie, Zamościu, Urzędowie i Krasnymstawie są Orłęta Lwowskie. W listopadzie ub. roku obchodziły Dzień Patrona, Dni Lwowa organizując wieczornice, spotkania, przeglądy piosenki lwowskiej, konkursy i wystawy. Szczególnie uroczysty charakter miały w Zamościu i Urzędowie.

W Zamościu Szkoła Podstawowa nr 8 im. Orłąt Lwowskich oraz miejscowe koło TMLiKPW zorganizowały II Dni Lwowa oraz II Przegląd Piosenki Lwowskiej. Honorowy patronat nad nimi objął prezydent Zamościa Marcin Zamojski.

W Przeglądzie Piosenki Lwowskiej uczestniczyły zespoły wokalo-instrumentalne oraz soliści z miejscowych szkół podstawowych i gimnazjalnych. Poziom II Przeglądu był wysoki, co jest niewątpliwą zasługą nauczycieli przygotowujących młodzież już od września i jury nie miało łatwego zadania z wytypowaniem najlepszych w poszczególnych kategoriach. W ramach obchodów Święta Szkoły odbył się również międzyszkolny konkurs plastyczny „Lwów w ilustracji”, na który wpłynęło 79 prac, oraz szkolny konkurs recytatorski „Lwów w poezji”. Uczennica klasy VI „a” Maja Ryń zaprezentowała w nim swój poetycki wiersz „Lwów miasto snów”. Ujawniła się młoda poetka?

Uczniowie, którzy zajęli pierwsze miejsca w wymienionych konkursach otrzymali od Biura Turystycznego Quand jako nagrodę główną jednodniową wycieczkę do Lwowa. Pojedzie, wraz opiekunami, 47 osób. Organizatorzy konkursów dziękują szefowi BT Quand.

Podczas uroczystej gali w Zamojskim Domu Kultury, w której udział wzięli wiceprezydent Zamościa Iwona Stopczyńska i inni przedstawiciele władz miejskich oraz miejscowe osobistości, prof. Władysław Stażka, członek Zarządu Głównego i prezes oddziału lubelskiego TMLiKPW odznaczył sztandar Szkoły Podstawowej nr 8 im. Orłąt Lwowskich Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa, przyznany na wniosek TMLiKPW „za propagowanie historii i dorobku kulturalnego i tradycji Lwowa oraz Kresów. Dziękując za wyróżnienie zamojskiej „8” zapewnił, że szkoła będzie „semper fidelis” historii, kulturze i tradycjom Lwowa.

Następnie uczniowie zaprezentowali, na tle dekoracji przedstawiającej bramę główną Cmentarza Łyczakowskiego, wzruszające widowisko przywodzące na myśl tragiczne i bohaterskie wydarzenia sprzed 87 lat. Szczególne wrażenie na widzach wywarł „apel poległych”, kiedy uczniowie przywoływali pamięć poszczególnych obrońców Lwowa, wymieniając ich nazwiska i wiek, jednocześnie zapalając świeczkę w przyciemnionej sali. Występ kapeli „Lwowska Fala” ze Lwowa zakończył się urzekającą imprezą. W przygotowaniu Święta Patrona Szkoły, jak nas poinformował dyrektor szkoły A. Plewa zaangażowani byli wszyscy nauczyciele „8”, ale szczególnie panie K. Suchoń-Krupa, A. Hamerska, I. Bronicka, M. Truszyńska-Kutnik, E. Sawicka oraz p. Wiesław Sroka.

Dzień Patrona w Urzędowie rozpoczęła Msza św. w intencji Obrońców Lwowa i miejscowego Zespołu Szkół im. Obrońców Lwowa z udziałem pocztów sztandarowych

oraz młodzieży i grona nauczycielskiego, przedstawiciele władz gminy i starostwa, przyjaciele szkoły. Po mszy wszyscy udali się pod pomnik Orłąt Lwowskich, wzniesiony w 1926 r. dłuta artysty-rzeźbiarza Józefa Rachwała, gdzie złożono kwiaty i zapalono znicze.

Podniosłym wydarzeniem uroczystej akademii Dnia Patrona było ślubowanie na sztandar szkoły uczniów pierwszych klas oraz odznaczenie Zespołu Szkół w Urzędowie i jej dyrektora Andrzeja Rolli Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa. Aktu dekoracji dokonał prof. Władysław Stażka, członek Zarządu Głównego i prezes Oddziału Lubelskiego TMLiKPW (odznaczenie przyznano na wniosek tego oddziału), po uprzednim zapoznaniu zgromadzonych z dziejami Kapituły Pierwszej i Drugiej Obrony Lwowa i treścią laudacji.

Na część artystyczną akademii złożyły się program literacko-muzyczny przygotowany przez młodzież oraz piękny koncert Zespołu Pieśni i Tańca Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Kończącym akordem obchodów Dnia Patrona Zespołu Szkół w Urzędowie było odsłonięcie i poświęcenie w tej szkole tablicy upamiętniającej syna tej ziemi, artystę-rzeźbiarza Józefa Rachwała (1889-1947), twórcę wspomnianego Pomnika Orłąt Lwowskich, marszałka Józefa Piłsudskiego i innych, m. in. w Warszawie – ufundowanej przez przyjaciół szkoły. W uroczystości uczestniczyła rodzina artysty, jego prawnuczka, również artystka-plastyk, która ofiarowała szkole swoje grafiki. Za wspieranie inicjatyw kulturalnych szkoły im. Orłąt Lwowskich starosta kraśnicki J. Sławiński odznaczył państwa Surdackich Medalem Starosty.

Gratulujemy obu szkołom prestiżowego wyróżnienia.

W upamiętnianie tradycji Orłąt Lwowskich włączył się też – jak co roku w listopadzie – Zespół Szkół nr 4 w Lublinie, noszący ich imię. W szkole odbyła się wieczornica z udziałem prezesa Oddziału Lubelskiego TMLiKPW prof. Wł. Stażki oraz członków Zarządu – dr H. Rodziewicz i mgr K. Chruszczewskiej.

Tematem wiodącym spotkania była relacja i wspomnienia z uroczystości ponownego otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa, a także przybliżenie młodzieży – głównie uczniom I klasy Gimnazjum – historii Lwowa i dziejów bohaterskiej obrony miasta przez ich lwowskich rówieśników. Mówił o nich wiersz „Orlątko” przywołany na początku spotkania przez recytatorkę, uczennicę II klasy.

Spotkanie odbyło się w bibliotece szkolnej, która dużą wagę przykładą do gromadzenia leopolińskich – wydawnictw i materiałów ikonograficznych. Zbiory biblioteki posłużyły do prezentacji wystawy książek oraz ekspozycji zdjęć z czerwcowych uroczystości we Lwowie.

TMLiKPW, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna, Towarzystwo Przyjaciół Krzemienia i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, Stowarzyszenie Rodzina Ponarska, Stowarzyszenie Rodzin Katyńskich i Związek Sybiraków, już po raz drugi zorganizowały w listopadzie w Lublinie Zaduszki Kresowe. W wieczornicy – wieczorze wspomnień m.in. o tragedii profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich opowiedział Andrzej Michałowski, sekretarz Oddziału Lubelskiego TMLiKPW.

Kiedy doczekają się cmentarza?

W Kaplicy Katyńskiej – Mauzoleum w Katedrze Wojska Polskiego w Warszawie odbyło się uroczyste odsłonięcie i poświęcenie przez arcybiskupa warszawsko-praskiego Sławoja Leszka Głódzia, imiennych tablic Polaków zamordowanych w 1940 r. przez NKWD na Ukrainie, ofiar zbrodni katyńskiej. Odsłaniając tablice z 3435 nazwiskami obywateli Rzeczypospolitej, której grobów dotąd nie odnaleziono, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa powiedział: – Pomordowani z tzw. Ukraińskiej Listy Katyńskiej nie mogą się doczekać takich cmentarzy jak w Katyniu, Charkowie i Miednoje.

W uroczystości uczestniczyli m.in. przedstawiciele Rodzin Katyńskich, generalicji WP oraz korpusu dyplomatycznego. Kaplica Katyńska powstała z inspiracji ówczesnego Biskupa Polowego WP gen. dyw. Sł. Leszka Głódzia dla upamiętnienia męczeńskiej śmierci 21857 obywateli RP – oficerów WP zamordowanych przez NKWD w 1940 roku.

Gratulujemy odznaczonym!

Krystynie Stafińskiej – prezes krakowskiego Klubu Stanisławowian TMLiKPW **Złotego Medalu Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej**, przyznanego przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, za pomoc w urządzeniu cmentarza zbiorowych mogił na miejscu mordu inteligencji stanisławowskiej w 1941 r. w Czarnym Lesie i organizowanie wycieczek-pielgrzymek do tego miejsca kaźni Polaków;

Adamowi Gyurkowiczowi – członkowi Zarządu Głównego i prezesowi Oddziału Krakowskiego TMLiKPW **Złotego Krzyża Zasługi** za działalność na rzecz środowiska kresowego;

Jerzemu Żukowi – członkowi Zarządu Głównego i wiceprezesowi Oddziału Krakowskiego TMLiKPW **medalu „Pro Memoria”** – za wieloletnią działalność w ratowaniu grobów polskich na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie;

Alfredowi Janickiemu – wiceprezesowi ZG TMLiKPW odznaki **„Zasłużonego działacza kultury”** za popularyzowanie wśród społeczeństwa na zachodnich rubieżach RP tradycji i kultury kresowej, organizowanie wystaw i imprez o treści patriotycznej;

Danucie Żelichowskiej i Janowi Zagoździe – b. pracownikom Polskiego Radia **Złoty Odznak TMLiKPW** za popularyzację na antenie I programu PR przedwojennych piosenek, melodii lwowskich i kresowych oraz współczesnego barda kresowego śp. Jerzego Michotka.

Członkiniom Oddziału Lubelskiego TMLiKPW: **dr med. Zuzannie Stażce, dr med. Helenie Rodziewicz i Stanisławowi Wojdzie** przyznania **Krzyży Drugiej Obrony Lwowa** za działalność niepodległościową w okresie okupacji.

Pod świąteczną choinkę

Ze świąteczną pomocą rodakom pojechał, jak co roku, do Lwowa specjalny wysłannik wrocławskiej Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” Jerzy Tandecki. Zawiązał zlotówki uzyskane z aukcji obrazów artystów plastyków polskich i ukraińskich z plenerów we Lwowie i w Karpaczu oraz prac – malarstwo, grafika, ceramika i szkło – ofiarowanych przez wrocławskich artystów: prof. Grażynę Płocicę, prof. Andrzeja Klimczak-Dobranickiego,

Marię Rowdo, Stanisława Sobalę, Stanisława Przewłockiego i in. Aukcja odbyła się tradycyjnie w „Dworze Polskim”.

Pomnik Bandery na 750-lecie Lwowa

Wielu z nas sądziło, że po zwycięstwie „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie, spontanicznie i gorąco popartej przez Polaków tu i tam, rozsądnie i poważnie myślący ludzie we Lwowie, a tacy chyba jeszcze są, zaniechają budowy pomnika dowódcy zbrodniczej UPA Stepana Bandery, tuż przy b. kościele św. Elżbiety. Nam, byłym mieszkańcom Kresów, także Żydom, Rosjanom, a nawet wielu Ukraińcom S. Bandera kojarzy się bowiem z ludobójstwem na Wołyniu, Podolu, w tarnopolskiem, stanisławowskiem a nawet lwowskim. Myliliśmy się – lwowscy nacjonaliści nie zrezygnowali ze swoich planów gloryfikacji UPA i jej przywódców...

Jak doniósł ukraiński dziennik „Nowost”, po wielu dyskusjach i siedmiu konkursach na pomnik Bandery, wybrano ostatecznie projekt artysty-rzeźbiarza Mikołaja Posikiry i architekta Michała Fedyka. Postać stojącego na cokole „wodza” UPA będzie miała ok. 6 metrów wysokości. Za nim wzniesione zostaną 30-metrowej wysokości Triumfalne Arkady z tryzubem na górze. Mają symbolizować ukraińską państwowość, a pomnik Bandery na ich tle jej przewodnika.

Na placu budowy, która jeszcze w ub. roku wydawało się, że jest „zamrożona”, trwają prace zbrojeniowe terenu, ustawiono pierwsze elementy metalowych konstrukcji, które będą montowane w trzech etapach. Monument ma być gotowy na obchody 750-lecia Lwowa jesienią tego roku. Wówczas ul. Bandery można by przemianować na Prospekt UPA lub Banderowców – zaczynał by się od szkoły (polskiej) z popiersiem „rizuna” gen. Tarasa Czuprynki, znajdującym się na ścianie frontowej budynku, a kończył na monumencie z S. Bandera. Pośrodku trasy można zwiedzić galerię popiersi przywódców i wodzów OUN-UPA w holu Politechniki Lwowskiej.

Pomniki S. Bandery stoją już w Stanisławowie, Drohobyczu, Stryju, Dublanach, Mościskach i we wsi Uhrynów w stanisławowskim. Ale Prospekt UPA będzie miał tylko Lwów!

Tym „prospektem” nie dojdziemy do pojednania polsko-ukraińskiego...

Przy okazji odkryła swoje korzenie

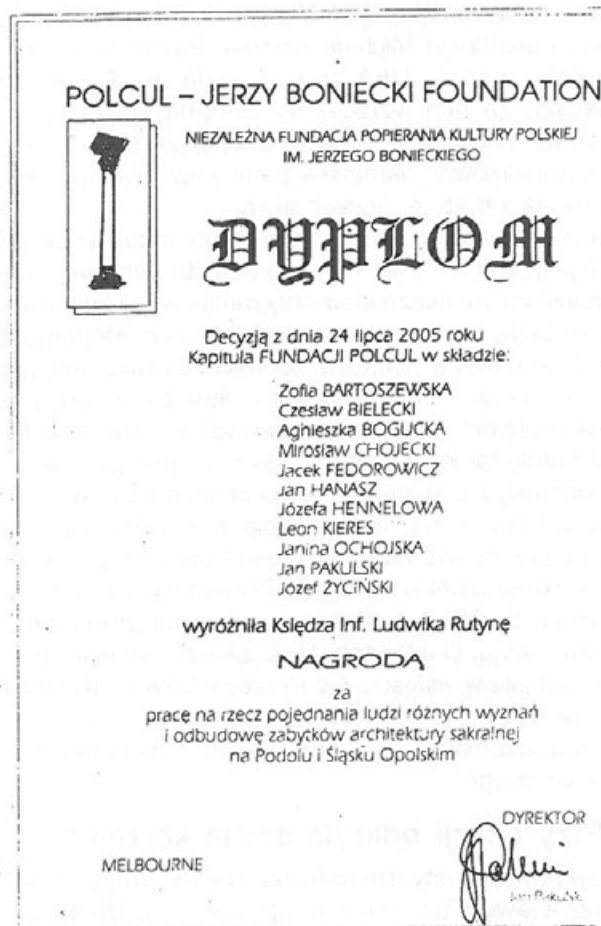
Przed dwoma laty dziennikarka Nadina Wójcik z niemieckiej telewizji ZDF-2 robiła reportaż o drodze ekspatriowanych Polaków z Kresów na obecne Ziemie Zachodnie. M.in. sfilmowała Muzeum Kresowe w Węglińcu, rozmawiała z ówczesnym prezesem Tarnopolan TMLiKPW, mieszkańcami. 15-minutowy reportaż z tej wizyty ukazał się w telewizji niemieckiej w porze dużej oglądalności (godz. 16) w audycji „Heute in Europa”.

Tematyką przedstawioną w nim zainteresował się Uniwersytet Berliński i Nadina Wójcik pisze pracę magisterską na tej uczelni (kierunek politologia) na temat „Zachowania i kontynuacja kultury kresowej w trzech pokoleniach rodzin kresowych”. Materiał do swojej pracy zbiera w rodzinach zamieszkanych w Czerwonej Wodzie i Gieraltowie na Dolnym Śląsku.

Zafascynowana jest gościnnością i otwartością serc rodzin, które odwiedziła. Przy okazji odkryła, że korzenie jej rodziny wywodzą się aż z Dobromila koło Lwowa!

Jubileusz kapłański ks. inf. L. Rutyny

88-letniego księdza infułata Ludwika Rutynę znają na pewno ci, którzy będąc na Kresach odwiedzili kościół w Buczaczu ufundowany ongiś przez Potockich. Drobny, siwy jak gołąbek, kapłan powrócił do tej świątyni po latach pobytu w Koźlu, gdzie był proboszczem. Powrócił, by przejąć ją zniszczoną, na szczęście wewnątrz, od władz, wyremontować i otworzyć ponownie dla wiernych. W niej był ochrzczony Jego ojciec i On. Przy pomocy miejscowych katolików i rodaków z Polski przywrócił buczański kościół do życia religijnego. Za to, a wcześniej za organizowanie odbudowy zabytków architektury sakralnej na Śląsku Opolskim, został ostatnio wyróżniony dyplomem i nagrodą pieniężną kapituły POLCUL, fundacji założonej przez śp. Jerzego Bonieckiego, rodaka, przemysłowca i społecznika w Sydney.



Ks. inf. L. Rutyna jest obecnie dziekanem Dekanatu Buczacko-Czortkowskiego Archidiecezji Lwowskiej. Dyplom i nagroda będą Mu wręczone 16 lipca br. podczas uroczystości 65-lecia Jego święceń kapłańskich i 15-lecia odzyskania kościoła w Buczaczu. Z tej okazji odbędzie się pielgrzymka wiernych w dniach 12-20 lipca br. do Buczacza, która uświetni te uroczystości i będzie wspólną radością wiernych i Jubilata. Już przygotowują się do niej m.in. buczaczanie zamieszkali w Bolesławcu.

Ukrainie grozi... wymarcie?

W ostatnich dziesięciu latach liczba ludności ukraińskiej zmniejszyła się prawie o 4,5 miliona osób i slogan

wyborczy prezydenta Kuczmy: „Nas – 52 miliony” jest już nieaktualny. W porównaniu z rokiem 1995 obecnie umiera o 20 proc. więcej, a rodzi się o 28 proc. mniej obywateli. Według demografów Ukraina stała się „najstarszym” spośród państw byłego ZSRR. Według prognoz ONZ w 2050 roku liczba ludności Ukrainy ma się zmniejszyć o... 18 milionów. Po raz pierwszy wskaźnik śmiertelności przewyższa wskaźnik urodzin z 1994 r. W latach 1993-2000 liczba ludności Ukrainy zmniejszyła się o 3 miliony osób.

Przyczyny? Zmniejsza się liczba rodzin, a prawie 40 proc. małżeństw nie ma dzieci. Ukraina stała się państwem o największej na świecie liczbie dzieci-jedynaków. Zdolni do pracy mieszkańcy Ukrainy – 5-8 milionów – szukają jej za granicą, a liczba osób, które ukończyły 60. rok życia, wzrosła dwukrotnie.

„Pomarańczowa rewolucja” nie rozwiązała na razie tych problemów.

„Tu mieszkała S. Kruszelnycka...”

... wielka ukraińska śpiewaczka”. Tablicę tej treści odsłonięto w Nisku koło Tarnobrzegu, gdzie mieszkała w 1881 r. primadonna europejskich scen operowych. W jej programie znajdowało się 30 oper, w tym partia Halki w operze St. Moniuszki, występowała na scenach operowych Krakowa, Warszawy, we Włoszech, Rosji, Francji, Niemiec, Hiszpanii – przez prawie 60 lat. Imię tej wielkiej śpiewaczki nosi wiele instytucji kulturalnych na Ukrainie. Dowiedzieli się o tym mieszkańcy Niska podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej jej poświęconej, z udziałem zaproszonych gości ukraińskich.

Najpopularniejsi Polacy na Ukrainie

Czasopismo „Ukraina” opublikowało w ub. roku listę najwybitniejszych Polaków w oczach mieszkańców Ukrainy. Reżyser filmowy Jerzy Hoffman i pisarz Henryk Sienkiewicz są najczęściej wskazywani przez grupę najmłodszych respondentów (18-19 lat); Anna German, Lech Wałęsa i Maria Skłodowska-Curie – przez grupę wiekową od 30 do 44 lat. Papież Jan Paweł II, Fryderyk Chopin i prezydent Aleksander Kwaśniewski – przez grupę od 45 do 60 lat. Aktorka filmowa Barbara Brylska, Mikołaj Kopernik i Adam Mickiewicz są najbardziej popularni w dwóch grupach wiekowych: od 30 do 44 lat (większa) i powyżej 60 roku życia (trochę mniejsza). Wśród mieszkańców zachodnich regionów Ukrainy marszałka Józefa Piłsudskiego 4 proc. ankietowanych (w Polsce 23 proc.) uznało za jednego z najwybitniejszych.

Największym zaskoczeniem ukraińskiego sondażu – według przeprowadzających go – jest drugie miejsce Jana Pawła II na liście rankingowej.

Był ceniony i lubiany nie tylko w ojczystym kraju...

Najstarsza Czytelniczka „SF”

Dr Stanisława z Kosteckich Piskozubowa urodziła się w 1911 roku. Ukończyła gimnazjum SS. Urszulanek w Stanisławowie, gdzie mieszkała z rodzicami. Później, od 1930 r., studiowała medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a po studiach zdążyła jeszcze zrobić doktorat, ukończony na wiosnę 1939 r. Tuż przed wojną, wraz z mężem ze Stanisławowa dr. Wacławem Piskozubem, zamieszkali w Mielcu. Przechodzili, jak większość Polaków, różne perypetie wojenne i tam pozostali do dziś.

Pani Stanisława skończyła 16 stycznia 95 lat. Umila sobie życie czytaniem „Semper Fidelis” „od deski do deski”, jak nas poinformowała jej siostra prof. M. Pawłówna. Podobno najbardziej lubi czytać... „Kronikę Kresową”, a potem dzieli się telefonicznie z siostrą uwagami. To miłe, ale nie uwierzę, aż nie sprawdzę, czy rzeczywiście pani Stanisława jest taką pilną Czytelniczką „SF”? Dziękujemy za słowa uznania. Życzę dużo zdrowia i miłej lektury „SF”. Będziemy się starali je redagować ciekawie!

Świąteczny prezent z Londynu

Zjednoczenie Polek na Emigracji w Londynie przekazało – za pośrednictwem Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” – 500 funtów dla młodego Polaka Władysława Cyrulika (z Turkiestanu), studiującego na Politechnice Wrocławskiej. Nie otrzymuje on stypendium umożliwiającego studia. W. Cyrulik jest przewodniczącym Koła Studentów zza wschodniej granicy. Ogromnie ucieszył się z otrzymanej „gwiazdki”.

„Kresy na nowo odkryte

– wspólne dziedzictwo Polski i Ukrainy”. Taki tytuł ma niezwykle interesująca wystawa otwarta w grudniu w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie. Otwarcia wystawy towarzyszyła promocja książki „Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego”, wydanej nakładem MCK.

Wystawę odwiedził m.in. w styczniu dyrektor wrocławskiego „Ossolineum” dr Adolf Juzwenko. Wygłosił bardzo ciekawą prelekcję o kolejach losu tego zakładu naukowego – dumy Lwowa, a obecnie Wrocławia – perspektywach rozbudowy i możliwościach skopiowania na elektroniczne nośniki zbiorów „Ossolineum” pozostających we Lwowie.

Ci, którzy widzieli tę krakowską wystawę, zachęcają do jej odwiedzenia. Warto. MCK mieści się w Rynku Głównym 25.

Wędrująca wystawa przypomina i ostrzega

Wystartowała we Wrocławiu, odwiedziła już Opole, Kędzierzyn-Koźle, Żary, Bolesławiec, obecnie trafia do Węglińca. Na 16 planszach ze zdjęciami – z archiwów niemieckich, rosyjskich i polskich – ukazana jest „Golgota Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich w latach 1939-1947”. Tytuł wystawy przygotowanej przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów jest adekwatny do jej treści – przypomina, uczy i ostrzega. Cieszy się zainteresowaniem mieszkańców miast, które odwiedza, bo wielu z nich pochodzi z Kresów i z autopsji pamięta, gdy byli terroryzowani, ściągnięci, okaleczani i mordowani przez bandy UPA i nacjonalistów ukraińskich tylko dlatego, że byli Polakami.

Wędrująca wystawa odwiedzi jeszcze Bydgoszcz, Toruń, Słupsk.

Na odbudowę lwowskich cmentarzy

Zarząd Oddziału Stołecznego TMLiKPW przekazał na ręce sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa 20 995 złotych na odbudowę i renowację grobów na cmentarzach Janowskim i Łyczakowskim we Lwowie.

Kwotę tę zebrano podczas kwesty w dniach Świąt Zmarłych wokół cmentarzy Powązkowskiego, Bródnowskiego oraz na Cmentarzu Wojskowym. Kwestarzami byli członkowie Towarzystwa oraz młodzież z wychowawczyniami Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich w Warszawie.

Żyła 103 lata

4 grudnia ub. roku zmarła najstarsza lwowianka we Wrocławiu – Józefa Anna z Bychowskich Januszowa (matka dr Danuty Nespiak). Ekspatriowana ze Lwowa żyła 60 lat w grodzie nad Odrą – w sumie 103 lata. Spoczęła na cmentarzu św. Rodziny, gdzie pochowanych jest większość zmarłych wrocławskich lwowiaków. Tu stoi metalowy pomnik Orłąt Lwowskich – pierwszy wzniesiony w PRL – przy którym co roku 22 listopada, w rocznicę zwycięskiej obrony Lwowa, zbierają się członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., aby uczcić pamięć Orłąt oraz tu spoczywających lwowiaków i kresowiaków.

15-lecie „Gazety Lwowskiej”

Założona w 1811 r. „GL” ukazywała się do 1944 r. Odrodziła się w grudniu 1990 r. i odtąd dwa razy w miesiącu trafia do rąk Czytelników na Ukrainie i za granicą, informując o życiu mniejszości polskiej i jej problemach, o działalności polskich organizacji, odrodzonego Kościoła katolickiego oraz aktualnych wydarzeniach na Ziemi Lwowskiej, a także w Polsce. Redaguje gazetę zespół w składzie: Irena Masalska, Longina Sikirnicka, Maria Basza, Barbara i Emil Legowiczowie oraz Jurij Smirnow. Starają się robić „GL” coraz lepszą, ale nie mają łatwego życia. Niech Wam nie zabraknie inwencji dziennikarskiej i uporu w pokonywaniu trudności. „SF” dołącza się do gratulacji z okazji Jubileuszu.

Więści ze Lwowa

● Wicemarszałek Senatu RP M. Płażyński, senator A. Kurska, ambasador RP na Ukrainie J. Kluczkowski, prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” W. Bilut i Konsul Generalny RP we Lwowie W. Osuchowski spotkali się w siedzibie TKPZL z kierownictwem organizacji polskich działających we Lwowie.

● Były gubernator lwowski Stepan Senczuk został zastrzelony przez nieznanych sprawców obok stacji paliw w Brzechowicach.

● Konserwatorzy zabytków, lwowscy i zagraniczni, badają fundamenty Kaplicy Boimów, próbując wyjaśnić przyczyny wysokiej ich wilgotności, która rozmywa zabytek. Potem rozpocznie się konserwacja kaplicy.

● Odwołany był mer Lwowa Wasyl Kujbida będzie ponownie merem... Lwowa? Poleciała go Rada Polityczna „Nasza Ukraina”.

● 16 stycznia 15 lat temu papież Jan Paweł II wskrzesił struktury diecezjalne Archidiecezji Lwowskiej.

● Kopię Całunu Turyńskiego przywieziono do katedry greckokatolickiej św. Jura.

● W tym roku ma być rozpoczęta budowa nowej siedziby Konsulatu Generalnego RP. Kiedy powstanie Dom Polski we Lwowie? – wciąż zależy od dobrej woli strony ukraińskiej...

KRONIKARZ KRESOWY

Maria Pawłowiczowa

Wojenne losy księży na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej

We wrześniu 2005 roku, w Miesiącu Pamięci Narodowej, ukazała się *Lista strat wśród duchowieństwa Metropolii Lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939-1945*. Bardzo starannie i przejrzyście wytłoczyła ją Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu. W podtytule zaznaczono, iż jest to „Publikacja ku uczczeniu 60-tej rocznicy zakończenia II wojny światowej”.

Lista strat to praca zbiorowa pod naukową redakcją ks. Józefa Krętosza i Marii Pawłowiczowej. Ponieważ w skład Metropolii Lwowskiej wchodziły niegdyś trzy diecezje: przemyska, łucka i lwowska, *Listę strat* wykonało trzech autorów: odpowiednio ks. Henryk Borcz, Adam Peretiatkowicz i ks. Józef Krętosz. Redakcją techniczną publikacji zajęła się Weronika Pawłowicz, a recenzentem był ks. biskup prof. dr hab. Jan Kopiec. Jego pióra są również „Noty o redaktorach niniejszej publikacji” (s. 75).

Jak wynika z owych „Not” ks. Henryk Borcz jest doktorem teologii w zakresie historii Kościoła i pełni funkcję dyrektora Archiwum Diecezjalnego w Przemyśle. Tematyka jego prac związana jest z przeszłością kościelną diecezji przemyskiej. Ks. prof. dr hab. Józef Krętosz jest profesorem Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jego zainteresowania naukowe skupiają się wokół dziejów Kościoła w archidiecezji lwowskiej, której poświęcił liczne publikacje. Prof. dr hab. Maria Pawłowiczowa (pochodzi ze Stanisławowa) jest emerytowanym profesorem Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego. Wiele z jej prac dotyczy Kresów Wschodnich. Doc. dr inż. Adam Peretiatkowicz, emerytowany pracownik Głównego Instytutu Górniczego w Katowicach, pochodzi z Wołynia. Tematyka jego publikacji dotyczy Samoobrony Polskiej na Wołyniu, w walkach której brał udział jako porucznik AK. Jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Weronika Pawłowicz, która perfekcyjnie przygotowała *Listę strat* do druku, obroniła rozprawę doktorską na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego.

Na podkreślenie zasługują duże różnice wiekowe występujące w tym zespole badawczym. Obok autorów, którzy są „świadkami historii”, występuje młode pokolenie naukowców, pragnące udokumentować wojenną przeszłość Polski. To dobry znak.

Właściwą *Listę strat* poprzedza niezwykle wnikliwa rozprawa pt. „Martyrologium duchowieństwa Metropolii Lwowskiej w latach II wojny światowej” autorstwa ks. Józefa Krętosza, w której przedstawione zostały: cel podjętych badań, ich wyniki oraz dalsze perspektywy (s. 7-22). Tekst ten ubogacony jest 11 tabelami, które w sposób jasny ujmują i ukazują problematykę dramatycznych losów Kościoła na Kresach.

W znacznym stopniu recepcję pracy ułatwia zawarta w niej „Mapa Metropolii Lwowskiej”, zaś jako liryczne motto tej naukowej rozprawy zacytowany został piękny wiersz „Rozstrzelany kościół” znanego poety wołyńskiego

Lista strat składa się z krótkich biogramów księży diecezjalnych i zakonników (s. 23-65). Ogółem w latach 1939-1945 zginęło ich na terenie Metropolii Lwowskiej 255. Informacje o życiu oraz okolicznościach śmierci tych duchownych zaczerpnęli autorzy haseł ze źródeł rękopiśmiennych i drukowanych oraz z licznych opracowań. Źródła kościelne to akta personalne, martyrologia zakonne, schematyzmy itd. Wzięto przy tym pod uwagę zarówno dokumentację poszczególnych diecezji, jak i parafii. Wykorzystano też opracowania naukowe, publicystyczne, pamiętnikarskie, encyklopedie, słowniki, itp. (s. 12). Szczegółowy wykaz literatury przedmiotu zamieszczono na końcu książki (s. 67-72).

Mimo tak bogatej bazy materiałowej oraz wielu opracowań, autorzy haseł zaznaczają, iż nadal istnieją jeszcze „białe plamy”, które należy w dalszych badaniach wyjaśnić. *Lista strat* jest bowiem dopiero pierwszą próbą takich obliczeń na wybranym terenie dawnej organizacji Kościoła w Polsce.

Ramy czasowe pracy dotyczą II wojny światowej. 1 IX 1939 roku wkroczyli do Polski Niemcy, 17 IX Związek Sowiecki opanował Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej (na podstawie układu Ribbentrop-Mołotow). Wówczas też rozpoczęła się tam I okupacja sowiecka. Wybuch wojny między Niemcami a ZSRR w czerwcu 1941 roku zapoczątkował na Kresach okupację niemiecką (1941-1944). W 1944 roku na Kresy wrócili Sowieci. W tych trudnych i zmiennych latach okupacji na terenie Metropolii Lwowskiej Polakom zagrażała więc kolejno zagłada z rąk Sowieców, Niemców i współpracujących z nimi nacjonalistów ukraińskich, a od 1944 roku ponownie ginęli oni z rąk NKWD.

Wrogowie Polski podczas wojny i okupacji zagrażali wszystkim Polakom bez różnicy wieku i zawodu. Ale szczególną nienawiścią palali do inteligencji, ponieważ wiedzieli, iż niszcząc ją unicestwią polską tożsamość narodową. Taka idea przyświecała twórcom Katynia. W okupowanym kraju w pierwszej linii osób prześladowanych byli nauczyciele oraz księża katolicy, ponieważ szkoła i Kościół stanowiły ostoję polskości dla nękanego kraju. Z tej racji właśnie te instytucje poniosły tak liczne podczas wojny ofiary. Duchowni ginęli jako Polacy i księża. Nie jest przypadkiem, że w Czarnym Lesie, gdzie gestapo zamordowało polską inteligencję, w tym 80% nauczycieli Stanisławowa, w zbiorowej mogile są też szczątki ks. Lucjana Tokarskiego, a wśród zamordowanych Profesorów Lwowskich uczelni na Wzgórzach Wóleckich był również ks. doc. dr Władysław Komornicki.

Wydana obecnie w Opolu *Lista strat* ujmuje tylko nazwiska duchownych, którzy zginęli tragicznie w latach 1939-1945 na skutek działań wojennych i zbrodni okupantów. Nie wzięto pod uwagę tych, którym udało się przetrwać łagry i więzienia, a zmarli dopiero po zakończeniu wojny, gdyż autorzy książki zrezygnowali z konwencji martyrologium. Ponadto nie ma w tej publikacji

nazwisk księży, którzy zmarli podczas wojny śmiercią naturalną, ponieważ brak jest pełnych danych umożliwiających takie studia (kryteria doboru materiału przedstawiono na s. 13).

Straty wojenne Metropolii Lwowskiej w liczbach, wykazane przez ks. Krętosza w tabeli 1, wynoszą 255 duchownych. W tym, według ustaleń, najwięcej zginęło ich w archidiecezji lwowskiej – 139, w diecezji łuckiej – 65, a w przemyskiej – 51 kapłanów. W tej liczbie było 199 księży diecezjalnych i 56 zakonników. W tabeli 2 wymienionych zostało 14 zakonów, których członkowie zginęli w Metropolii Lwowskiej. Najwięcej strat poniósł zakon OO. Dominikanów (12 osób), Franciszkanów Konwentualnych (9), Bernardynów (8), Jezuitów (5) i Karmelitów (4 osoby). Inne zgromadzenia straciły mniej osób. I tu znowu prawidłowość podobna do poprzedniej – najwięcej zakonników oddało życie w archidiecezji lwowskiej (41), dużo mniej w łuckiej (9), a w przemyskiej sześciu.

Chcąc dokładnie zanalizować materiał zgromadzony w trakcie opracowywania *Listy strat*, ks. Krętosz podzielił na cztery kategorie sprawców śmierci kapłanów. Byli to: Sowieci, Niemcy, Ukraińcy oraz „nieznani sprawcy” lub inne okoliczności (tabela 3-8).

1. Z rąk Sowieców ginęli duchowni w więzieniach, łagrach, zabici zostali przez NKWD lub żołnierzy.

2. Za sprawą Niemców tracili życie w obozach koncentracyjnych, więzieniach, zamęczeniu zostali przez gestapo lub rozstrzelani przez wojsko.

3. Ofiarami ukraińskich zbrodni byli duchowni zamordowani przez formację wojskową UPA, Policję Ukraińską oraz przez niezrzeszonych nacjonalistów ukraińskich.

4. „Nieznany sprawcami” zabójstw byli przeważnie Ukraińcy lub NKWD. Ponadto do tej kategorii zaliczył ks. Krętosz ofiary działań wojennych, jak również kapłanów wojskowych, którzy ginęli w walkach.

W świetle tych obliczeń – z ogólnej liczby 255 ofiar – 76 duchownych zabili Ukraińcy, 67 Sowieci, 61 Niemcy, zaś 51 zginęło w różnych okolicznościach.

Procentowo największe ofiary z rąk ukraińskich poniosło duchowieństwo archidiecezji lwowskiej – 35,3%, w diecezji łuckiej było 33,8%, w przemyskiej – 9,8%.

Natomiast z rąk niemieckich zginęło najwięcej w diecezji przemyskiej – 37,7%, mniej w łuckiej – 21,5%, a w lwowskiej 20,1%.

Zbrodnie sowieckie we wszystkich diecezjach znajdują się na drugim miejscu: w diecezji przemyskiej było to 31,4%, w łuckiej 26,2%, w lwowskiej 24,5%.

W podsumowaniu tej tragicznej statystyki wskazano nacjonalistów ukraińskich jako winnych najliczniejszych dokonanych na księżach zbrodni (s. 17-18).

Przytoczone powyżej konstatacje natury ogólnej można jeszcze uzupełnić ustaleniami szczegółowymi. Opierając się na analizie 255 krótkich biogramów zmarłych tragicznie duchownych można bowiem określić ich wiek. Najstarszy z nich – ks. Szczepan Szymkiewicz – zginął podczas działań wojennych mając 102 lata. Najmłodszy to dwudziestodwuletni franciszkanin, br. Jan Kotynia, który wkrótce po rozpoczęciu nowicjatu w 1939 roku poniósł śmierć na skutek wybuchu bomby. 80 lat miał ks. Edmund Dutschka, gdy umierał na zesłaniu w Kazachstanie. A ks. Stanisław Gustkiewicz zginął

w niemieckim obozie koncentracyjnym w wieku zaledwie 26 lat. O rok młodszy od niego O. Tomasz Borsuk z zakonu OO. Bernardynów, wyświęcony dopiero podczas wojny (1942 r.) zamordowany został przez UPA we Fradze w 1944 roku.

Kontynuując analizę można też określić bliżej dwie główne grupy wiekowe. 150 duchownych urodziło się w stuleciu XIX, 102 – już w wieku XX, czyli przeważnie mieli oni około 40 lat w okresie wojny i okupacji (w trzech biogramach nie ustalono daty urodzenia).

W liczbie 255 duchownych objętych *Listą strat* znalazło się również 21 kapłanów wojska polskiego. Walczyli na wielu frontach w kraju oraz w Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Czterech z nich zginęło w walkach w roku 1939 i 1945. W Starobielsku i Katyniu zamordowanych zostało siedmiu. Trzech zginęło pod Monte Cassino i Loreto. Ponadto jeden został zamordowany przez Ukraińców, czterech przez Niemców i dwóch przez NKWD.

Ks. prof. Krętosz przedstawił również materiały, do których dotarł w Lubaczowie. Są to kompletne wykazy duchowieństwa świeckiego, ale jedynie archidiecezji lwowskiej (tabela 9-11). W 1939 roku pracowało w niej 754 księży diecezjalnych oraz 443 zakonników. Na podstawie tych źródeł przeprowadził on porównanie umieralności księży diecezjalnych w czasie trwania wojny z liczbą tych, którzy zmarli tragicznie. Tak więc w latach 1939-1945 tylko w tej jednej diecezji z przyczyn naturalnych zmarło 101 księży. Liczba zabitych w tym czasie wyniosła natomiast 85 księży. Łącznie dało to liczbę 186 kapłanów. Chcąc tak wielkim stratom personalnym zaradzić, ks. arcybiskup Bolesław Twardowski i jego biskup pomocniczy Eugeniusz Baziak wyświęcili w latach 1939-1945 we Lwowie 104 neoprezbiterów. Ostateczny bilans osobowy w 1945 roku w odniesieniu do stanu z 1939 roku wynosił 89,1%. Z tego powodu diecezja lwowska po doświadczeniach wojny ze swoim zasobem księży „była przygotowana w 1945 roku do dalszej pracy duszpasterskiej i usuwania zniszczeń, zwłaszcza duchowych”. Były to prognozy optymistyczne.

Stało się jednak inaczej, ponieważ na podstawie postanowień podjętych przez mocarstwa w Jaltie, Teheranie i Poczdamie oraz porozumień Związku Radzieckiego z PKWN, w 1945 roku zaczęła się ekspatriacja ludności polskiej z Kresów Wschodnich wcielonych do Związku Sowieckiego. I jak autor rozprawy podkreślił, kapłani wraz z wiernymi podążyli na Zachód w transportach ewakuacyjnych, głównie na Ziemię Odzyskaną i tam włączyli się w odbudowę, a na Ziemi Lubuskiej i Pomorzu Zachodnim – w budowę od podstaw duszpasterstwa i organizacji Kościoła Rzymskokatolickiego.

W podsumowaniu należy zaznaczyć, iż mimo upływu 60-ciu lat od zakończenia II wojny światowej, w której Polska poniosła ogromne ofiary, nie są jeszcze w pełni uregulowane stosunki naszego kraju z sąsiadami.

Dłoń wyciągnięta przez biskupów polskich do niemieckich w roku 1965 była początkiem takiego porozumienia. Przyniosło to pewne owoce, ale w dalszym ciągu Polacy czują się zaniepokojeni zapowiedzią otwarcia Centrum Wypędzonych oraz roszczeniami majątkowymi Niemców.

Z Rosją nie można uregulować sprawy Katynia i odpowiedzialności za wywiezienie na Sybir 2 milionów

osób spośród ludności cywilnej Kresów, mające na celu wyniszczenie Polaków.

Chociaż pomogliśmy Ukrainie w czasie Pomarańczowej Rewolucji „wybić się na niepodległość”, wciąż Ukraińcy nie przejawiają chęci rozliczenia spraw mordów, których dopuścili się na Polakach w latach wojny na Wołyniu, Podolu i Pokuciu. Kamuflowanie prawdy o dokonanych rzeziach nie sprzyja ułożeniu dobrych stosunków między naszymi narodami i państwami, bo „nie można do historii odwracać się plecami”.

Opracowana przez zespół badaczy *Lista strat wśród duchowieństwa Metropolii Lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939-1945* nie ma służyć „rozdrapywaniu ran”. Jest ona natomiast rzetelną pracą naukową, dokumentującą wojenną przeszłość Metropolii, gdzie w latach wojny ginęli księża, samotnie lub przy ołtarzach, wraz z wiernymi, gdzie systematycznie burzono i palono osiedla polskie, a z nimi obiekty sakralne, w celu zatarcia śladów polskości na Ziemi Zabranej oraz dla unicestwienia tam Kościoła Rzymskokatolickiego, który był obecny w życiu tych terenów przez 700 lat.

Ks. J. Krętosz podkreślił więc konieczność przyszłych badań nad powyższymi zagadnieniami. Treść *Listy strat* powinna być rozszerzona i przyjąć formę słownika biograficznego księży, który wykona zespół historyków Kościoła pod kierunkiem ks. bpa prof. dr. hab. Jana Kopca. Wskazał też, iż ustalić należy również straty zakonów żeńskich, ponieważ liczne zakonnice złożyły życie w tym tragicznym dla Polski okresie. Ważnym zagadnieniem jest także objęcie w przyszłości badaniami wojennych dziejów Kościoła na ziemiach kresowych włączonych do radzieckich republik białoruskiej i litewskiej.

Lista strat opracowana przez Zespół jest dokumentem mówiącym o grupie duchownych, których połączył czas i tragizm osobisty, narodu i państwa, miejsce, w którym przypadło im oddać życie oraz wysoko ceniona pozycja społeczna duchownych rzymskokatolickich szczególnie gnębiona przez wrogów. Publikacją uczciliśmy tę zbiorowość w przekonaniu, że Metropolia kresowa w ciągu wieków dobrze służyła tej swoistej przedziwnej polskiej Atlantydzie, którą zwykliśmy nazywać SEMPER FIDELIS, a której dziś już w granicach Polski nie ma. □

Edward Poskier

Dzieje lwowskich browarów – czas lwowskich piw (Ni ma jak Lwów! – wspomnienia z łezką)

Z dedykacją dla kresowiaków autor

Moi dziadkowie pochodzili spod Lwowa i w latach mojej młodości nasłuchiwałem się różnych opowieści o tym najpiękniejszym z polskich miast, mieście magicznym, polskim oknem na orient, mieście wielonarodowym, mieście, które już dla Polaków pozostało wspomnieniem i zostało tylko w sercach żyjących jeszcze kresowiaków. Ogrom i piękno tego miasta zadziwiał każdego. Tu mieściły się najważniejsze polskie uczelnie, instytuty i katedry, wydawnictwa, piękna opera, liczne kina, teatry, kościoły, cudowny dworzec kolejowy, słynne hotele, piękna architektura, specyficzny klimat i rozciągające się od bram miasta, którego strzegły posągi z lwami – piękne widoki. Lwowiacy posiadali swoistą oryginalną gwarę, poczucie humoru, lubili się bawić, tańczyć i śpiewać. Wielkie dancingi i bale w *Grandzie* i u *Żorża* i w setkach różnych restauracji były na najwyższym poziomie. Letnie ogródki, estrady w parkach i na błoniach z muzyką na żywo przyciągały wielu mieszkańców i gości. Podwórkowe kapele, tutejsze *batiary* tworzyli klimat tych miejsc. We Lwowie była najbardziej legendarna w Polsce Fabryka Wódek Baczewskiego. Jej wyroby były znane na całym świecie! Galicja ze Lwowem to wielkie przedwojenne zagłębie browarów, ale mało kto wie, że we Lwowie w okresie międzywojennym działało około 40 browarów! Nasze galicyjskie browary z Żywca i Okocimia miały za swych największych konkurentów właśnie browary lwowskie. Lwowiacy wybornie opanowali sztukę warzenia piwa, byli też koneserami tego napoju, o czym świadczyły liczne przedstawicielstwa obcych browarów w tym mieście z Żywcem,



Okocimem, piwami bawarskimi i czeskim Pilsnerem na czele oraz organizowane na tym terenie targi i wystawy wraz z Międzynarodowymi Targami Wschodnimi. Pamiętam jak wspominał mój dziadek niedzielne obiady w *Grandzie* (mowa o Grand Hotelu), gdzie tradycyjnie bywał z rodziną, obowiązkowo galicyjski rosół, kotlet schabowy, ziemniaki z marchewką na słodko, przed posiłkiem kieliszeczek lwowskiej wiśniówki Baczewskiego dla zaostrzenia apetytu, a po obiedzie puchar zimnego piwa, obowiązkowo „Marcowego” browaru Jana Kleina na Pohulance we Lwowie (browar założony w 1833 r., piwa licznie nagradzane!). Największy piwny boom nastąpił w 1862 roku, w tym czasie we Lwowie powstało 12 browarów! Przypomnę ich nazwy: Browar Parowy Karl Kieselka, Browar Parowy Johann Jan Klein (najbardziej popularny i malowniczy), Browar Moises Landes, Browar



Thomas Laskowski, Browar Jaine Rappaport, Browar M. Rappaport, Browar Parowy Szelmes, Browar Israel Kiczales, Browar Czarny, Browar Kahane, Browar Albert Jurkiewicz, Browar Fiedr Hubner. Po roku 1882 nastąpił dalszy dynamiczny wzrost produkcji piwa. Przybyły nowe browary: Browar W. Jurkiewicz, Browar M. Katz, Browar E. Kieselka, Browar Karol Kieselka, Browar Karol Kieselka s. Erben, Browar Karol Kieselka dzierz. Strojanowski i Duleba, Browar J. Turk, Browar Grafin Miersche Bierbrauerei J. Schemer, Browar A. Grund, Browar Parowy Robert Doms (rekordzista krajowy w produkcji piwa!), Browar Parowy Osias, Browar Parowy Der Zeltkiewer Vorstadt Russman & C.O., Browar Parowy Georg i Robert Klein, Lwowskie Towarzystwo Akcyjne Browarów (1906-1945) – największy z lwowskich browarów!, Browar Mendel Penzias, Browar Moritz Penzias, Lemberger Brauerei AG J. Lilienfeld & C.O., Browar Dawid Schonfeld, Browar Riegelhaupt, Browar Ernste Lemberger Bierbrauerei Ges. J. Lilienfeld & C.O., Browar Kosseccy działający pod Lwowem, a we Lwowie miał przedstawicielstwo. Być może tych browarów było więcej, lecz niestety tylko takimi danymi dysponuję. Głównymi właścicielami browarów byli Żydzi oraz polscy i niemieccy przemysłowcy. Decydował kapitał i znajomość branży na bardzo chłonnym rynku! Także w rejonie bliskim i dalszym od Lwowa powstały małe i wielkie browary zdobywając nawet trudny rynek lwowski np. „Piwo Marcowe” browaru Amelii Goldberg z Przywallychy obok Tarnopola (piwo licznie nagradzane), Piwo Eksportowe Kałuskie z browaru w Kałuszu Muhlsteina, Spindela i Weissmanna, piwa browaru parowego i słodowni Państwa Busk Alicji hr. Badeniowej-Habsburgowej w Busku woj. tarnopolskie, browar parowy Sedelmajera ze Stanisławowa, browar Dobr Ponikwa otwarty w 1929 r. zarządzany przez spółkę Juda Hersz, Sigal Wurm i Adolfa Bocheńskiego w Ponikwi pow. Brody, woj. Lwów, browar parowy hr. Stanisława Badeniego w Radziechowie Lw. woj. tarnopolskie, dzierzawiony przez Pinkas Feilera i dr Aron Lande, browar parowy „Rozdol” Antoniego hr. Lanckorońskiego w Rozdole woj. lwowskie, browar w Dziatkowicach. Także na ten wielki, lecz wymagający rynek docierały znakomite piwa z browarów w x.x. Sanguśków w Tarnowie, parowego w Myślenicach, Bochni i browaru Władysława Kłominka w Trzcinicy k. Jasła. Browarów na Kresach było wiele, niestety nie o wszystkich zachowały się wzmianki i fotografie. Atutem Kresów była dobra woda, znakomite uprawy chmielu i jęcz-

mienia. Wiele browarów wytwarzało jako produkcję uboczną likiery, lemoniadę i wodę sodową, takie były trendy i opłacalność. Niektóre browary lwowskie osiągały wysoką produkcję piwa – rocznie ponad 50.000 hl. (Robert Doms – Lwowskie Towarzystwo Akcyjne Browarów). Piwa lwowskie zawdzięczały swą sławę dobrej źródlanej wodzie (liczne ujęcia), okolicznym własnym uprawom chmielu i jęczmienia oraz wielkiej sztuce lwowskich piwowarów. Główni dystrybutorzy piwa to wspomniane Lwowskie Towarzystwo Akcyjne Browarów (największy producent i dystrybutor) na ul. Kleparowskiej, oferujące lwowskie specjały: „Marcowe”, „Leżak”, „Eksport”, „Bok”, „Podwójne słodowe”, „Porter Imperial” z bezpłatną dostawą we Lwowie i okolicach do restauracji, hoteli, piwiarni, delikatesów i sklepów. Piwa lwowskie miały piękne etykiety, oryginalne kapsle i korki, opatentowane „flaszki” z firmowymi odlewami – np. Lwowskie Towarzystwo Akcyjne Browarów wypuściło i opatentowało pierwszą w Polsce butelkę piwa na wzór szampana (Piwo Marcowe) i korkowaną jak szampan, tylko w sprzedaży we Lwowie, to wszystko pod szyldem „Pijcie piwo Lwowskie!”, ten typ butelek później przypisali sobie Niemcy. Reprezentacyjny był dystrybutor Ozyasz Wiksel i Syn ze Lwowa ul. Bogusławskiego, oferujący marki piw lwowskich, okocimskich i pilzneń-



skich, z darmową dostawą w mieście. Także Browar Żywiec miał wielu reprezentantów na lwowskim rynku, wśród nich: Przedstawicielstwo Browaru Żywiec „Zdrój Żywiecki” Spółka z o.o. na ul. Kościuszki 24 we Lwowie zał. w 1929 r. W różnych okresach na lwowskim rynku piwnym działali reprezentanci browaru Żywiec: Józef Jarymowicz (1931-1932), Laja Krebs (1927-1937), Józef Nowak (1931-1935), także na Kresach Browar Żywiec miał swych reprezentantów: Ch. Wolf (1925-1939) w Stryju, Leiba Feuerling (1927) w Złoczowie, Herz i Haja Rosa Konstantin (1927-1929) w Sokalu. Niewątpliwie sławę dla żywieckiego „portera” przyniosła opinia wygłoszona przez znanego lwowskiego lekarza dr. Karola Grossa zalecającego picie żywieckiego „portera” chorym na niedokrwistość, anemię, brak apetytu i nieżyty. Dystrybucja piwa miała świetną organizację, dbano o reklamę, jakość i wybór piw. Lwowskie piwa były znane w całej Polsce. Podczas okupacji (Lwów nazywał się Lemberg) tylko nieliczne browary pracowały normalnie. Pewną nostalgię za lwowskimi piwami przywieźli ekspatrianci do Wrocławia. Tamtejszy już nieistniejący Browar

Mieszczaniński zlikwidowany w 1996 r. produkował piwo „Lwow Beer Full Light 13%”. Znakiem firmowym tego browaru były dwa złote lwy – herb miasta Lwowa.



Po piwach lwowskich zostały wspomnienia i ta lwowska piwna piosenka, której słowa przytaczam:

*W całej Polsce dziś kuchaju
Naszy pienkny miastu Lwow
i dla Lwowa zawsze maju
Podziwienia milion słów.
Co zy Lwowa – to spaniały
Cała Polska to już zna
i dlatego w państwi całym
„Lwowski” piwu wziętuś ma.
Bu piwu „lwowski” udepndza troski
i po nim człek je wesół dzień i noc!
Pu szklancy piwa człek dupiru żyje
Ni widzi bidy i tylko radość zna,
Wienc chto ma rozum, ten zawsze pije
To piwu „Lwowski” co taki urok ma.*

Grafika z archiwum autora

Bukaczowiec zabraliśmy ze sobą tablicę z napisem dwujęzycznym (uzgodnionym z władzami i księdzem dziekanem Anatolem Zajączkowskim): „Miejsce po dawnym cmentarzu i kościele rzymskokatolickim w Karolówce”. W umówionym czasie na miejsce przyjechał ksiądz dziekan Anatol Zajączkowski z klerikiem i katechetką, siostrą prezentką Samuelą. W obecności całej wycieczki ksiądz poświęcił krzyż, następnie udaliśmy się do kościoła w Bukaczowcach. Po nabożeństwie kilkunastoosobowa grupa została u rodzin lub znajomych na miejscu, pozostali zaś pojechali do Stanisławowa.



Poświęcenie krzyża na dawnym cmentarzyku w Karolówce

Grupa bukaczowiecka już następnego dnia zabrała się do roboty. Miła Nitecka (już dwudziesty któryś piękny ornat podarowała dla księdza w Bursztynie), jej córka Marysia oraz ich kuzyn Edzio Sondej udali się do pobliskiego cmentarzyka na Karolówce, i tam odgrzebywali szczątki nagrobków, starając się w miarę odczytywanych napisów sporządzić ich inwentaryzację. Pracowali mozolnie w prażącym upale, wycinając kolczaste krzewy. Zinwentaryzowali kilkanaście zniszczonych nagrobków. Natomiast cmentarz w Bukaczowcach podzielono na 3 sektory: w jednym spisywali dane i dające się odczytać nazwiska pochowanych oraz nanosili orientacyjnie usytuowanie grobów – Marysia i Bogdan Garstecy, Krysia Tokarska i Ania Solińska, w drugim Ala Dul i Maryla Kasyna, a w trzecim Zygmunt Szubert i Zygmunt Kamiński. Całością prac koordynował piszący te słowa, dokonując przy pomocy swego zięcia Janusza Borowczyka pomiarów geodezyjnych głównych elementów cmentarza. Umożliwiło to w późniejszym okresie

opracowanie w miarę dokładnej mapy cmentarza. Na cmentarzu bukaczowieckim znajduje się kilkadziesiąt artystycznie wykonanych nagrobków, pochodzących z XIX wieku i z początku XX. Znajduje się tu gdzieś grób Józefa Grottgera, ojca Artura, ale nie udało się nam odnaleźć, bowiem po wielu pozostały tylko mało widoczne kurhaniki ze zdewastowanymi fragmentami nagrobków. Wiele nagrobków opisanych jest w przewodnikach po Kresach (np. Zbigniewa Hausera „Przewodnik po cmentarzach Ukrainy”). Nagrobki te, w wielu przypadkach arcydzieła sztuki, stopniowo ulegają zębowi czasu, często padają łupem wandalów. Dlatego chcemy w przyszłym roku, do opracowanej dokumentacji, sporządzić fotograficzny album zachowanych, wartych utrwaleń, interesujących nagrobków. Ponadto podjąć kroki, wspólnie z miejscowymi władzami, aby zamkniętemu już do pochówków cmentarzowi, nadać charakter obiektu zabytkowego dziedzictwa kultury, chronionego prawem, bowiem znajduje się tu też kilka zabytkowych nagrobków ukraińskich.

Chreptiów... wzięty

10 lipca, po kilkudniowym zwiedzaniu Stanisławowa i okolic, grupa osób nie związana z Bukaczowcami, połączyła się ponownie z nami i wspólnie poszliśmy do miejscowej cerkwi greckokatolickiej. Ksiądz Anatol Zajączkowski żyje w przyjaźni z ojcem dziekanem Myrosławem Lubinciem – w ubiegłym roku był naszym gościem na spotkaniu Bukaczowczan w Poznaniu. Do cerkwi przybyło wielu ludzi, m.in. mer Bukaczowiec i grupa skautów tzw. „plastunów”. Spędziliśmy kilka chwil na przyjaznej rozmowie, co utwierdziło nas w przekonaniu, że o ile istnieje dobra wola z obu stron, to możliwy jest powrót do dobrosąsiedzkich stosunków między naszymi narodami. Wiele osób nie związanych z Kresami, doznało wiele życzliwości ze strony miejscowej ludności. Klimat do takich warunków stwarzają przede wszystkim miejscowi księża obu wyznań – niestety, nie wszędzie tak jest...

Po krótkiej wspólnej modlitwie i po pięknym śpiewie naszego artysty Edzia Sondej i po zaproszeniu ojca dziekana na nasze doroczne spotkanie Bukaczowczan do Paczkowa, serdecznie żegnani przez miejscową ludność, udaliśmy się w dalszą podróż – zwiedzanie Kresów.

Przed wielu laty, w czasie pierwszego pobytu na Podolu grupy osób TMLiKPW z Poznania, zachwycaliśmy się pięknem krajobrazu, stepem, licznymi pałacami, świątyniami i zamkami – przecież poruszaliśmy się szlakami bohaterów „Ogniem i Mieczem” i „Pana Wołodyjowskiego”! W Kamieńcu Podolskim, jeden z naszych kolegów z wspomnianego Towarzystwa, Henio Robak, pół serio, pół żartem powiedział, że przecież stąd niedaleko do legendarnej stolicy Małego Rycerza w Chreptiowie – można by się pokusić o jej odszukanie. Wiadomo, że Sienkiewicz, nieprawdopodobnie przygody swoich bohaterów, umieszczał jednak w miejscach autentycznych. Nie byliśmy przekonani, czy do dziś pozostał jakiś ślad po stolicy – sprawy nie potraktowaliśmy poważnie. W późniejszych latach, zwiedzając niejednokrotnie Kresy a zwłaszcza Podole, przejeżdżając przez wiele wymienianych przez Sienkiewicza miejscowości, zacząłem się poważnie zastanawiać, czy Chreptiów to

Tadeusz Tomkiewicz Tryptyk Kresowy

Kończące się lato 2005 roku dla członków Ogniska Bukaczowczan – miasteczka położonego pomiędzy Chodorowem a Haliczem, o bogatej historii, dziś zupełnie podupadłego – było bardzo pracowite. Spośród wielu działań na czoło wysunęły się trzy zagadnienia:

- opracowanie dokumentacji cmentarza katolickiego w Bukaczowcach i osadzenie krzyża na szczątkach cmentarza w nieistniejącej dziś całkowicie polskiej wsi Karolówka, łączącej się z Bukaczowcami;
- po wykonaniu wymienionych prac – zwiedzanie Kresów, zwłaszcza Podola, z głównym zadaniem odnalezienia dawnej stolicy w Chreptiowie;
- doroczny Zjazd Bukaczowczan w Paczkowie.

Cmentarz bukaczowiecki

Już tradycyjnie i w tym roku wycieczkę do Bukaczowiec i na Kresy zorganizowaliśmy w lipcu, aby umożliwić wzięcie w niej udziału młodzieży i nauczycielom. Wzięło w niej udział 50 osób, w większości nie związanych z Bukaczowcami. Organizatorami byli działacze Ogniska Bukaczowczan Zygmunt Szubert z Wrocławia i piszący te słowa, Tadeusz Tomkiewicz z Poznania. Obsługę wycieczki powierzono Biuru Podróży PTTK w Rzeszowie, pilotował bardzo sprawnie pan Zdzisław Kubrak, a pan Stanisław z firmy Bodek, bardzo uczynny, po mistrzowsku prowadził autokar. Po odczekaniu na granicy w Medyce (niestety, bezczynnie) paru godzin, wyruszyliśmy w kierunku Lwowa, ale w Gródku Jagiellońskim skręciliśmy na południe, zdążając przez Żydaczów, Chodorów do Bukaczowiec.

Parafia rzymskokatolicka w Bukaczowcach została erygowana w 1747 roku i należała do dekanatu dolińskiego. Kościół p.w. Wszystkich Świętych z elementami baroku i klasycyzmu został oddany do użytku wiernym w 1838 roku – w czasie komunizmu prawie doszczętnie zniszczony, odbudowany przez ks. Anatola Zajączkowskiego – rekonsekrowany w 1994 roku. Warto zaznaczyć, że pod koniec XIX wieku wikariuszem parafii

bukaczowieckiej był bl. ks. Kazimierz Gorazdowski, który 22 października ma być kanonizowany przez papieża Benedykta XVI. Wraz z wybudowaniem kościoła, w odległości około pół kilometra od niego, (dziś w pobliżu stacji kolejowej) usytuowano cmentarz, wspólny dla obu obrządków katolickich. Dziś cmentarz jest już zamknięty – pochówku dokonuje się w innym miejscu – stąd następuje jego samoistna zagłada. Wiele grobów z powojennych lat, zwłaszcza od strony głównej ulicy, obecnie ukraińskich a nawet rosyjskich, niejednokrotnie w miejscu dawnych polskich, lśni szlifowanymi granitami i marmurami z wmontowanymi w nie zdjęciami zmarłych – te są w miarę uporządkowane przez żyjących członków rodzin.

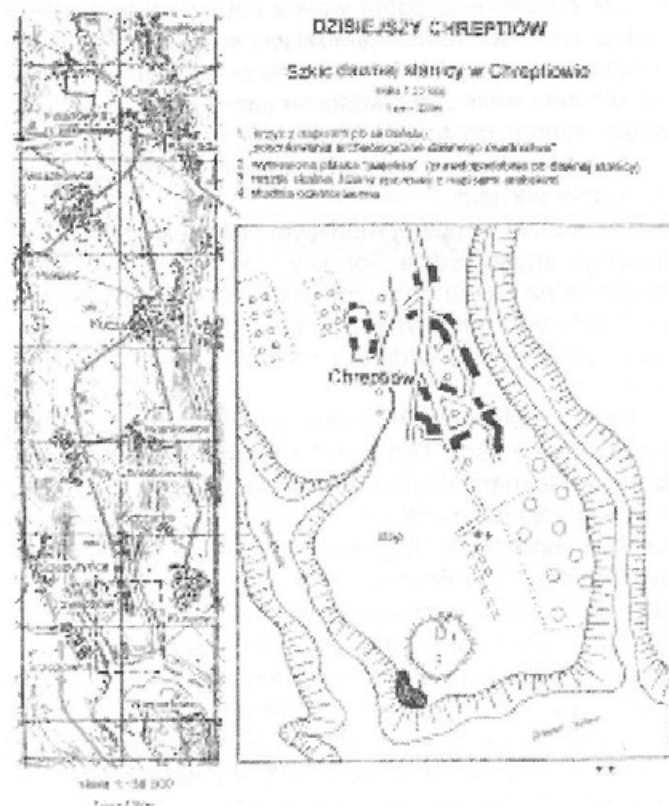
Cmentarz o powierzchni 1 hektara w przeważającej części był porośnięty drzewami i krzewami tak gęstymi, że utrudniał dostęp do wielu grobów. Będąc w ubiegłym roku w Bukaczowcach, zwróciliśmy uwagę na czynione przez Żydów zabiegi o uporządkowanie kirkutu. (O wizycie Żydów amerykańskich w Bukaczowcach dowiedziałem się z internetu). Postanowiliśmy i my, jako dawni mieszkańcy tego miasteczka lub ich potomkowie, uporządkować i sporządzić inwentaryzację wszystkich zachowanych grobów naszego cmentarza. Zwróciliśmy się do miejscowych władz i znajomych czy krewnych, aby odpłatnie w okresie zimowym oczyszczono cmentarz z chaszczy i krzaków. Na ten cel sukcesywnie przekazano kilkaset dolarów z dobrowolnych zbiorów.

Od strony północno-zachodniej przylegała do Bukaczowiec duża całkowicie polska wieś Karolówka, spalona w maju 1945 roku przez banderowców, przy czym zginęło tam parę starszych osób nie chcących opuszczać swoich domostw. Dziś nie ma żadnego śladu po niej – przy szosie ostał się jedynie maleńki skrawek porośniętego gęstymi krzewami dawnego cmentarzyka, leżącego przy kościółku, po którym również nie ma śladu. W poprzednich latach dawni mieszkańcy Karolówki odnaleźli kilka szczątków połamanych krzyży i nagrobków z fragmentami polskich napisów. Mieszkający nieopodal moi krewni na nasze zamówienie wykonali żelazny krzyż, który w przeddzień naszego przyjazdu osadzili przy drodze na skraju cmentarzyka. Jadąc do

tylko literacka fikcja autora. Studiując wiele materiałów historycznych z danej epoki, starych map – odnalazłem w końcu małą wioskę Chreptiów, położoną nad jarem Dniestru, około 25 km na południe od miasta Nowa Uszyca. Skoro jest wieś, to prawdopodobnie jest i jakiś ślad po stacji. A więc postanowiliśmy – jedziemy. Wyprawę do Chreptiowa połączyliśmy z tegorocznymi odwiedzinami Bukaczowiec.

Z Bukaczowiec pojechaliśmy już wszyscy razem do Brzeżan. W czasie krótkiego pobytu spotkaliśmy się z księdzem Zajacem i panią Hurkową, działaczką miejscowego Stowarzyszenia Polaków. Z Brzeżan przez Podhajce przybyliśmy do Buczacza. Tu w kościele spotkaliśmy się z legendą polskich księży na Kresach – księdzem Rutyną. Zwiedziliśmy miasto, zamek i historyczną lipę, pod którą podpisano „Układ Buczański”. A potem do pobliskiego Jazłowa, stamtąd przez Trembowłę, Kopyczynę – do Czortkowa na nocleg. Tu zakwaterowaliśmy się u rodzin polskich bądź mieszanych, wszędzie przyjmowano nas z życzliwością. Wyjeżdżając z Czortkowa na kolejny nocleg w Kamieńcu Podolskim, po drodze zwiedziliśmy Zaleszczyki, następnie jaskinię w Krzywczem, Okopy św. Trójcy, Chocim i Żwaniec.

W Kamieńcu w rozmowie z proboszczem katedry ks. Palaczem (pochodzącego z Poznania) dowiedzieliśmy się, że istotnie w Chreptiowie są ślady po stacji, ale dojazd dość uciążliwy licząc drogą, a od wsi jeszcze ze dwa kilometry trzeba iść pieszo stepem. Kierując się dość dokładną mapą, ruszyliśmy przez Dunajowiec (pałac Krasińskich) do Nowej Uszycy. Droga dość dobra, humory nam dopisywały, zapowiadał się upalny dzień.



W Nowej Uszycy zjechaliśmy z głównej drogi, udając się ku południowi, z każdym kilometrem coraz gorszą drogą. Po minięciu wsi Kucza wjechaliśmy w „otwartą przestrzeń oceanu, wóz nurza się w zieloność i jak lód-

ka brodzi wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi”. Cudowny step wita nas rozszalałymi kolorami przeźnyc kwiecia. Zatrzymujemy się przy drodze pełnej dzikich czereśni. Siadamy w ich cieniu, rozkoszując się pełnym różnych wonnych zapachów stepowym powietrzem, morzem kwiecia, dyskretną muzyką ptactwa i owadów. Żaden samochód czy furmanka nie zakłóca tej sielanki. Dojrzałe czereśnie, przez nikogo nie pilnowane, bardzo smakują, pomimo nieznacznej cierpkiej gorzkości. Pocieszałyśmy się wzajemnie, że gdybyśmy może nawet nie znaleźli śladów stacji, to i tak nagrodą dla nas jest możliwość oddychania powietrzem stepowym, rozkoszowania się widokami towarzyszącym niegdyś naszym „rycerzom od kresowych granic”. Przeszło 20 kilometrów w ciągu godziny dotarliśmy do mizernej wioski Chreptiów. Nie ujmując wspanialej jeździe autokarem naszego kierowcy pana Stasia, padały uwagi, że nasi rycerze na swych ręcznych koniach szybciej pokonałyby ten odcinek.

Przystanęliśmy na końcu wsi, wtulonej w zaniedbane zdziczałe sady, z zasady wiśniowe. Zagadaliśmy napotkanego młodego człowieka, zdawał się nie bardzo wiedzieć o co chodzi. Wskazał na stojące nieopodal dwa samochody osobowe: „wot ci z maszyny budowlanej”. I stał się chyba wymodlony – jak później komentowali – cud. Lepiej nie mogliśmy trafić – z „maszyn” wyszło dwóch młodych mężczyzn, okazało się działaczy sportowych i biznesmenów z Kijowa, pochodzących z tej wsi. Doskonale byli zorientowani w naszej historii, znali miejsce stacji, i natychmiast wsiadłszy do swych aut, kazali jechać za sobą. Zdezelowany Wartburg i Łada ruszyły słabo ujeżdżoną drożyną stepową, autokar nasz za nimi. Minęliśmy samotną studnię (może tej, której skrzyp żurawia uratował życie Basi Wołodyjowskiej?), ale w trosce o stan autokaru pan Stasio obawiał się jechać dalej. Wysiedliśmy i w prażącym słońcu „wśród kwiatów powodzi” ruszyliśmy pieszo za naszymi przewodnikami. Ci, widząc wiele osób starszych i jednego młodego człowieka na wózku, zaofertowali swe usługi, podwożąc wahadłowo na szukane przez nas miejsce. Już zdążyła wyłonić się piękna wstęga Dniestru, tworząc w tym miejscu ogromny zalew, bowiem kilka kilometrów poniżej powstała elektrownia wodna, której tama spiętrzyła wodę o około 100 m nad normalny poziom. Na samym skraju cypelka, nad urwiskiem jaru, wynoszącego i tak pomimo zalewu przeszło 100 m wysokości, sterczy ogromne zwalisko skalne z licznymi napisami arabskimi. Jak twierdzą nasi przypadkowi przewodnicy, stacja była oparta o potężną skałę, którą po zajęciu Turcy wysadzili w powietrze, a pozostały tylko jej fragmenty. Na wyrównanej części cypła, na niewielkim wzniesieniu, rozciąga się wyrównany obszar w formie „patelni”, miejsce prawdopodobnie głównej twierdzy stacji. Na tej płaszczyźnie posadowiony jest prawosławny krzyż z napisem ukraińskim, informującym o tym, że jest to miejsce archeologicznych poszukiwań nad dawnym osadnictwem. Miejsce istotnie jest pod względem obronnym bardzo ciekawe – ogromne urwiska jaru Dniestru i wpływających doń rzek tworzyły naturalną przeszkodę przed zagrożeniem tureckim od strony Mołdawii. To tu, według Sienkiewicza, rozkaz hetmański skierował Małego Rycerza, aby objął komendę w Chreptiowie i „tamże nad granicą mołdaw-



Grupa uczestników nad zalewem Dniestru



Krzyż na miejscu dawnej stacji

ską czuwać, głosów od strony pustyni nasłuchiwać, stróżować, luźnym czambułem zabiegać i okolicę z hajdamaków oczyścić”.

Po rozpamiętywaniu naszej kresowej historii i nacieszywszy się pięknymi widokami, sporządziłem odręczny szkic sytuacyjny stacji, po czym ruszyliśmy z powrotem do atokaru, i tak jak poprzednio, nasi nowi przewodnicy swymi samochodami podwozili starszych i zmęczonych upałem i ... nie chcieli przyjąć żadnej zapłaty, w dodatku na drogę wręczyli nam kilka dużych słoików z kompotem i dużą torbę czarnych porzeczek! Młodzi biznesmeni w rozmowie z nami zwierzyli się ze swoich zamiarów wybudowania nad zalewem ośrodka sportów wodnych, licząc między innymi i na to, że pol-

scy turyści powodowani sentymentem do tych ziem, będą częstymi gośćmi. Co za ciekawi ludzie! Żadnej wrogości do Polaków (jakby niektórzy nacjonaliści z Małopolski Wschodniej powiedzieli „okupantów”), a wręcz manifestowana przyjaźń! Obiecaliśmy im, że będziemy ich orędownikami w Polsce, a dla podtrzymania kontaktów wymieniliśmy między sobą adresy.

Pełni wrażeń i satysfakcji z udanej pionierskiej wyprawy, udaliśmy się jeszcze do Mohylewa, a stąd do Baru na nocleg do sióstr Józefitek, którym wręczyliśmy otrzymane słoje z kompotem – po upalnym dniu smakował wyśmienicie! A potem po zwiedzeniu Baru w następnym dniu wyruszyliśmy z powrotem w kierunku północno-zachodnim, i zwiedzając po drodze Płoskirów (Chmielnicki), Tarnopol, Zbaraż, Wiśniowiec dotarliśmy do Krzemieńca. Po przenocowaniu u rodzin polskich czy mieszanych i ukraińskich, wszędzie przyjmowani z życzliwością, wyruszyliśmy do Lwowa, odwiedzając Ławrę w Poczańowie, Podhorcie i Olesko. We Lwowie zatrzymaliśmy się dwa dni, oprowadzani przez zaprzyjaźnionego z nami krewnego naszego kolegi z Wrocławia Zygmunta Szuberta – Darka Kompanowicza. Oczywiście w pierwszej kolejności odwiedziliśmy dopiero co otwartego Cmentarza Obojczyców Lwowa. Po dziesięciu dniach powróciliśmy do Polski.

XII Zjazd Bukaczowczan

W dniach 26-28.08.2005 jak co roku, spotkanie Bukaczowczan urządziliśmy, na zaproszenie naszej koleżanki Kryszy Mularczyk, tym razem w Paczkowie (polskie Carcassonne). Do pięknego ośrodka wypoczynkowego państwa Mularczyków przybyło około 60 osób

z całej Polski, ale było też parę osób ze Stanów i Niemiec. Na nasze spotkanie przybyli, jako zaproszeni goście, ks. dziekan z Rohatyna Anatol Zajackowski z klerykiem Janem oraz ojciec młtrot Dmytro Bihun,



Przemawia o. młtrot Dmytro Bihun

dziekan cerkwi greckokatolickiej, również z Rohatyna. Obaj księża żyją w przyjaźni, wzajemnie uczestniczą w różnych uroczystościach, czy to rzymsko- czy też greckokatolickich. W swych przemówieniach podczas spotkania obaj podkreślali konieczność zacieśniania

przyjaznych stosunków między oboma narodami i religiami, a nasze wyjazdy na ziemię naszych ojców oraz pamięć o nich poprzez właśnie takie spotkania, są ich wyrazem. Oprócz wspólnej modlitwy w miejscowym kościele koncelebrowanej przez wspomnianych księży w intencji Bukaczowczan, przy pięknej pogodzie zwiedziliśmy okoliczne miejscowości. W Wamblerzycach podczas zwiedzania bazyliki ze wzruszeniem modliliśmy się przed obrazem bł. ks. Gorazdowskiego, niegdyś wikariusza bukaczowieckiego, a który, jak wspomniano na wstępie, w październiku br. ma być podniesiony do godności świętego. Zwiedziliśmy piękną starówkę Kłodzka, a niezatarte wrażenie zrobiła na nas stara kopalnia złota w Złotym Stoku. Wieczory wypełnialiśmy na rozmowach towarzyskich, wspomnieniach, planach na przyszłość, no i oczywiście śpiewem, w którym rej wodził niezastąpiony Edzio Sondej. Warto dodać, że Edzio w czasie mszy św. w kościele wystąpił ze swym koncertem, jak i to, że podczas opisanej wyżej podróży na Kresy, wolne chwile wypełniał swym śpiewem na przemian z Bogdanem Garsteckim i muzyką mandolinisty Mariana Hanspola z Gniezna.

Jak zwykle rozstaniom nie było końca, ale wszystkim przyświecała nadzieja, że za rok znów, oby w jak największym gronie, znów spotkamy się na pątniczym szlaku do naszych Bukaczowców i na Kresy (odszukanie Czartowego Jaru Horpyny i Czeremisa!), a także na kolejnym, XIII Zjeździe Bukaczowczan. A więc za rok! □

Zbigniew Kabata

Sztandar

Powstańcy-weterani
styczniowych walk świadkowie
zebrali się na zjeździe
w prastarym polskim Lwowie.
Wiedząc że czas się zbliża
aby się odmeldować
musieli się naradzić
w jaki sposób zachować
stary sztandar bojowy,
który kiedyś ich wodził
w nierównej walce z wrogiem.
Niech wezmą go młodzi!
Przekażmy go kadetom,
którzy już wykazali
swą do walki gotowość
gdy za Śląsk umierali
by go wrócić Macierzy.
Niech poniosą go dalej –
i w sercach i nad głową.
Niech pod nim się staną
zwartą grupą szturmową.
Poniesli go kadeci
przez dalszą życia drogę
i w sercach go ukryli
gdy dzwony były trwogę,
gdy trzeba było walczyć,
gdy ginąć było trzeba
za zagon polskiej ziemi,

za kęs polskiego chleba.
Dzisiaj mogą powiedzieć
powstańcom-weteranom:
Nie przynieśliśmy wam wstydu.
Baz płamy pozostaną
nam przez was przekazane
chorągwi waszej godła,
która krzyżową drogą
do dzisiaj nas dowiodła.

A teraz nasza kolej
zwrócić się do młodzieży
od której przyszłość kraju
w dalszych latach zależy.
Dziś walczyć już nie trzeba.
Dzisiaj jest wyścig pracy.
Pokażcie co potraficie
stworzyć młodzi Polacy.
Weźcie ten nowy sztandar
jak symbol drogowskazu,
jak symbol serdecznego
wewnętrznego nakazu.
I zawsze pamiętajcie
o waszym obowiązku:
Cokolwiek los przyniesie
wiernie trwajcie przy Śląsku.
Niech was wiedzie przez życie
Głos kadeckiej spuścizny:
Pamiętajcie: Nic dla mnie –
wszystko dla Ojczyzny.

08.10.2005 r.
Nanaimo, Kanada

Józef Zajac

Byliśmy w sanktuariach Maryjnych na Kresach

W dniach od 12 do 20 lipca 2005 r. TMLiKPW O/Buczacz zorganizował kolejną pielgrzymkę na Kresy Wschodnie. Celem pielgrzymki było nawiedzenie sanktuariów Maryjnych: prawosławnego w Poczajowie, greckokatolickiego w Zawarnicy i rzymskokatolickiego w Jazłowcu oraz uczestnictwo w uroczystościach odpustowych Matki Bożej Szkaplerznej w Buczacz.

Do wzięcia udziału w pielgrzymce zaprosiliśmy prawosławnych i grekokatolików, którzy nie podjęli apelu. W pielgrzymce wzięło udział 40 osób. Trasa pielgrzymki to: Lesko, Poczajów, Podkamień, Zbaraż, Tarnopol, Buczacz, Zarwanica, Kamieniec Podolski, Chocim, Jazłowiec i dwudniowy pobyt we Lwowie. Bazą noclegową i żywieniową był Klasztor Sióstr Niepokalanek w Jazłowcu, z której to bazy od kilku lat korzystamy. We Lwowie naszą bazą noclegowo-żywieniową była parafia św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej. Założony plan w pełni został zrealizowany. Cała pielgrzymka była filmowana (kasety można nabyć u organizatora pielgrzymki p. mgr. Józefa Zajac, ul. Sierpnia 80 Nr 12/13 m. 8, 59-700 Bolesławiec, tel. (075) 732-34-25). W pielgrzymce brali udział m.in. ludzie młodzi, a więc urodzeni po wojnie, co jest pocieszające. A oto co pisze uczestniczka pielgrzymki p. Sylwia Parada ur. w 1975 r., wnuczka państwa Józefa i Mariana Domaradzkich pochodzących z miejscowości Kławińce, gmina Chorostków:

„Moi dziadkowie przybyli na tzw. Ziemię Odzyskaną z Kresów. Od kiedy pamiętam w ich rozmowach ciągle przewijały się wspomnienia przedwojenne i wojenne mówiące o tym jak to było „u nas w domu”. Dom dla moich dziadków był, jest i pozostanie miejscem młodości, chwil szczęśliwych i smutnych. Jako dziecko wsłuchiwałam się w ich opowieści o Kresach, dzieciństwie, młodości i okrutnej wojnie. Kiedy pytałam dziadków czy chcieliby odwiedzić swój stary dom oboje mi odpowiadał, że nie ma tam do czego wracać. Pozostał w nich żal, że los zmusił ich do ucieczki z własnego domu tylko dlatego, że byli Polakami.

Mija 60 lat od osiedlenia się mojej rodziny w okolicach Bolesławca. Wśród nas nie ma już dziadka, ale wspomnienia pozostały. Dla mojego trzeciego pokolenia to co było, jest już historią. Dla mnie jednak było inspiracją do wyjazdu na Kresy, żeby zobaczyć i poczuć tę

„domową” atmosferę. Uczestnictwo w pielgrzymce było dla mnie „uczta duchową”, gdyż zobaczyłam to, co żyło we wspomnieniach dziadków.

Kiedy znalazłam się w Kławińcach, rodzinnej wsi moich przodków, ogarnęło mnie wzruszenie. Zdawałam sobie sprawę, że nie zobaczę tego prawdziwego domu dziadków, ale nowe zabudowania, często zasłonięte drzewkami owocowymi. Mimo wszystko udzieliła mi się atmosfera tego miejsca, w którym czas jakby się zatrzymał. Może dlatego, że zobaczyłam widok niecodzienny dla mojego pokolenia w Polsce. To co mnie zaskoczyło było zwykłym wycinkiem z życia wsi – było pasące się nad niewielkim stawem, w miejscu gdzie przed wojną było pastwisko skarbowe (tłoka) i pilnujące je dzieci. Mogłam jedynie sobie wyobrazić moich dziadków, jak pewnie byli w tym miejscu, ale ponad 60 lat temu. Kiedy znalazłam się pod starym, murowanym kościołem polskim bez wieży i z dziurawym dachem, pomyślałam że to miejsce było najważniejsze we wsi. Tutaj dziadkowie przyjmowali sakramenty święte, tu 13 lipca 1943 r. wzięli ślub.

Na starym cmentarzu na próżno szukałam grobów rodzinnych. Dominowały na krzyżach napisy ukraińskie, a cmentarz porastała wysoka trawa i gęste krzewy. Dotarłam tylko do jednego polskiego pomnika z okresu międzywojennego, stojącego w rogu cmentarza. Sądzę, że mój dłuższy pobyt w tym miejscu może przynosiłby większe efekty. Udało mi się porozmawiać chwilę ze starszą panią, która pamięta moich dziadków oraz miejsce, gdzie mieszkali. Byłam wzruszona, że pomimo upływu tak długiego czasu, ktoś jeszcze w tej wsi pamięta moich bliskich. Kiedy wyjeżdżałam stamtąd czułam się szczęśliwa, że zobaczyłam rodzinne strony oraz mogłam zapalić znicze na tym starym cmentarzu nieznanym mi pradziadkom, którzy na zawsze pozostali „tam w domu”.

Kiedy czytałam słowa pani mgr. Sylwii Parady przypomniałam sobie swój pierwszy po 50 latach w 1995 r. pobyt w Buczacz. Byłam szczęśliwa, że mogłam być w swoim kościele, tak bardzo zniszczonym, i uczestniczyć w uroczystościach odpustowych. Czyż nie warto się poświęcać dla takich słów i odczuć ludzi młodych, których jednak coś ciągnie do miejsc pochodzenia swoich dziadków? □

Zbigniew Umański

„Z Kleparowa w świat szeroki”

Tytuł książki śp. Alfreda Jahna był mottem pięknej i podniosłej uroczystości nadania Jego imienia Gimnazjum nr 20 we Wrocławiu w dzielnicy Biskupin, gdzie osiedliło się wielu ekspatriowanych lwowiaków, wśród nich On i mieszkał tam 50 lat.

Szkoła wszechstronnie przygotowała się do tej uroczystości, która odbyła się 9 grudnia 2005 r. Uczennice z II „c” odwiedziły Marię Jahn, wdowę po Profesorze, która opowiedziała im o mężu, jego karierze naukowej,

sukcesach, podróżach. W szkole zorganizowano konkursy na projekt sztandaru szkoły i szkolnej plakietki, ekspozycje pamiątek, które uzyskano od instytucji, w których pracował – materiały archiwalne dotyczące nadania Mu tytułów doktora h.c. przez uczelnie krajowe i zagraniczne, prace geograficzne, zdjęcia rodzinne Patrona i in.

Uroczystość nadania Gimnazjum nr 20 imienia Alfreda Jahna, nad którą patronat objął Uniwersytet Wrocławski

ski otworzyła Msza św. w kościele pw. św. Faustyny, podczas której poświęcony został piękny sztandar szkoły. Na pierwszej stronie znajduje się srebrny haft przedstawiający siatkę geograficzną z zarysem Arktyki, kompas oraz krajobraz górski ze stacją badawczą i pływającą krą lodową. Na tej stronie jest także motto polarnika Marka Kamińskiego „Każdy ma swój biegun”, jest także wyhaftowana srebrnymi literami nazwa szkoły. Na drugiej stronie barwy biała i czerwona układają się w kształt krzyża maltańskiego, w środku znajduje się biały orzeł i wyhaftowane złote napisy: Ojczyzna, Prawość, Wiedza, Honor.

Część oficjalna odbyła się w sali gimnastycznej szkoły. Po powitaniu przez dyrektorkę Tamarę Matulko oficjalnych gości przedstawiciele Komitetu Rodzicielskiego uroczystie przekazali szkole ufundowany sztandar, a dyrektor Wydziału Edukacji Wrocławskiego Urzędu Miejskiego p. Lilla Jaroń odczytała w imieniu prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza Akt Nadania Gimnazjum nr 20 imienia Alfreda Jahna.

Następnie nauczycielka języka polskiego w „20” Barbara Koziarska zapoznała zebranych z niezwykłym życiorysem Patrona.

Profesor Alfred Jahn, wybitny polski uczony związany ze środowiskiem wrocławskim, wywodził się ze Lwowa, jak wielu przedstawicieli powojennej inteligencji tworzącej świat kultury i nauki naszego miasta.

Urodzony 15 kwietnia 1915 r. na Kleparowie dzieciństwo i młodość spędził we Lwowie, tam też ukończył studia geograficzne na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W trakcie ich trwania napisał pierwsze prace naukowe ujawniające fascynację przyrodą Roztocza, Podola i Nadbuża. Naukową dociekliwość łączył z pasją badacza i podróżnika. W roku 1937 (już jako asystent w Instytucie Geograficznym) wziął udział w wyprawie naukowej na Grenlandię, a dwa lata później przedstawił rozprawę doktorską na temat struktury gleb Zachodniej Grenlandii. W tym samym roku 1939 otrzymał też tytuł doktora filozofii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Wojna przerwała jego błyskotliwą karierę naukową. W latach okupacji niemieckiej znalazł schronienie karmiąc wszy w niemieckim zakładzie produkującym szczepionki przeciw tyfusowi, prowadzonym przez profesora Rudolfa Weigla. Po ponownym wkroczeniu Rosjan do Lwowa nie otrzymał już zatrudnienia na uniwersytecie i w wyniku nasilającego się sowieckiego terroru, w roku 1945 wraz z całą rodziną wyjechał do Lublina, gdzie na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej otrzymał stanowisko adiunkta, po habilitacji w Poznaniu stanowisko docenta. Powstałe w tym okresie prace w zakresie geomorfologii, a zwłaszcza monografia „Wyżyna Lubelska”, do dziś uważane są za dzieła wybitne. Nic też dziwnego, że w roku 1949 uczony otrzymał propozycję objęcia Zakładu Geografii Fizycznej i Zakładu Geomorfologii na Uniwersytecie Wrocławskim. Tutaj też uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego. We Wrocławiu pozostał do końca życia – 50 lat.

Wybitny uczony, podróżnik, nauczyciel akademicki i społecznik cieszy się w środowisku wrocławskim zasłużonym uznaniem i autorytetem; nie sposób przecenić jego zasługi.

Opracował programy badań naukowych, jak i sam uczestniczył w wielu polskich i międzynarodowych ekspedycjach polarnych: na Spitsbergen, do Arktyki Kana-

dyjskiej, na Alaskę i Syberię. W roku 1972 zainicjował działalność i przewodniczył do roku 1982 Polskiemu Klubowi Polarnemu. Uczynił Wrocław jednym z głównych ośrodków badań polarnych.

Jako rektor Uniwersytetu Wrocławskiego w latach 1962-68 zapisał się w pamięci pracowników naukowych i studentów nie tylko jako świetny organizator życia uczelni, ale również jako człowiek prawego charakteru, imponujący swoją bezkompromisową postawą w czasie wydarzeń marca 1968 r. Opowiedział się po stronie studentów. Został wtedy zwolniony ze stanowiska dyrektora Instytutu Geografii UWr.

Uznanie i wdzięczność wrocławian zyskał jako przewodniczący Społecznego Komitetu Odbudowy Panoramy Racławickiej, dzięki któremu ten ważny pomnik narodowej kultury został w roku 1985 przywrócony społeczeństwu.

Godność doktora honoris causa nadały mu liczne uniwersytety: Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza oraz Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki na Ukrainie.

Profesor otrzymał też Nagrodę Miasta Wrocławia, Nagrodę Prasy Dolnośląskiej, a w roku 1995 godność Honorowego Obywatela Miasta Wrocławia. Długa jest lista odznaczeń i nagród państwowych, a spuścizna naukowa i popularyzatorska profesora to ponad 380 publikacji. Najbardziej znane prace to: „Wyżyna Lubelska”, „Alaska”, „Grenlandia, kraj biały czy zielony”, autobiograficzne wspomnienia „Z Kleparowa w świat szeroki”.

Profesor Alfred Jahn zmarł w 1999 r. we Wrocławiu. Był człowiekiem niezwykłego umysłu i charakteru, pozostanie w pamięci wrocławian jako wybitna postać kultury dwudziestego wieku.

Potem o Patronie Gimnazjum nr 20 mówili uczestniczący w uroczystości: dr Janusz Czerwiński – wieloletni Jego współpracownik i przyjaciel rodziny, prof. Józef Łukaszewicz – pierwszy „wybrany” rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Jan Łoboda – wieloletni dyrektor Instytutu Geografii i Rozwoju Regionalnego UWr. (przekazał szkole zestaw książek geograficznych), dr Jerzy Perzyna z Zakładu Geomorfologii UWr., p. Romuald Nowak – dyrektor Panoramy Racławickiej, kurator Elżbieta Kacperkiewicz – z Dolnośląskiego Kuratorium Oświaty, a także przedstawiciel ZG TMLiKPW, sekretarz Jerzy Czyżycki, który przypomniał nieznany epizod z życia prof. A. Jahna i jego wypowiedź do wrocławskich rzeźmieśników.

W części artystycznej zebrani obejrzeli widowisko „Z Kleparowa w świat szeroki” oparte na fragmentach autobiografii Profesora pod tym samym tytułem, które przygotowała Elżbieta Lisowska-Kopeć, szkolna polonistka i bibliotekarka. W rolę Profesora na kolejnych etapach Jego życia wcielali się uczniowie – Krzysztof Platisów i Marek Myskowski oraz katecheta ks. Grzegorz Tabaka. Lwowskie piosenki zaśpiewali aktorzy Wrocławskiego Teatru Piosenki. Ostatnim akordem pięknej uroczystości, w której uczestniczyli żona, córka i wnukowie Profesora, było odsłonięcie tablicy z napisem: „Profesor Alfred Jahn, geograf, geomorfolog, polarnik, patron naszego gimnazjum, lwowiak wielce zasłużony dla Wrocławia. 9. XII. 2005” ozdobionej Różą Wiatrów, Lwem, Polarnym Niedźwiedziem i literą „W” (Wrocław).



Dyrektor Gimnazjum nr 20 mgr Tamara Matulko przyjmuje sztandar ufundowany szkole przez Komitet Rodzicielski.

Żona śp. prof. Alfreda Jahna – Maria przy tablicy poświęconej Jej mężowi – geografowi, geomorfologowi, polarnikowi, patronowi gimnazjum, lwowiakowi wielce zasłużonemu dla Wrocławia.



Tablica pamiątkowa poświęcona prof. Alfredowi Jahnowi w holu gimnazjum, odsłonięta podczas uroczystości nadania Gimnazjum nr 20 Jego imienia.

Kto jest autorem tych akwarel?



Kiedy zostały namalowane?



Akwarele ze zbiorów lwowianki Izabeli Malec
– właścicielki Galerii Myśliwskiej w Warszawie

11 listopada 2005 r. w Gorzowie Wielkopolskim

Prezes Zarządu Oddziału Związku Sybiraków Jadwiga Ostrowska dekoruje sztandar Oddziału Gorzowskiego TMLiKPW.



Poczet sztandarowy Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW przy Pomniku Orląt w Gorzowie Wlkp. Od lewej: Danuta Miłosz, Janusz Olkowski, Irena Stodolnik.



Marek Lewandowski – Dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich i Migracji Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego odznacza Medalami Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (od prawej): Piotra Franków, Władysława Olszowego, Mieczysława Pawła Dumanowskiego.



Wiązanek kwiatów od Wojewody Lubuskiego przy Pomniku-obelisku Orląt Lwowskich składa Marek Lewandowski.

Z okazji 85 rocznicy Święta Niepodległości i walk o zachowanie polskości Lwowa Gorzowski Oddział TMLiKPW zorganizował uroczystą akademię. Odbędzie się ona tradycyjnie w auli Zamiejskiego Wydziału Kultury Fizycznej Poznańskiej AWF w Gorzowie Wlkp.

Spotkanie rozpoczęło się od wprowadzenia sztandaru Towarzystwa i odśpiewania hymnu narodowego, przy akompaniamencie prof. Bogdana Zalewskiego, znanego i zasłużonego gorzowskiego muzyka, pochodzącego z Wołynia, z wpisana w życiorys gehenną zesłańca Sybiru.

Przybyłych na akademię gości i Kresowian powitał Piotr Franków – prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Na spotkanie z zaproszonymi gośćmi przybyli:

- Jan Kochanowski – poseł na Sejm RP,
- Marek Lewandowski – dyrektor Wydziału Spraw Obywatelskich i Migracji Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego, przedstawiciel Wojewody Lubuskiego,
- Zbigniew Żbikowski – wiceprzewodniczący Rady Miasta Gorzowa Wlkp.,
- Józef Żarski – starosta Powiatu Gorzowskiego,
- prof. dr hab. Tomasz Jurek – dziekan Zamiejskiego Wydziału Kultury Fizycznej Poznańskiej AWF w Gorzowie Wlkp.,
- ks. kanonik Ryszard Przewłocki – kapelan Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW,
- Lidia Przybyłowicz – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta,
- Roman Bukartyk – przewodniczący Komisji Edukacji, Kultury i Sportu Rady Miasta,
- Irena Kunciewicz – kierownik Biura Rady Miasta Gorzowa Wlkp.,
- Barbara Klimanowska – dyrektor Wydziału Nadzoru Pedagogicznego Lubuskiego Kuratorium Oświaty,
- Jan Kaczanowski – były przewodniczący Rady Miasta, wieloletni przyjaciel i sympatyk TMLiKPW,
- Janusz Winnicki – dyrektor Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp.,
- przedstawiciele zaprzyjaźnionych i współpracujących z naszym Towarzystwem organizacji:
 - Jadwiga Ostrowska – prezes Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Gorzowie Wlkp.,
 - Halina Zalewska – sekretarz Koła Miejsowego Związku Sybiraków,
 - Janusz Popławski – prezes Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej Oddział w Gorzowie Wlkp.,
 - Kazimierz Suproniuk – prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Polesia w Gorzowie Wlkp.,
 - Stanisław Łazowski – sekretarz Gorzowskiego Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”;
- przedstawiciele Klubu Młodzieżowego TMLiKPW z Gimnazjum nr 11 z opiekunem – Anną Woźniak,
- zespoły artystyczne występujące w drugiej części akademii:
 - zespół wokalo-instrumentalny „RETRO” z Łucka (Wołyń),
 - tercet „CANZONA” z Gorzowa Wlkp.,
 - Teatr Seniora „Maski i Twarze” z Gorzowa Wlkp.;
- przedstawiciele lokalnych mediów: prasy, radia i telewizji oraz sympatycy Kresów.

Po powitaniu wystąpił Marek Lewandowski jako przedstawiciel Wojewody Lubuskiego. W swoim wystąpieniu podkreślił wagę uroczystości poświęconej obchodom rocznicy Święta Niepodległości i innych ważnych rocznic narodowych poświęconych wydarzeniom w dziejach narodu. Powiedział, że dużą rolę w gorzowskiej społeczności spełniają spotkania organizowane przez Gorzowski Oddział TMLiKPW, poświęcone rocznicom walk Orląt Lwowskich o zachowanie polskości Lwowa. Wysoko ocenił działalność Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW w dążeniu do tworzenia w Gorzowie Wlkp. miejsc pamięci narodowej związanych ze Lwowem i Kresami Wschodnimi oraz szerzenia wiedzy o Kresach wśród młodego pokolenia Polaków.

Następnie przedstawiciel Wojewody Lubuskiego odczytał decyzje Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeń-

stwa z dnia 15 kwietnia 2005 r. przyznającej członkom Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW medale Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej:

złote – Piotrowi Franków i Władysławowi Olszowemu, srebrny – Mieczysławowi Pawłowi Dumanowskiemu.

Po przedstawieniu odznaczonych dokonał aktu dekoracji.

Po nim wystąpiła Jadwiga Ostrowska, członek Zarządu Głównego i prezes zarządu oddziału Związku Sybiraków w Gorzowie Wlkp.

Podkreśliła ona, że cieszy się ze współpracy Związku Sybiraków z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w zakresie organizacji uroczystości patriotyczno-religijnych utrwalających historyczne posłannictwo Lwowa i Kresów Wschodnich w dziejach Rzeczypospolitej.

Następnie przedstawiła decyzję Zarządu Głównego Związku Sybiraków z dnia 27 czerwca 2005 r. o nadaniu Towarzystwu Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Gorzowie Wlkp. Odznaki Honorowej Sybiraka w uznaniu zasług dla Związku Sybiraków.

Po odczytaniu decyzji dokonała aktu dekoracji sztandaru Towarzystwa tym honorowym odznaczeniem. Odznaką Honorową Sybiraka wyróżniono również Piotra Franków – prezesa Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Następne wyróżnienie to: Złote Odznaki TMLiKPW – przyznane 11 października 2005 r. przez Zarząd Główny TMLiKPW we Wrocławiu.

Otrzymali je:

- Maria Helena Dobrowolska – za utrwalenie pamięci o Kresach Wschodnich, opracowywanie i publikowanie na łamach „Semper Fidelis” artykułów wspomnieniowych o życiu i roli Polaków w okresie okupacji w Trembowli oraz aktywny udział w organizacji imprez kulturalnych,
- Fryderyk Petrus – za wieloletnie świadczenie pomocy w zakresie materialnego wspierania Polaków we Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich,
- Lech Tężycki – za wieloletni udział w kwestach pieniężnych przeznaczonych na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa, Cmentarza Łyczakowskiego i innych polskich cmentarzy wojskowych na Ziemi Lwowskiej oraz aktywny udział w innych działaniach organizacyjnych Oddziału TMLiKPW.

Złote Odznaki TMLiKPW przyznano 19 kwietnia 2005 r.:

- Lidii Przybyłowicz – naczelnik Wydziału Kultury Urzędu Miasta w Gorzowie Wlkp.,
- Januszowi Winiękiemu – dyrektorowi Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp.

za wieloletnie wspieranie działań Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW w sferze organizacji imprez kulturalnych.

Wyróżnienia wręczył Władysław Olszowy – członek Zarządu Głównego TMLiKPW, jednocześnie wiceprezes Gorzowskiego Oddziału.

Następnie Jan Kochanowski – poseł na Sejm RP z Ziemi Lubuskiej i Kazimierz Suproniuk – prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Polesia przekazali Gorzowskiemu Oddziałowi TMLiKPW dyplomy gratulacyjne za pracę utrwalającą wiedzę i pamięć historyczną o byłych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

Za wyróżnienia przyznane przez Zarząd Główny TMLiKPW podziękowała w imieniu wyróżnionych Lidia Przybyłowicz, podkreślając że działalność TMLiKPW zapisała się w sposób bardzo znaczący w życie społeczności naszego miasta i województwa. Gratulowała Oddziałowi TMLiKPW aktywnej postawy i poświęcenia w działalności na rzecz utrwalania i podtrzymywania polskich tradycji patriotycznych wśród Kresowian i młodzieży gorzowskich szkół.

W imieniu Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW za odznaczenie członków Towarzystwa Medalami Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, nadanymi przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, podziękował Piotr Franków.

Podkreślił, że członkowie Gorzowskiego Oddziału Towarzystwa cieszą się, że działania naszej organizacji są zauważalne i doceniane. Zapewnił także, że szczególna uwaga będzie poświęcona utrwalaniu w pamięci narodowej historycznej roli Kresów Wschodnich w dziejach Rzeczypospolitej, otaczaniu opieką i tworzeniu miejsc podkreślających bohaterstwo naszych rodaków w walce o niepodległą Ojczyznę podczas zaborów, w latach I wojny światowej i po jej zakończeniu, będziemy pamiętali o Obrońcach Lwowa i żołnierzach Armii Krajowej walczących na Kresach o wolną Ojczyznę, o martyrologii Polaków w latach II wojny światowej, gdzie przeciwko nam wystąpili okupanci sowieccy i niemieccy oraz nacjonaliści ukraińscy.

Podziękował także przyjaciółom ze Związku Sybiraków za dostrzeganie naszych działań w upowszechnianiu tragicznych losów i poniewierki na „niehumanitarnej ziemi” setek tysięcy mieszkańców Kresów, z których tylko znikoma część powróciła do Ojczyzny.

Powiedział, że wyróżnienie Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW odznaką Honorową Sybiraka cenimy bardzo wysoko.

Podkreślił, że Odznaka Honorowa Sybiraka jest trzecim wyróżnieniem Oddziału TMLiKPW w Gorzowie Wlkp. – po Złotym Medalu Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (2003 r.) i Odznace Honorowej Za Wybitne Zasługi Dla Rozwoju Miasta Gorzowa Wielkopolskiego (2005 r.).

Podziękował także Janowi Kochanowskiemu – posłowi na Sejm RP oraz Kazimierzowi Suproniukowi – prezesowi Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Polesia za dyplomy gratulacyjne i poparcie działalności TMLiKPW w utrwalaniu historii i dużej roli Kresów Wschodnich w dziejach Rzeczypospolitej.

Następną część akademii rocznicowej stanowił odczyt historyczny Piotra Franków na temat: „87 rocznica Święta Niepodległości i walk o zachowanie polskości Lwowa”.

Podkreślono w nim walki o niepodległą Polskę, rolę Józefa Piłsudskiego, walki o Lwów, bohaterstwo Orląt Lwowskich, dążność Polaków do odbudowy zniszczonego i sprofanowanego Cmentarza Obrońców Lwowa oraz ponowne otwarcie w ub. roku tej pięknej polskiej nekropolii.

Drugą część uroczystości stanowiły występy artystyczne. Zespołem, który rozpoczął występy, był zespół wokalo-instrumentalny „RETRO” z Łucka pod kierownictwem Marii Łukacz reprezentującej Stowarzyszenie Kultury Polskiej im. Ewy Felińskiej na Wołyniu.

Z zespołem przybył także prezes Stowarzyszenia Grzegorz Rolinger.

Artyści z Łucka zaprezentowali ciekawy zestaw pieśni patriotycznych, wojskowych i piosenek ludowych. Ich występ spotkał się z życzliwym przyjęciem i nagrodzony został długotrwałymi oklaskami.

Ponadto zespół ten wystąpił na akademiach w Dębnie (10 XI), Santoku i Kostrzynie (11 XI).

Ich przyjazd do Gorzowa Wlkp. został – jak zawsze – sfinansowany przez Gorzowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Zostali otoczeni opieką Władysława Olszowego, który nie szczędził trudu, by stworzyć im jak najlepsze warunki pobytu na naszej gorzowskiej ziemi.

Po zespole „Retro” z Łucka na estradzie auli AWF zaprezentowała się gorzowska „CANZONA” w składzie: Jadwiga Puchała, Mieczysław Świętek i Kazimierz Cymbrykiewicz przy akompaniamentcie Alojzego Nowaka.

Przedstawili oni znane lwowskie szlagiery, m.in.: „Od Stryjskiego Parku”, „Ballada o Jurku Bitschanie”, „Moja gitara”, „Los Lwowiaka”.

Występ „CANZONY” cieszył się dużym uznaniem, artystów nagrodzono burzą oklasków. Na pewno sympatyków „CANZONY” ucieszy fakt nagrania przez nich na płytach i kasetach popularnych lwowskich piosenek.

Trzecim zespołem, który zaprezentował się na tej uroczystości, był Teatr Seniora „Maski i Twarze” z klubu „Pogodna Jesień”, w którym ma siedzibę Gorzowski Oddział TMLiKPW. Występują w tym zespole również członkowie i sympatycy TMLiKPW, a kieruje nim Jolanta Szeliga-Bujak. Przedstawili specjalnie przygotowany na akademię program o nazwie „Lwowski Kabaret”, w którym obok części radosnej – piosenek lwowskiej ulicy, wystąpiły pieśni refleksyjne poświęcone bohaterskim Obrońcom Lwowa – Orlętom.

Miejscowa prasa o występie tego zespołu napisała m.in., że „występy zostały przyjęte długimi i głośnie owacjami, wywołały radość i wzruszenie” („Tylko Gorzów”).

Wszystkie zespoły artystyczne – obok podziękowań od organizatorów akademii – otrzymały listy gratulacyjne od Przewodniczącego Rady Miasta Gorzowa Wlkp. wraz z albumami prezentującymi nasze miasto, które wręczył Zbigniew Żbikowski – wiceprzewodniczący Rady.

Podsumowaniem uroczystości było spotkanie wszystkich uczestników akademii przy pomniku-obelisku ku czci Orląt Lwowskich, gdzie złożono wiązanki kwiatów i zapalono znicze.

Pamięć bohaterskich Obrońców Lwowa uczcili: przedstawiciel Wojewody Lubuskiego Marek Lewandowski, wiceprzewodniczący Rady Miasta Zbigniew Żbikowski, Związek Sybiraków, młodzież z Gimnazjum nr 11, które w tym roku szkolnym otrzyma imię Orląt Lwowskich, Gorzowski Oddział TMLiKPW oraz osoby indywidualne.

Chór „Ta joj” Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW pod kierownictwem Hanny Bednarczyk i wszyscy zebrani zaśpiewali hymn Obrońców Lwowa „W dzień deszczowy i ponury”.

W imieniu organizatorów uroczystości Piotr Franków serdecznie podziękował wszystkim zebrany za udział w tej patriotycznej uroczystości. □

Krystyna Pustelnik, I. Kopeć Udane pięćciolecie

*„Cieszą mocno się Orlęta
w swych kwaterach obudzone
że nastało dla nich święto
że to miejsce Odrodzone”*

Listopad to miesiąc pełen zadumy, nostalgii i wspomnień. W naszej szkole, Publicznym Gimnazjum nr 1 im. Orląt Lwowskich w Kędzierzynie-Koźlu, to miesiąc szczególny:

- obchody Święta Odzyskania Niepodległości
- spotkanie z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
- Święto Patrona Szkoły.

10 listopada w szkole odbył się uroczysty apel poświęcony obchodom Odzyskania Niepodległości Polski. Uczniowie z powagą i refleksją wystąpili w programie artystycznym: „Niepodległość to sprawiła, że wolną jest moja Ojczyzna...”. Prowadzący ten program „przeprowadzali wywiad z weteranami walk o Polskę niepodległą oraz jej granice”. Młodzież zaśpiewała kilka pięknych pieśni legionowych, a na zakończenie wykonali Rotę. Program przygotowali uczniowie pod opieką nauczycieli historii.

11 listopada młodzież naszego Gimnazjum wraz z nauczycielami wzięła udział w miejskich obchodach tego Święta. Okazale prezentował się nasz poczet

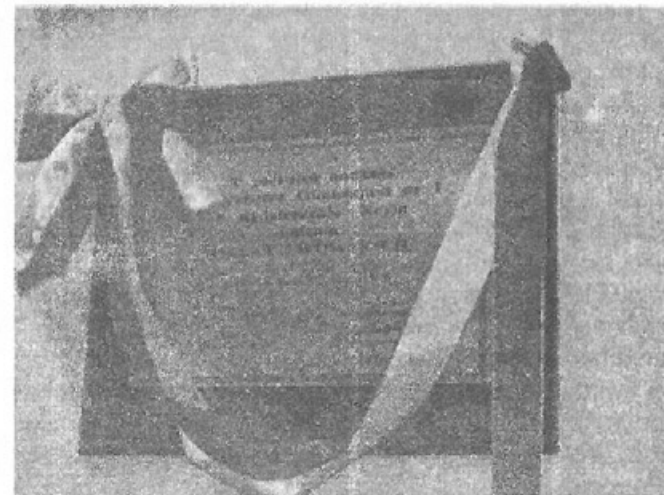


Poczet

sztandarowy. Po mszy św. w kościele św. Jadwigi i św. Zygmunta, prezydent miasta W. Fąfara, prezes TMLiKPW W. Listowski, kombataneci oraz dyrektor gimnazjum K. Pustelnik, złożyli kwiaty pod tablicą upamiętniającą ofiary zbrodni narodu polskiego na Kresach, znajdującą się na budynku szkoły. Następnie uczniowie uczestniczyli w uroczystej części oficjalnej i artystycznej w Zespole Szkół nr 2.

14 listopada młodzież Gimnazjum wystąpiła z ciekawym spektaklem związanym z Odzyskaniem Niepodległości na spotkaniu członków TMLiKPW. Nie zabrakło, jak zwykle, szkolnego kabaretu „Tońcia i Szczepcia” z tematycznie podebranymi dialogami.

17 listopada w Publicznym Gimnazjum nr 1 w 5 rocznicę nadania szkole imienia Orląt Lwow-



Tablica

skich odbyła się uroczysta i podniosła gala. W związku z tym jubileuszem w szkole gościli marszałek woj. opolskiego G. Kubat, przewodniczący sejmiku woj. A. Mazur, zastępca prezydenta miasta B. Kolenda-Łabuś, przedstawiciele władz oświatowych, kombataneci, kresowiaci, rodzice oraz przyjaciele szkoły. Po serdecznym powitaniu gości przez dyrektorkę K. Pustelnik i przedstawieniu historii Gimnazjum, dorobku i sukcesów szkoły, głos zabrał prezes TMLiKPW W. Listowski. Podkreślił wagę otwarcia w tym roku Cmentarza Orląt Lwowskich we Lwowie i podziękował dyrekcji, nauczycielom i społeczności uczniowskiej za owocną współpra-



Wręczenie



Wystawa

cę. Doceniając dorobek szkoły, wychowanie patriotyczne młodzieży i kultywowanie tradycji kresowej marszałek woj. i przewodniczący sejmiku woj. uhonorowali szkołę **Odnaką „Za zasługi dla województwa opolskiego”**.

Gimnazjum otrzymało w darze książki, obrazy, albumy o tematyce kresowej. Po raz pierwszy w historii naszej szkoły młodzież przyznała **honorowe tytuły „Przyjaciela szkoły”** dla Zdzisława Kuhla – darczyńcy wielu swoich obrazów o tematyce lwowskiej oraz dla TMLiKPW w Kędzierzynie-Koźlu. Uczniowie klas pierwszych złożyli ślubowanie na sztandar szkoły. Po odśpiewaniu hymnu szkolnego delegacje uczniów i gości złożyli kwiaty i zapalili znicze pod tablicą upamiętniającą martyrologię narodu polskiego na Kresach. Następnie wręczono dyplomy zwycięzcom konkursów wiedzy o Patronie i konkursu literackiego. Zaproszeni zaci goście, nauczyciele i młodzież wysłuchali pięknego programu artystycznego, który był podzielony na część poważną i wesołą.

**„Do apelu ich wezwano
Tak jak wprzód, jak przed laty
Po imieniu nazywano, salwy brzmiały na wiwaty”**

W części poważnej zatytułowanej „Tylko mi żal...”, występujący tematycznymi wierszami i nostalgicznymi pieśniami oddali hołd Orlętom – swoim rówieśnikom i zapewnili, że nigdy o nich nie zapomną. Druga część programu była pełna humoru i dowcipu pt. „Spacer po Lwowie”. Z melodyjnymi piosenkami powędrowali do najpiękniejszych zakątków tego miasta: Gródka i Łyczakowa. Gromkimi brawami powitano „Tońcia i Szczepcia”, którzy jak zwykle, mieli problem do rozwiązania od zaraz, od ręki. Bałakali i rozbawiali publiczność do łez. Później łyżczakowskie batiary tańcząc, przypominali zgromadzonym, jak bawiono się kiedyś w Parku Stryjskim i nie tylko. Część artystyczną zakończono specjalną dedykacją dla gości – wesołymi piosenkami, takimi co to i serce poruszy, no i pokolibać się człowiek może. Bisom nie było końca. Program przygotowany



Występ

został pod kierunkiem nauczycieli: I. Kopeć, M. Kuchty, G. Nowak.

Następnie, na głównym holu szkoły, z okazji jubileuszu została odsłonięta tablica pamiątkowa oraz uroczyste otwarta wystawa fotograficzna „Lwów dawniej i dziś” sprowadzona z Urzędu Marszałkowskiego w Opolu. Odsłonięcia i otwarcia dokonali: marszałek woj. opolskiego G. Kubat, przewodniczący sejmiku woj. A. Mazur, prezes TMLiKPW W. Listowski, dyrektor szkoły K. Pustelnik, przewodniczący SU Ł. Żak.

Goście zwiedzali wystawę, Salkę Tradycji i dokonywali wpisów w Kronice szkolnej. Na tę okazję wydano monografię szkoły w latach 1999-2005, znaczki z logo szkoły i wydanie specjalne gazetki szkolnej „Nowa Trybuna Szkolna”.

To była kolejna świetna lekcja historii i patriotyzmu. Orlęta Lwowskie, patrząc na gimnazjalistów, na pewno cieszyły się i były dumne, że ich rówieśnicy – uczniowie PG nr 1 noszą ich imię – **ORLĄT LWOWSKICH**.

Na tej gali były również lokalne media, które zapisały i zarejestrowały nasz wspaniały i udany jubileusz. □

Mieczysław Kostur

VI Powiatowy Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej Świdwin 2005

Sobota 15.10.2005 r. w świdwińskim zamku upłynęła pod znakiem wspomnień o Lwowie. Przeprowadzono tu VI Powiatowy Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej pod patronatem starosty świdwińskiego. Organizatorami tej wspaniałej sentymentalnej imprezy byli: Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Świdwiński Ośrodek Kultury.

Początek imprezy uświetniła pięcioosobowa kapela lwowska z ŚOK pod kierunkiem **Władysława Makowskiego** i solisty Zdzisława Leśniewskiego wprowadzając zebraną publiczność we wspaniały, radosny nastrój lwowski śpiewając: „Tylko we Lwowie”, „Tam na balu weteranów”, „Ballada o Lwowie”. **Prezes Klubu Mieczysław Kostur** i **dyrektor ŚOK Marian Wiszniewski** serdecznie powitali przybyłych gości: wiceprzewodniczącego Rady Powiatu Jana Szoldrę, wicestarostę Lesława Ryżłaka, członka Zarządu Powiatu Krystynę Woj-

nicką, radną Rady Powiatu Danutę Malitowską, przewodniczącą Rady Miasta Henryka Klamana, zastępcę burmistrza Jana Owsiaka, kierownika Wydziału Oświaty i Kultury Urzędu Miasta Bogdana Wachowiaka oraz prezesa Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddziału Koszalin Tadeusza Zawadzkiego wraz z sekretarzem Haliną Boducką. W sposób szczególny powitano też dyrektorów szkół, nauczycieli i opiekunów występującej młodzieży szkolnej – bo gdyby nie oni, nie byłoby tej lwowskiej imprezy.

W imieniu patrona konkursu Zdzisława Chojnackiego otwarcia dokonał wicestarosta Lesław Ryżlak podkreślając znaczącą rolę działalności Towarzystwa w propagowaniu tradycji i kultury lwowskiej na ziemi świdwińskiej, życząc wykonawcom sukcesów i wspaniałej dobrej zabawy.



Grupowe zdjęcie po wręczeniu nagród. Od lewej: Jan Owsiak i Krystyna Wojnicka, w środku M. Kostur

Konkursowe jury: **Anna Teresińska** – przewodnicząca, **Lucyna Dziewiatowska** i **Alicja Grochala** – członkowie. Prowadzący imprezę – **Marian Wiszniewski**.

Młodzi szkolni artyści, bohaterowie prezentacji artystycznej kontynuowali radosny nastrój przedstawiając nostalgiczną poezję i piosenkę lwowską: w poezji m.in. „Kocham Cię Lwowie”, „Znasz Ty ten Lwów”, „Uśmiech Lwowa”, „Orlątko”; w piosence: „Tylko we Lwowie”, „Moje serce zostało we Lwowie”, „Ta co Pan buja”, „Semper Fidelis”, „Ballada o pannie Franciszce”. Poza konkursem wystąpiła Marta Weilandt z LO Świdwin jako laureatka konkursu 2004, śpiewając według swojej aranżacji „Świeci się świeczka i topi”. Były to chwile przyjemnego przeżycia wspólnej radości i podziwu dla młodych wykonawców za prezentowanie tego co tworzyli nasi pradiadkowie i czym żył Lwów.

Konkursowe jury dokonało oceny, przyznało nagrody i wyróżnienia:

RECYTACJE

SZKOŁY PODSTAWOWE: 1 miejsce **Agata Korbus** (SP 3 Świdwin), 2 miejsce **Pamela Głasek** (SP 2 Świdwin), 3 miejsce **Katarzyna Glegoła** (ZS Bierzwnica).

GIMNAZJUM: 1 miejsce **Kamila Bednarczyk** (Gimnazjum Świdwin), 2 miejsce **Alicja Kopyś** (Gimnazjum Świdwin), 3 miejsce **Angelika Glegoła** (ZS Bierzwnica); wyróżnienia: **Weronika Jałowska** (ZS Bierzwnica), **Magdalena Bieńczyk** i **Małgorzata Bieńkowska** (Gimnazjum Świdwin).

SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE: 1 miejsce **Judyta Jasińska**, 2 miejsce **Małgorzata Mularczyk**, 3 miejsce **Anita Skrzekut** (wszystkie z LO Świdwin); wyróżnienia: **Piotr Pluciennik** i **Monika Duda** (z ZSR CKP Świdwin).

PIOSENKA

1 miejsce **zespół „WIRAŻ”** (Klub Garnizonowy Świdwin), 2 miejsce **duet Nicole Piaskowska i Ewa Drewiankowska** (SP 3 Świdwin), 2 miejsce **Beata Bielecka** (ZS Oparzno), 3 miejsce **zespół wokalny** (Gimnazjum – ZS Lekowo); wyróżnienie: **zespół wokalny** (SP Rusinowo).

Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali dyplomy, zwycięzcy dodatkowo nagrody książkowe, członkowie zespołów maskotki. W konkursie uczestniczyło 24 recytatorów, 1 duet wokalny, 1 wokalistka, 4 zespoły i kapela; razem 57 osób.

Prezes Klubu podziękował staroście i burmistrzowi za wsparcie finansowe na nagrody oraz firmom: cukierni Jana Jarycha, PPU Krystyny i Henryka Śliwów, piekarni „Pod Bramą” Ryszarda Derenia, FH Barbary Marszałek, PHU „UNIMAX” Krzysztofa Chmielewskiego, FH „Kubus” Marka Szachniuka, prezesowi Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Koszalinie Zbigniewowi Ciecho-nowskiemu, dyrektorowi ZSR CKP Andrzejowi Muchowskiemu, Lidii Zychowicz i uczniom – za wsparcie organizacyjne. Serdeczne słowa uznania skierowano do jurorów, gratulacje młodym artystom i podziękowania dla nauczycieli, którym wręczono 21 okolicznościowych podziękowań za wieloletni trud w podejmowaniu działań z młodzieżą szkolną na rzecz upowszechniania kultury kresowej na ziemi świdwińskiej – by ocalić od zapomnienia. Ponadto wyróżniono albumem „Lwów”: **Lucynę Dziewiatowską**, **Annę Teresińską** i **Artura Domaradzkiego**. □



Wykonawcy ze szkół gimnazjalnych

Konkursy poezji i piosenki lwowskiej w Koszalinie

Już 11 razy, zawsze w III dekadzie listopada, były organizowane przez nas wspólnie z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Koszalinie konkursy poezji i piosenki lwowskiej dla młodzieży szkolnej. W tym czasie przygotowaliśmy około 250 wierszy i piosenek 77 polskich autorów, piszących w rodzinnym Mieście, w kraju i za granicą. Te materiały były powielane i razem z regulaminami rozsyłane do szkół. Młodzież najczęściej wybierała utwory Mariana Hemara, Krystyny Angielskiej, Jerzego Masiora i Witolda Szolginia. W konkursach wzięło udział 883 wykonawców, wśród których 306 osób otrzymało nagrody i wyróżnienia. Każdego roku po przesłuchaniach konkursowych w czasie obrad jurorów odbywały się imprezy towarzyszące: wystawy, lwowskie piosenki grała i śpiewała kapela „Przylesianie” i zespół „Leszczyna”, występowały dzieci, które podobały się publiczności, śpiewał Bolesław Kurek – lwowianin, muzyk, specjalista od emisji słowa, od 8 lat wchodzący w skład jury naszych konkursów.

XI Koszaliński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej odbył się w dniach 26 i 27 listopada 2005 r. Pierwszego dnia występowała młodzież w kategorii „Poezja”, drugiego – „Piosenka”. Profesjonalne jury w składzie: Bolesław Kurek – przewodniczący oraz Izabela Nowak i Dana Jurszewicz oceniało wystąpienia młodzieży, która startowała w konkursie w czterech grupach wiekowych: klasy I-III, IV-VI, gimnazja i szkoły średnie.

W kategorii „Poezja” wystąpiło 61 uczniów. Jury wyłoniło najlepszych: wśród najmłodszych recytatorów I miejsce otrzymała Weronika Kośka z Rosnowa, II Filip Karaś z Sucheju Koszalińskiej, a III Agata Dańczak

z Manowa. Z klas IV-VI najlepszymi byli: Tomasz Kończak z Bonina – I miejsce, a Agata Korbus (Świdwin) i Ernest Chochołowski (Koszalin) – dwa drugie miejsca. III miejsce przypadło Angelice Dąbrowskiej z Koszalina. Wyróżnienia otrzymali: Marcin Gudajczyk i Anna Jaworska z Rosnowa, Marta Bukowska i Jakub Jantoszek z Bonina oraz Monika Szmit, Barbara Zoske i Klaudia Fusiek z Koszalina. W grupie młodzieży gimnazjalnej dwa I miejsca przyznano Annie Kosińskiej i Beacie Kawczyńskiej (Koszalin), a II Darii Zawiałow (Koszalin). Dwa III miejsca otrzymały: Elżbieta Ptasieńska z Grzmiącej i Paulina Bednarczyk ze Świdwina, a wyróżnienia: Dominika Paszkowska z Grzmiącej, Wojciech Wątor i Urszula Gajdecka z Koszalina oraz Alicja Kopyś ze Świdwina.

W drugim dniu konkursu piosenki lwowskie śpiewało 32 wykonawców, w tym 3 zespoły, 4 duety i soliści. W grupie młodzieży z klas I-III pierwsze miejsce otrzymała Paulina Modła. Wyróżniono duet wokalny z Koszalina w składzie: Oliwia Rybacka i Sylwia Kołtowska. Spośród uczniów z klas IV-VI pierwsze miejsce przypadło duetowi: Wiktoria Gunerka i Bogna Jaśkiewicz (Koszalin), a dwa II miejsca: Zuzannie Rębisz (Koszalin) i duetowi: Ewa Drewiankowska i Nicole Piaskowska (Świdwin). Trzecie miejsce wyśpiewała Arletta Kozłowska z Tychowa, a wyróżnieniem uhonorowano Beatę Bielecką z Oparzna. Wśród młodzieży gimnazjalnej dwa pierwsze miejsca otrzymali: Zespół z Mini Studia Poezji i Piosenki Miejskiego Ośrodka Kultury i Beata Kawczyńska (Koszalin). Dwa II miejsca przypadły Michałowi Gunerke (Koszalin) i Piotrowi Chojnickiemu z Grzmią-



Laureaci Konkursu Poezji Lwowskiej

cej. III miejsce przyznano Monice Bernas (Koszalin), a wyróżnienia: Dominice Sterczyńskiej, Magdzie Michalikowicz (Koszalin) i Duetowi Wokalnemu z Grzmiącej. W grupie szkół średnich wystąpił tylko jeden zespół – „Wiraż” z Klubu Garnizonowego w Świdwinie i otrzymał wyróżnienie za inscenizację lwowskiej Ballady o Pannie Franciszce.

XI Konkurs rozpoczął się 26 listopada – w dniu 150 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Poeta nigdy we Lwowie nie był, ale to właśnie tam stoi jego najpiękniejszy pomnik. Z okazji tej rocznicy została przygotowana wystawa „Pomniki Wieszczu”, którą ze względu na miejsca usytuowania pomników podzielono na 3 części: Kresy Południowo-Wschodnie, Północno-Wschodnie oraz Polska i inne kraje. W sumie na 42 planszach przedstawiono 36 pomników, ich fragmenty i dwa muzea mickiewiczowskie – w Nowogródku i

w Śmielowie. W obu dniach, w przerwach pomiędzy występami młodzieży a rozdaniem nagród, o wystawie opowiadała jej autorka – Halina Bogucka.

W obu dniach, w kategoriach „poezja i piosenka” jury przyznało 39 nagród i wyróżnień. Nagrodami w konkursie były książki o tematyce kresowej i szkolne pomoce multimedialne, a ponadto za I i II miejsce w recytacji laureaci otrzymali pamiątkowe statuetki: złote i srebrne „LAURY”, a za piosenki – złote i srebrne „NUTKI”. Najmłodsi wykonawcy dostali maskotki, wszyscy – dyplomy, pączki i herbatę, a nasi goście – kawę. Fundatorami nagród byli: Urząd Miejski w Koszalinie, Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i nasze Towarzystwo, w miarę skromnych środków. Dwóm głównym Fundatorom dziękujemy w imieniu własnym i nagrodzonej Młodzieży, a Pracownikom Miejskiego Ośrodka Kultury za zaangażowanie i sprawne przeprowadzenie konkursu. □



Laureaci Konkursu Piosenki Lwowskiej

Pamiętnik pociągu pancernego „Gen. Iwaszkiewicz”. Rok 1920 (II)

Dzień następny spędziliśmy w tym samym miejscu pod ogniem dwóch baterii i jednej pancernki, które do późnej nocy zasypywały nas celnymi strzałami dzięki szpiegowi, który telefonicznie dawał bolszewikom informacje o naszych ruchach i dopiero na drugi dzień rano uciekł kiedy zrobiliśmy za nim poszukiwania. We wsi znaleźliśmy wielką ilość amunicji i karabinów maszynowych, w które była uzbrojona miejscowa ludność. W nocy opuścili bolszewicy wieś Stadułowce, którą wieczorem zapaliliśmy pociskami.

Dwudziestego ósmego kwietnia zajęliśmy stację Serbinowce przy pomocy oddziałów III Dywizji p. ma-

szujących od Boru. Bolszewicy zagroźli nam drogę dwoma starymi parowozami, które przewrócili na torze. Dość szybko oczyściliśmy tor przy pomocy 2/I komp. kolejowej i puściliśmy się w dalszy pościg za bolszewikami. Za kilka kilometrów znów napotkaliśmy tego samego rodzaju przeszkodę, toteż by nie tracić czasu wyszedł patrol 10 ludzi i wkroczył do Zmerynki obsadzając stację kolejową. Za kilka chwil weszły inne oddziały i wreszcie wjechała nasza pancernka witana owacyjnie przez tamtejszą ludność.

Następnego dnia wyruszyliśmy dalej z pociągiem biorąc kierunek ze Zmerynki na Odessę. W tę właśnie

stronę cofnęły się główne siły bolszewickie, albowiem koło Winnicy wybuchło powstanie ukraińskie i odwrót na Kijów był dla bolszewików niemożliwy.

Pod Stanisławczykiem natknęliśmy się na większe siły nieprzyjacielskie składające się z piechoty, kawalerii, kilku baterii i dwóch pancerek. Z powodu tego zatrzymaliśmy się dwa dni pod Stanisławczykiem.

Drugiego maja podjęła XII Dywizja dalszą ofensywę. Z nią wyruszyliśmy. Po drodze znów trzeba było dźwigać dwa przewrócone parowozy niedaleko przed Jaroszynką. Wieczorem zajęliśmy Jaroszynkę, gdzie polskie oddziały zatrzymały się, my zaś w nocy pojechaliśmy 14 km dalej do wsi Huta Krośnieńska. Była to przecudna noc majowa. Księżyc srebrnym światłem zalewał ziemię, setki słowików śpiewały w zaroślach. Chwilami zapominaliśmy o wojnie.

Dzień Konstytucji 3 maja uświetniliśmy zdobyciem miejscowości i stacji Rachny Lesowyje. Bolszewicy chcieli nas tu zatrzymać dłużej ze względu na to, że od Rachny tylko dwie stacje dzieliły nas od Wapniarki, tam zaś na tyłach bolszewickich operował dzielny powstaniec ukraiński Tiutiunnik i groził odcięciem i zabranie ogromnego taboru kolejowego. Nasz atak zmusił bolszewików do cofnięcia się. W ręce nasze wpadło kilka dział różnego kalibru z amunicją. W tym ataku zdarzył się osobliwy wypadek: polska artyleria pierwszym strzałem rozbiła bolszewicki haubiec, zmuszając całą baterię do ucieczki.

Rano jeszcze wjechał na drezynie kolejowej patrol z naszego pociągu z ppor. R. w sile trzech ludzi. 9 km za stacją patrol ujrzał most kolejowy, który bolszewicy podpalili przed chwilą, a na belkach mostu położyli minę długości 1,5 m. Na szczęście mina jeszcze nie eksplodowała, choć ściany jej były dobrze już rozgrzane. Patrol więc z wielkim narażeniem życia wydobył minę i ugasił ogień ratując most od zniszczenia.

Przez cały dzień posuwaliśmy się naprzód, choć bardzo wolno ponieważ trzeba było wyjmować wiele szyn rozerwanych, a wstawiać nowe. W końcu zabrakło nam szyn, wyjmowaliśmy więc za sobą i wstawialiśmy przed pociągami. Wieczorem wjechaliśmy na stację Jórkówka, którą już zajął patrol wysłany z naszego pociągu. Bolszewicy przewrócili na zwrotnicach parowozy. Cała noc zesła nam na usuwaniu tych przeszkód.

Rano czwartego maja ruszyliśmy dalej. Bolszewicy obsadzili lasy koło Sielnicy i wysunęli swoją placówkę (do budki kolejowej 302), która trzy razy odrzucała nasz patrol. W końcu jednak patrol zdobył tę budkę i utrzymał się w niej aż do nadejścia pancerkę pomimo rozpaczliwych ataków ze strony bolszewików.

Z nadejściem pociągu otrzymawszy kilkanaście szrapneli uciekli. Ruszyliśmy za nimi i dojechaliśmy do spalonego mostku kolejowego. Ażeby nie tracić czasu zabraliśmy się sami do roboty. W pobliskim lesie nacięliśmy drzew, którymi został otwór mostu zarzucony. Na to położyliśmy szyny i „Iwaszkiewicz” chwiejąc się trochę szczęśliwie przejechał na drugą stronę. Wieczorem zajęliśmy stację Żurawlewkę.

Piątego maja o godz. 6 zajęliśmy stację i miasto Wapniarkę, bolszewicy uciekli stawiając nieznaczny opór, natomiast stacja była ogromnie zniszczona: tory i bloki powysadzane, na pierwszych zwrotnicach głęboki dół wykopany, w nim dwa parowozy głęboko zaryte.

Dzień cały zszedł nam na pracy: wstawiliśmy szyny nowe naokoło parowozu, zbudowany został tor okrężny.

W Wapniarce oddziały nasze zatrzymały się kilka dni. Szóstego maja wyjechał nasz pociąg na patrol 14 km poza placówkę piechoty. Dojechaliśmy do głębokiego wąwozu pod Kniażepolem. Przez tę miejscowość przechodziła obronna linia bolszewicka. Tu dowiedzieliśmy się o siłach nieprzyjaciela jakie miał w Kniażepolu i okolicy: 500 ludzi piechoty, 3 baterie różnego kalibru, 4 pancerkę i kozaków. Chłopi opowiadali, że wielu bolszewików było przebranych w żółte mundury amerykańskie lub wyglądali jak Petlurowcy. Naraz z lewej strony spostrzegliśmy oddział kozaków. Ci nie mogli widzieć naszej pancerkę, którą ukrywały ściany wąwozu, natomiast usłyszeli szum parowozu i wysłali dwóch konnych dla zbadania tego. Kilku żołnierzy z pociągu wyszło i obsadziło skraj wąwozu, żeby ich przywitać jak należy. Kozacy zbliżyli się na parę kroków do nas i jeden z nich mówi: to pewnie nasza pancerkę (eto nawierno nasz „Broniewik”). Naraz przywitani ogniem zawrócili do ucieczki, lecz niestety jeden z nich został zabity wraz z koniem, a drugi uciekł ranny. Wtedy zaroilo się po obu stronach toru i przed nami od kozaków i piechoty. Z lewej strony piechota rozwinięta w tyralierę zaczęła nas ostrzeliwać, z prawej zaś strony pędził co koń wyskoczy oddział kozaków usiłując nam z tyłu zajechać na tor, by nam odciąć odwrót. Za nimi jechały karabiny maszynowe na furach, bateria zaś zaczęła nas zasypywać pociskami i do tego ujrzelśmy dym z ich pancerkę. Po ciężkiej walce przebiliśmy się przez pierścień nieprzyjaciół i wróciliśmy do Wopniarki.

Siódmego maja otrzymaliśmy rozkaz udania się na linię Wopniarka-Humań celem współdziałania z grupami majora Slamotowicza i kpt. Ogórka. Zajęliśmy wówczas stacje Kiemgrówka i Demkówka, skąd szło rozgałęzienie torów. Cały dzień mieliśmy ogromną robotę przy naprawianiu toru, który zniszczył jeszcze Tiutiunnik. Były tam i lokomotywy przewrócone, i wagony wykolejone, wiele szyn zaś zerwanych.

Ósmego maja powróciliśmy na linię Wopniarka-Krzyżopol. Dziewiątego o świcie atakował 51 p.p., lecz bez skutku, na Kniażepol i stację Krzyżopol. Po odbiciu ataku odwieźliśmy batalion w stronę Wapniarki, po czym podjechaliśmy znów do Kniażepola. Od rana atakowały nas dwie pancerkę, z jednej zaś strony biła na nas bateria dwunastek, a z drugiej bateria połówek. Połówki wkrótce zamilkły, gdyż wykryliśmy ich obserwatora i spędziliśmy go ze stanowiska. Wtedy atak przeniesiony został na ciężką baterię i pancerkę. Wreszcie i te umilkły, ale w końcu brak wody w parowozie zmusił nas do odjazdu. Do Wapniarki jednak nie dojechaliśmy, dopiero wezwany parowóz zaciągnął nas do stacji.

Po nabraniu wody pojechaliśmy po raz trzeci pod Kniażepol. Tym razem dostaliśmy się w krzyżowy ogień trzech baterii i trzech pancerek. Pociski nieprzyjacielskie rwały tor koło nas i za nami i rysowały naszą pancerkę odłamkami, zasypywały żelastwem i ziemią. Pociski padały celnie, trzeba było lawirować, posuwać się naprzód i w tył. Nasze armatki i karabiny maszynowe pracowały bez wytchnienia. Po dłuższej walce wróciliśmy bez strat na dawną placówkę.

Dziewiątego maja zszedł nam dzień na walkach. O świcie rozpoczął się pojedynek artylerii polskiej i bol-

szewickiej. Później pojawiła się pancerkę i kozacy. Staliśmy wówczas w lesie koło przystanku kolejowego Kniażewo. Byliśmy wtedy świadkami zdradzieckiego podstępu bolszewików. Jakiś kapitan polski jechał przez pole konno. Nadjechał do niego kozak przebrany w siwy mundur halerski i ciął go kilkakrotnie szablą w głowę, strzelił jeszcze do niego z rewolweru i uciekł. Kapitan później zmarł.

Przed południem por. Fr. wyszedł na patrol z kilkoma ludźmi. Tymczasem koło nas w lesie ukazała się jakaś piechota w żółtych mundurach. Byli to przebrani bolszewicy. Przepuścili nasz patrol, a potem z tyłu rzucili się na niego strzelając z karabinów maszynowych i ręcznych. Byliśmy w trudnym położeniu, gdyż strzelając z pancerkę łatwo mogliśmy pozabijać swoich. Patrol jednak potrafił się przebić i wrócił do pancerkę.

W międzyczasie ujrzelśmy z tyłu na torze oddział kozaków. Ruszyliśmy do tyłu i odpędziliśmy ich. Potem ruszyliśmy do przodu i o mało co nie zderzyliśmy się z pancerką bolszewicką, która z odległości 100 kroków dała ognia kartaczami i uciekła. Znów wyszedł patrol od nas. Nagle wyjechał duży oddział kozaków chcąc otoczyć nasz patrol. Ten jednak wrócił także do pociągu cofając się pojedynczo i strzelając ciągle do kozaków. Kilku z nich spadło z koni. Ledwie się trochę uciszyło, znów się pokazała pancerkę. Wymierzono dwa działa do nas i cofamy się. Pancerkę bolszewicka powoli dojechała do zakrętu i powoli wynurzyła się cała. Wtedy zatrzymaliśmy się. Naraz widzimy dwa błyski – bolszewicy z dwóch dział dali ognia do nas.

Równocześnie zagrzmiały nasze dwa działa i obydwie pociski uderzyły w pancerkę bolszewicką. Ta ruszyła od razu do tyłu. Puściliśmy się w pogoń za nią i kilkakrotnie jeszcze została trafiona. Rozbity został wtedy w niej komin, w ludziach zaś straciła 6 zabitych i 12 rannych.

Pancerkę ta wyznaczyła ogromne nagrody pieniężne za złapanie oficera lub żołnierza z „Iwaszkiewicza”.

Kiedy pancerkę bolszewicka uciekła odezwały się znów baterie bijąc w nas nadzwyczaj celnie salwami. Zaledwie zatrzymaliśmy się w jednym miejscu, już rozrywają się granaty pod kołami. Ruszyliśmy dalej, już przychodzi granat w to samo miejsce. Musieliśmy jeździć tam i назад, obydwa tory porozbijaly pociski, w wielu miejscach drzewa waliły się w lesie jak kłosa podcięte kosą. Szczęście jednak było przy nas i nie mieliśmy żadnej szkody w tym dniu.

Jedenastego maja przyjechał do nas „Pionier” i wykołował się poważnie na pozycji najechawszy na szynę rozerwaną pociskiem. Dźwiganie trwało całą noc przy pomocy kompanii saperów. My staliśmy w lasku jako ochrona. W nocy nadjechała pancerkę bolszewicka i stała w tym samym lasku kilka godzin. Patrole jej kilka razy podchodziły pod nas odpędzane przez nasze wedety. Na szczęście szalał tej nocy ogromny wichur, tak że nie było słychać żadnego huku i hałasu przy robocie. Rano był już „Pionier” na szynach.

Trzynastego maja o godz. ósmej rano uderzyły oddziały XII dywizji na Kniażepol i Krzyżopol. Polskie pancerkę „Iwaszkiewicz” i „Pionier” miały ciężką robotę. Pancerkę bolszewickie stawiały silny opór korzystając z licznych wąwozów, które dawały im osłonę przed naszym ogniem. Każdy taki wąwóz trzeba było osobno zdobywać.

Ostatecznie wjechaliśmy do Krzyżopola czternaście godzin wcześniej przed terminem oznaczonym w rozkazie operacyjnym.

Bolszewicy cofnęli się na nową linię obronną i do wieczora trzymali Krzyżopol pod huraganowym ogniem.

Od czternastego do siedemnastego maja braliśmy udział w operacjach grupy mjr. Kula na linii Wapniarka-Humań. W tym czasie zajęliśmy miasteczko Trościaniec, gdzie było wiele Polaków i cukrownia, i stację Ładyżyn. Osiągnęliśmy tu linię rzeki Boh, na której był ogromny most kolejowy zniszczony jeszcze przez Denikina. Wysyłane były patrole i za Boh raz dotarł patrol z podch. R. aż do miasteczka Sobolewka, dwadzieścia kilometrów za rzeką i tyle samo kilometrów od najdalej wysuniętych placówek polskich.

Tu ludność miejscowa przychylnie odnosiła się do nas, wielu Ukraińców zgłaszało gotowość wstąpienia do wojska polskiego.

III. Walki pozycyjne na linii Krzyżopol-Trościaniec-Gabnik

Wojna ruchowa skończyła się, przyszedł okres walki pozycyjnej. Przeważającą część tego okresu spędziliśmy w Krzyżopolu. Dla nas przeszedł ten czas wśród bardzo ciężkich warunków, których powodem był rodzaj terenu, ukształtowanie się sytuacji bojowej i zadanie pociągu pancernego w walce pozycyjnej.

Ogólnie pociąg pancerny jako oddział posiadający baterie dział, 8-16 karabinów maszynowych i oddział szturmowy do wypadów, patroli, placówek i wedet stanowi bardzo poważną jednostkę bojową. Jego zaletą to nadzwyczajna koncentracja energii bojowej, na którą składa się możność skierowania bardzo silnego ognia różnego rodzaju w jedno lub kilka miejsc równocześnie w każdym kierunku: naprzód, w tył, czy na boki, dalej możność szybkiego posuwania się i wreszcie przewaga bojowa nad piechotą i kawalerią.

Słabe strony pociągu pancernego to: zależność od terenu sąsiadującego z torem kolejowym, zależność od stanu toru i mostów, zależność od parowozu (stan parowozu: węgiel i woda). W końcu niższość pociągu pancernego od baterii. Bateria bowiem jest ukryta, również obserwator baterii może znajdować się blisko celu, a mimo to może być niewidocznym. Natomiast pociąg pancerny mający zawsze kilka wagonów i maszynę jest bardzo dobrym celem dla nieprzyjacielskiej baterii. Nawet w lecie dym parowozu i para zdradza jego obecność. Ściany chronią od kulek karabinów maszynowych i ręcznych (choć mieliśmy rannych od takich strzałów i wewnątrz pancerkę), nie chronią jednak od granatów. Pociąg nasz miał ścianę drewnianą, pocisk mógł z łatwością przebić obie ściany. Nawet od szrapneli nie mieliśmy osłony, gdyż trzy armatki były odkryte. Wreszcie celny strzał w wóz z armatą powoduje zwykle eksplozję amunicji i wóz cały idzie w strzępy. Pocisk w każdym wozie rozrywający się działa z większą siłą niż na wolnym powietrzu. Nasz pociąg przez pięć miesięcy nie miał nawet opancerzonej maszyny. Łada kulka mogła uszkodzić jakąś delikatną część składową maszynę i pociąg byłby unieruchomiony.

Teren w Krzyżopolu był dogodny dla naszej piechoty, lecz bardzo niekorzystny dla pociągu pancernego. W ciągu miesiąca dzień i noc staliśmy z pociągiem wysunięci

przed linią piechoty w miejscu równo odkrytym. Z lewej strony kilka kroków zaledwie osłaniało pociąg do połowy. Aby uzupełnić ten brak maskowaliśmy pociąg gałęziami, które co kilka dni trzeba było zmieniać, gdy zwiędły.

Odcinek Krzyżopola wrzynał się w formie trójkąta w pozycje bolszewików, którzy z tego powodu uporczywie atakowali. W tym miejscu mieli bolszewicy bardzo dobre punkty koncentracyjne i wyjściowe do ataku. Siły ich były znaczne na tym odcinku bronionym tylko przez jeden batalion polski. Najbardziej dawała się odczuć przewaga artylerii po ich stronie. Zwykle rano koło 3 lub 4 zaczynał się huraganowy ogień baterii lekkich i ciężkich i trwał z przerwami aż póki noc nie zapadła.

O świcie podjeżdżały 2-3, a czasem i 4 pancerniki bolszewickie dobrze opancerzone i uzbrojone w haubice większego kalibru i otwierały ogień ze wszystkich dział zasypując pociskami równocześnie okopy i placówki piechoty, stanowiska baterii polskich, stację i miasto Krzyżopol, kwatery oddziałów przyfrontowych, kancelarie, gdzie były ulokowane rozmaite dowództwa i przestrzeń kolejową na przestrzeni 2-3 km. Za pancernikami podjeżdżała niekiedy maszyna z lorą, na niej działo 18-centymetrowe. Lora była specjalnie zbudowana tak, że można ją było spuszczać i wtedy działo mogło z niej strzelać. W międzyczasie piechota bolszewicka pod osłoną ognia artyleryjskiego podsuwała się dolinami i zrywała się do ataku, po odparciu ponawiała atak czasem i pięć razy w ciągu dnia w tym samym miejscu.

We dnie czy w nocy nie było chwili spokojnej.

Czterysta kroków od stanowiska naszego pociągu znajdował się mostek kolejowy zburzony przez bolszewików przy odwróceniu. O ten mostek toczyły się często zacięte walki. Pod osłoną swych pociągów pancernych próbowali bolszewicy kilkakrotnie naprawić most, lecz dzielni żołnierze XII batalionu saperów wysadzali w nocy ich robotę, niszczyli wiązania mostu i rwali tor.

Dwudziestego maja nad ranem przyjechała pancernka bolszewicka pchając przed sobą wagon i lorę wyładowane belkami i progami kolejowymi. Przy mostku wyskoczyło kilkunastu bolszewików i w ciągu kilku minut zdołali zarzucić prawie cały otwór mostu belkami. Skierowaliśmy jedno działo na ich pancerkę i granatami zmusiliśmy ją do ucieczki, z drugiego zaś biliśmy szrapnelami na most i odpędziliśmy bolszewików zajętych przy robocie. W nocy wysadzili saperzy to co bolszewicy w dzień naprawili.

Przez następne dni było to samo. Pancerniki i bateria trzymały nasz odcinek pod ogniem od rana do nocy. Walki o most rozgrywały się codziennie. Nasze aeroplany sygnalizowały zbliżanie się konnej armii Budionnego, która pospiesznym marszem ciągnęła z Krymu na Ukrainę. Dwudziestego trzeciego, w dzień Zielonych Świąt, bolszewicy rozpoczęli swą ofensywę. Na naszym odcinku zgromadzili większą ilość piechoty, konnicy i przy pomocy trzech pancerek próbowali przerwać front. Jeszcze ciemno było kiedy rozpoczął się ogień bolszewicki, a piechota rzuciła się do ataku. Uderzyli bolszewicy na nasze prawe skrzydło. 11 kompania 5 p.p. pięć razy w ciągu dnia odbijała ataki całej brygady sowieckiej.

Cały dzień ponawiali bolszewicy ataki, lecz nie zdołali się przesunąć ani kroku. Straty ich były znaczne.

W drugi dzień świąt podjechaliśmy do mostu i otworzyliśmy gęsty ogień. Bolszewickie baterie zasypały

nas szrapnelami, wkrótce ukazały się pancerniki. Piechota jeszcze raz uderzyła gwałtownie na nas, lecz atak został odparty.

Eskadra aeroplanów polskich operowała na tyłach bolszewickich. W tym dniu zauważyliśmy, że jedna z pancerek bolszewickich zamaskowana zielenią leży rozbita w odległości 3-4 km. Przed południem wyszedł z pociągu nasz patrol z ppor. J. i ppor. R. Patrol dotarł do okopów bolszewickich i tu został otoczony przez silny oddział piechoty. Bateria zasypała szrapnelami nasz oddział, który bronił się zaciekle przeciw piechocie. Jakiś oficer bolszewicki chciał porwać swoich żołnierzy do ataku, lecz wkrótce zginął trafiony kilkakrotnie. Ostrzeliwując się powrócił patrol bez strat do pociągu. Wieczorem patrolowaliśmy wieś Zielonka, którą bolszewicy przed chwilą opuścili. Patrol bolszewicki przekradł się do mostu i podpalił go, a następnego dnia bolszewicy przesunęli w tył swą linię obronną do wsi Kryklinska i Popieluchy.

Dwudziestego szóstego maja wyruszył nasz patrol naprzód dla zbadania nowych pozycji bolszewickich. Patrol minął Zielonkę i dotarł na odległość 80 kroków do miejsca, gdzie leżały dwie pancerniki wykolejone. Bolszewicy nawet placówek nie powystawiali, lecz pracowali gorączkowo nad podźwignięciem swych pancerek.

Na podstawie naszego meldunku zdecydowany został wypad. Dwudziestego siódmego maja uderzył 51 p.p. na nową linię obronną nieprzyjaciela. Bolszewicy stawiali silny opór. Ich pociąg pancerny wysuwał się śmiało i chciał odrzucić w tył naszą piechotę. Przyszliśmy na pomoc piechocie i zmusiliśmy „Broniewika” do cofnięcia się. W ciągu dnia zdobyliśmy wsie Kryklinska i Popieluchy, wieczorem zaś stację Rudnice. W ręce nasze wpadła jedna haubica, dwa karabiny maszynowe i pociąg pancerny „Krasny Chrestjanin”, jeden z tych, którego widzieliśmy poprzedniego dnia. Jeden zdażyli bolszewicy wyciągnąć, drugi zdobyliśmy, choć już mocno rozbity.

Dwudziestego ósmego o szóstej rano zaatakowały nas przez pomyłkę polskie aeroplany, biorąc nas za pancerkę bolszewicką. Trzy razy obrzucały nas bombami, lecz wyszliśmy cało, jedynie piechota, która maszerowała obok toru, miała 1 zabitego i 4 rannych. Rozbiły też ambulatorium polowe zabijając 7 ludzi (w tym doktora) i 14 raniąc. Do wieczora pracowaliśmy później wraz z 2/1 kompanią kolejową nad wydobyciem i ustawieniem zdobytej pancernki.

Dwudziestego dziewiątego odparliśmy kontratak pancernki bolszewickiej i piechoty na Kryklinskoja. Jeden z naszych samolotów rozbił pancerkę bolszewicką między stacjami Rudnica i Popieluchy. Po południu otrzymaliśmy rozkaz powrotu do dawnych pozycji. Wieczorem oddziały nasze ze śpiewem pomaszerowały z powrotem na linię Czebotarka-Krzyżopole-Kiostówka. Odwrót osłaniał „Iwaszkiewicz” niszcząc tor i paląc mosty.

Następne dni spędziliśmy znów nad Bohem w okolicy Gabnika i Trostciańca. Pierwszego czerwca wdarli się bolszewicy do okopów 52 p.p. koło Trostciańca. W kontrataku odebraliśmy pozycje bolszewikom. Ranny był w tej akcji pułk. Oświęcimski.

Trzeciego czerwca wróciliśmy pod Krzyżopol i wzięliśmy udział w kontrataku na Wielką Tarnawkę na prawo od Krzyżopola. Chłopi w tej wsi zbuntowali się i ułatwili

bolszewikom zdobycie jej. Dwie godziny bombardowaliśmy wieś granatami i szrapnelami. Tymczasem zaś nadciągnęła rezerwa i odbiła wieś. Dostaliśmy wtedy pochwałę od pułkownika Kukiela za celne strzały. Całą noc bili bolszewicy z ciężkich dział.

Czwartego o dziewiątej rano uderzyli bolszewicy na Nowosiółki, na lewo od Krzyżopola. Atak wspierały dwie pancerniki i 18-stka na lorze. Pancerniki i baterie nieprzyjacielskie były bez przerwy na okopy, tor, stację i miasto. Gwizd pocisków nieustannie przeszywał powietrze. Fontanny ziemi i dym pocisków ekrazytowych zasłaniały widok. Białe obłoczki szrapnelowe gęsto zakwitały nad ziemią. Grad ołowiu mieszał się z odłamkami granatów, które darły doły w spalonej ziemi i z metalicznym dźwiękiem rozrywały się rażąc w koło zadzierzgiwymi kawałkami żelaza. Trajektorie karabinów maszynowych, świst kulek, huk wystrzałów armatnich i wybuchów, wycie pocisków tworzyły koncert, który przeciągał się kilka godzin. Baterie nasze skierowały ogień na piechotę bolszewicką, my zaś zajęliśmy się pancernikami. Skie-

rowane zostały nasze obie przednie armatki i biliśmy do ostatniego granatu. Tylnie działo górskie ściągnęliśmy na ziemię. Ustawiliśmy je przed okopami naszej piechoty i z niego biliśmy z bliska na bolszewickie tyraliery. Przy dziale tym ranny został kap. K. kulą szrapnelową. Jakkolwiek napór bolszewicki był bardzo silny odrzuciliśmy ich w końcu ze znacznymi stratami. Gdzie nawet zdołali się przybliżyć kontratak naszej piechoty odrzucał ich w tył. Po ataku nastąpiła cisza trwająca kilka godzin. W nocy podjechaliśmy do mostu oraz otworzyliśmy huraganowy ogień ze wszystkich armat, karabinów maszynowych i ręcznych. Bolszewicy zaskoczeni tym, że to jest nasz atak rozpoczęli gwałtowny ogień zaporowy aż do rana, nawet po swoich pozycjach. Następne dni trwały ostrzeliwywanie, jak zwykle. Szóstego czerwca patrol nasz dokonał śmiałego wywiadu przekradłszy się do samych pozycji bolszewickich.

Od siódmego do dwunastego czerwca operowaliśmy znów na linii Ładyżyn-Trostcianiec.

(c.d.n.)

Bogumiła Rajca

60 lat wypędzenia Polaków z Kresów Wschodnich

Losy mojej rodziny w latach 1944-1946

Jestem kresowianką od kilku pokoleń i losy mojej rodziny podobnie jak historia Kresów były bardzo burzliwe. Wzloty i upadki towarzyszyły nam podobnie jak tej ziemi, z którą byliśmy ogromnie związani. Burzliwe dzieje naszego narodu, lata wojny i okupacji wyrwały olbrzymie piętno na mojej rodzinie i dlatego rok 1944 budził w nas nadzieję ustabilizowanego, spokojnego życia. Wojsko polskie walczyło o wolność Ojczyzny, przychodziły listy z frontu od dwóch braci mojej matki, o trzecim zabranym przez Rosjan w 1940 roku nic nie wiedzieliśmy, ale przeczucia nam mówiły, że on żyje i kiedyś da znać o sobie.

Łudziliśmy się, że nie będzie już łapanek ulicznych organizowanych przez okupantów niemieckich, że Sowieci wkroczyli na naszą ziemię jako sprzymierzeńcy i w związku z tym będą dla nas przychylniejsi. Zdłuzenia nasze bardzo szybko prysnęły jak bańka mydlana, nic się oni nie zmienili w swym okrucieństwie i nienawiści do Polaków.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1944 roku został aresztowany we Lwowie stryjeczny brat mojej mamy Staszek Krzaklewski. Aresztowanie nastąpiło w chwili kiedy siedział na wykładach uniwersyteckie, był bowiem studentem wydziału weterynarii. Wiadomość o tym zdarzeniu dotarła do nas bardzo szybko, zaczęliśmy się ukrywać, by moją mamę noszącą to samo nazwisko rodowe przed zamążpójściem nie spotkało coś złego. Wspomnę, że nazwisko panińskie mamy brzmiało Krzaklewska i było już od 1940 roku zanotowane na NKWD, bowiem brat stryjeczny mojej matki brał udział w powstaniu czortkowskim i był wywieziony przez Rosjan w głąb Syberii.

Drugim potężnym ciosem, który potrząsnął moją rodziną było ogłoszenie wiszące na ulicy Mickiewicza.

Informowało ono o ewakuacji Polaków na Ziemię Zachodnie. Rozlepiono je w niedzielę, treść jego nie trafiła do naszej świadomości. Przy tablicach ogłoszeniowych stali zaszokowani mieszkańcy Czortkowa i nie mogli zrozumieć o co w tym ogłoszeniu chodzi. Wszyscy stwierdzali, że skoro jest mowa o ewakuacji to na pewno wrócimy z powrotem na tę ziemię z chwilą kiedy Sowieci uporają się z bandami UPA. Nikt nie myślał o tym, że za tym słowem kryje się smutna prawda dotycząca bezpowrotnego wyjazdu i pozostawienia całego dorobku poprzednich pokoleń na rzecz Sowieców. Oczywiście było, że ta ziemia od wieków należała do Polski i kryła szczątki naszych ojców i dziadków na czortkowskim cmentarzu.

Moja mama nie bardzo była przekonana do tymczasowej ewakuacji, postanowiła nie wyjeżdżać. Na Czortków, który był siedzibą w owym czasie województwa, nie napadali banderowcy. Mordowali ludność okolicznych wiosek, nam dawali spokój. Z chwilą zakończenia wojny zaczęli wracać do swych rodzin zdemobilizowani żołnierze wojska polskiego. Bracia stryjeczni mojej mamy też odezwali się i zaczęli zachęcać do wyjazdu na Zachód. Przekonywali nas o tym, że z chwilą przeniesienia urzędów wojewódzkich do odbudowanego Tarnopola, Czortków pozostanie z niewielką ilością wojska i NKWD, i w takiej sytuacji banderowcy znów będą napadać na miasto. Te wieści również docierały do mojej świadomości mimo moich jedenastu lat.

Zapamiętałam lunę nad miastem palącą się wsi podczortkowskiej (3 km od miasta). W owym czasie chodziłam do III klasy szkoły podstawowej z językiem polskim, uczyły nauczycielki Polki, normalnie funkcjonowały wszystkie polskie szkoły, w kościele odbywały się nabożeństwa w języku polskim.

W mieście prócz chodzących sowieckich żołnierzy nie odczuwało się drastycznych zmian, wiedzieliśmy, że na dworcu kolejowym położonym w drugiej części Czortkowa koczują ludzie z podczortkowskich wiosek, uciekli oni przed banderowcami, opuścili cały swój dobytek i czekali na rampie kolejowej na wagony, by wyjechać na zachód. Pocieszali jedni drugich, że wyjazdy są chwilowe, że zarówno ci, którzy wyjechali już wcześniej, jak i ci pozostali najpóźniej w okresie jesieni wrócą do swych domów. Radio zachodnie nadawało takie informacje i pocieszało zdesperowanych ludzi.

W tym czasie pełnym rozterki i niezdecydowania moja mama dostała nawet pracę, co prawda nie w zawodzie nauczycielskim, lecz w magazynie przetwórnictwa owocowego. Zarabiała bardzo mało, ale jednak był to jakiś pieniądź, nie trzeba już było sprzedawać rzeczy na utrzymanie.

Rodzina mojej matki (stryj i jego synowie) mająca kontakt z szerokim światem zaczęła powątpiewać, że jest to chwilowa ewakuacja. Od września 1945 roku zaczęto ograniczać niezależność Polaków. Do polskich szkół wprowadzono język ukraiński i rosyjski nawet do klas najmłodszych, zniknęły polskie książki z księgarń polskich, a pojawiły się ukraińskie i rosyjskie.

Koleżanki seminaryjne mojej mamy, które uczyły w wioskach podczortkowskich, zaczęły się zwalniać z powodu szykan władz rosyjskich i pogroźek banderowskich. Zgrozę sytuacji spotęgował fakt zamordowania nauczycielki Hanki uczącej koło Czortkowa. Wieczorem około godziny 20 zapukali do drzwi jej mieszkania młodzi ludzie i poprosili, by ich wpuściła, bo chcą się ogrzać przed zimą. Znała ich, byli to chłopcy ukraińscy, którzy stróżowali we wsi. Wpuszczeni, zakłuli ją w bestialski sposób nożami. To zdarzenie uzmysłowiło polskiemu nauczycielom, że nie mają co robić wśród Ukraińców i lepiej „klepać przysłowiową biedę” w mieście niż być narażonym na śmierć. Ludność często przymierała głodem, pamiętam, że najczęściej jadło się placki tarte z ziemniaków, małą z mąki kukurydzianej. Moja mama pracowała i miałyśmy pieniądze na skromne życie.

Sytuacja ta podyktowana była tym, że działania wojenne uniemożliwiały wykonywanie prac polowych, pola najczęściej stały ugięte, wojska wyzwolenicze (Sowieci) też całkowicie wypróżniły zapasy żywnościowe ludności cywilnej.

Wszystkie te zdarzenia zaczęły bardzo negatywnie wpływać na mieszkańców naszego miasta. Zaczęto podstawiać wagony towarowe, początkowo odkryte i ruszyły one na Zachód. O tym Zachodzie różne krążyły pogłoski, mówiono, że dużo jest dezertorów niemieckich, którzy napadają na przyjezdnych, mordują ich w barbarzyński sposób, że ludzie z powodu zniszczeń nie mają dachu nad głową. Rosjanie też coraz niechętniej patrzyli na tych, którzy załatwiali papiery na wyjazd, a jeszcze się ociągali. My również zaczęłyśmy tracić poczucie bezpieczeństwa i po cichu zaczęłyśmy się wahać, myślałyśmy długo co zrobić z sobą.

Wyjechał ukochany stryj mojej mamy, jak wspominałam nasz opiekun i doradca, zaczęłyśmy powątpiewać w ewakuację przejściową. Powoli wyprzedawałyśmy rzeczy i przygotowywałyśmy się do wyjazdu. Te handlowe transakcje prowadziłam w styczniu i lutym 1946

roku. Smutny na pewno to był widok małej 11-letniej dziewczynki, która na sankach przywoziła na bazar rzeczy i ogrzewając się węglem drzewnym palonym w małym piecyku stała handlując cały dzień. Mama w owym czasie jeszcze pracowała, a ja nie chodziłam już do szkoły, bo od stycznia 1946 roku szkołę polską zamknięto.

Byłam przygotowana do przyjęcia I komunii w czerwcu 1946 r. Wobec takiej sytuacji niepewności postanowiłam nie czekać na ustabilizowanie i komunię przyjąć indywidualnie. Pod koniec lutego, a była to niedziela, wstałam, ubrałam płaszczkę, czapeczkę, buty na drewnianej podeszwie i poszłam do kościoła nie budząc śpiącej Matki. Ksiądz Urban Szeremietiew był zdziwiony, kiedy usłyszał, że przystępuję do spowiedzi po raz pierwszy, pamiętam dokładnie jego słowa: „co ty mówisz, dlaczego to robisz?”. Moja odpowiedź była taka: „będziemy wyjeżdżać, chcę przyjąć komunię, nie wiem jak tam będzie, ja chcę być z Panem Jezusem”. Po powrocie z kościoła zastałam Matkę zaniepokojoną moim zniknięciem z domu, a kiedy jej opowiedziałam o wszystkim rozplakała się, przykro jej było, że ja, jedyną jej dziecko, tak przeżywa I komunię, bez sukienki komunijnej i gości, ja natomiast byłam tak szczęśliwa jak nigdy w życiu. Wszystkie sytuacje jakie działy się w mojej rodzinie przeżywałam na równi z Mamą, nie miałam dzieciństwa, wcześniej nauczyłam się gotować, prać i walczyć o przetrwanie. Moja psychika dziecięca została całkowicie rozregulowana, często zrywałam się w nocy, bo śniło mi się, że wyleciałam z odkrytego wagonu jadącego na Zachód i moja Mama pojechała dalej. Pewnego niedzielnego poranka 1946 roku zapukali do naszych drzwi enkawudziści i zapytał, słowa jego utkwiły w mojej pamięci: „Lachowska, kiedy wyjeżdżasz na Zachód, od roku masz kartę, dlaczego nie wyjeżdżasz, nam potrzebny jest twój dom, jeśli nie wyjeżdżasz najbliższym transportem na Zachód, to my wywieziemy cię na białe niedźwiedzie”. Po tej informacji podjęłyśmy ostateczną decyzję: za tydzień 22 III 1946 roku miał odjechać przedostatni transport na Zachód i nim miałyśmy wyjechać niby chwilowo, a jednak na zawsze.

Zaopatrzyłyśmy się w zapasy żywności, stoły zamieniono po rozbiciu na paczki, w nich schowano kaszę, mąkę, fasolę, tytoń, który według relacji sprytniejszych był towarem wymiennym na Zachodzie i miał nas uratować od śmierci głodowej. Wolno nam było wziąć w całości z rzeczami osobistymi na nas dwie 350 kg. Nasz dobytek, który miał pojechać z nami, to było: łóżko, stół obity na paczkę z tytoniem, kilka wiader smalcu z zalaną wewnątrz kielbasą, trochę pościeli, niewiele rzeczy osobistych. Zabrałyśmy psa, kota zostawiłyśmy sąsiadom, bardzo płakałyśmy rozstając się z nim.

Rankiem 22 III zerwałam się wcześniej i poszłam na ulicę Nadrzeczną, by załatwić u Rosjan samochód ciężarowy, który miał nas i nasz skromny dobytek przewieźć na rampę kolejową. Po godzinie, ledwie przyszedłam do domu, zjawił się samochód. Sąsiedzi Ukraińcy powrzucaли nasze rzeczy, ich żony stały i ocierały łzy. Wypada mi w tym miejscu powiedzieć, że byłyśmy z nimi bardzo zżyte. Nasz dom przekazywany był potomnym i moi dziadkowie żyli z sąsiadami na stopie rodzinnej. Razem spędzali święta i uroczystości rodzinne,

zarówno polskie jak i ukraińskie. Dlatego reakcja nasza, jak i sąsiadów, była pełna rozpacz, a nawet tragizmu. Pamiętam moje zachowanie, zaczęłam strasznie płakać, krzyczeć, złapałam się płotu i musiano mnie siłą od niego oderwać. Sąsiadki oraz moje ukraińskie koleżanki też płakały, głaskały mnie i uspokajały, zapewniały, że niedługo wrócimy i będziemy do końca. Nie zastanawiałam się jakby to było, wszystko bowiem zostało sprzedane za bezcen lub rozdane, byłyśmy biedne i zagubione, stałyśmy przed wielką niewiadomą.

Włączono silnik samochodu, wsadzono mnie do szoferki i my wyruszyłyśmy w kierunku rampy kolejowej. Sywał śnieg, przesłaniał szyby szoferki, moje zapłakane oczy nie mogły pożegnać rodzinnego miasta, pięknego kościoła, bazaru, ulicy Mickiewicza i Kościuszki oraz malowniczych zakoli Seretu.

Wszystko zostało za nami, miasto z ukochanym domem, cmentarzem z prochami przodków, przed nami rozciągała się (wielka niewiadoma) droga na Zachód.

Na rampę przyjechałyśmy bardzo szybko, stały już na torze wagony towarowe kryte, do których lokowano po cztery rodziny. W wagonie było 12 osób, bo rodziny były nieliczne. Wydzieliliśmy kącik, do którego wstawiono wiadro, miało ono zaspokoić nasze potrzeby fizjologiczne. Głód miały zaspokoić suchary, o przygotowaniu ciepłego posiłku nie było mowy, wagon do tego nie był przystosowany. Weszliśmy na końcu do załadowanego wagonu, bo trudno nam było rozstać się z ludźmi, którzy przyszedli pożegnać odjeżdżających, byli dwaj księża, mieli oni wyjechać ostatnim transportem. Pobłogosławili nas, a my wszyscy zaczęliśmy modlitwę „Pod Twoją obronę”, a później jednym łkaniem zaśpiewaliśmy „Jedziemy do polskiej ziemi umierać między swoimi”.

Pociąg zaczął ruszać, powoli, powoli, sygnał lokomotywy zagnał na zawsze ukochane miasto. Płacz, krzyk mieszał się ze stukotem kół, płakali ci, którzy odjeżdżali i ci, którzy pozostali. Zaryglowane drzwi wagonu zasłoniły wszystko, małe okienko w górze wagonu niewiele wpuszczało światła i w takich warunkach przy krótkich postojach jechaliśmy 7 dni. Kilkakrotnie żołnierze rosyjscy w nocy w czasie postoju próbowali dostać się do nas. Walili kolbami w drzwi wagonu, lecz my uprzedzeni przez konwojentów polskich nie wpuszczaliśmy ich i dzięki temu nie zostaliśmy obrabowani. W międzyczasie przeładowaliśmy nasze rzeczy do wagonów o węższych torach, by w tych wagonach przekroczyć granicę.

Transport nasz miał nas zawieźć w okolice Wrocławia (Siechnice, Radwanice), tam był jego kierunek docelowy. Jechał drogą kolejową przez Kluczbork.

Na granicy już po polskiej stronie dano nam ciepłej zupy, na którą rzuciliśmy się wszyscy bardzo łapczywie, bo przez sześć dni byliśmy na sucharach. Zupa zjedzona ze smakiem doprowadziła nasze żołądki do wielkiego zatrucia. Pojemność wiadra nie wystarczyła, na polskiej stronie robiono postoje, które wykorzystywano na załatwienie potrzeb fizjologicznych oraz do napięcia się wody ze strumyka lub rzeki i umycia się. Szukając ustronnych miejsc, by załatwić potrzeby fizjologiczne, dwoje ludzi nie zdążyło dobiec do wagonów, pociąg ruszył, a oni zostali wśród zarośli.

Nie wspominałam wcześniej, że na przodzie transportu, bezpośrednio za pierwszą lokomotywą, jechali

mężczyźni opiekujący się bydłem, ich żony z dziećmi jechały w dalszych wagonach. Na jednym z krótkich postojów mężczyzna biegł w kierunku wagonu niosąc mleko dzieciom. Nie zdążył dobiec, pociąg ruszył, a on pozostał. Znał trasę przejazdu transportu i spotkał się z rodziną dopiero na stacji w Krakowie po kilku dniach rozłąki.

Dnia 29 III 1946 roku nasz transport zatrzymał się w Kluczborku, pamiętam ten dzień dokładnie jakby to był dzień wczorajszy. Śnieg lekko sywał, było chłodno i mokro.

Zapamiętałam ruiny spalonego dworca i mnóstwo ludzi, jak się później okazało czortkowian, którzy przyjechali do Kluczborka wcześniej i zdążyli rozlokować się w tym mieście czekając jednak na powrót do domu. Wśród nich było małżeństwo, które mieszkało w Czortkowie na naszej ulicy i знаło nas bardzo dobrze. Ci ludzie oraz znajomi kolejarze z Czortkowa, a pracujący już w Kluczborku, namówili moją Mamę, by rozładowała się, byłyśmy chore i wątpliwe było czy dojedziemy żywe do stacji docelowej transportu. W wielkim pośpiechu wyrzucono nasze tobołki i zamiast między tory wrzucono na tory obok młyna parowego.

Za chwilę pociąg odjechał, ludzie zaczęli się rozchodzić, a my zostałyśmy same. Mama zostawiła pod moją opieką rzeczy i poszła do zawiadowcy stacji, by podstawił wagon, który podwoziłby nasze rzeczy na najbliższą rampę będącą na ulicy Wołczyńskiej. W tym czasie kiedy Mama poszła, ja siedziałam na tobołkach tuląc swego pieska, ogrzewaliśmy się oboje i dodawaliśmy sobie odrobinę otuchy. W pewnym momencie usłyszałam gwizd lokomotywy i wśród lecących płatków śniegu zobaczyłam posuwające się światła lokomotywy, odskoczyłam na bok, a ona wjechała na nasze rzeczy. Rozbiła stół-paczkę z tytoniem, rozpruła pierzynę i poduszki, wysypała worek z kaszą. Uratowały się wiadra z tłuszczem i suchary, bo leżały między torami.

Obraz niszczący był przygnębiający, stałam i płakałam głośno zamiast cieszyć się, że żyję. Po powrocie Mamy podjechał wagon, zebrano resztkę ocalałych rzeczy i za kilka minut wyładowano na rampie. Tu zostałyśmy znowu same pod gołym zaśnieżonym niebem i wtedy zrozumiłyśmy, że lepiej nawet było znosić chorobę i inne uciążliwości wśród losu innych tułaczy niż być tutaj samotnym i opuszczonym przez wszystkich. Ci, którzy nas namawiali byśmy nie jechały dalej, odeszli, a my nie wiedzieliśmy co z sobą zrobić, u kogo szukać ratunku, było nam zimno, biegunka dawała się mocno we znaki.

Pan Bóg nas nie opuścił, w pewnym momencie zobaczyłyśmy kobietę, która stała na moście i przyglądała się nam siedzącym z tobołkami na rampie usytuowanej na dole. Ten widok kobiety i dziecka nie dał jej spokoju, podeszła do nas, jak się okazało była to czortkowianka, wdowa po oficerze zastrzelonym w Katyniu. Zorganizowała pomoc i zabrała nas do siebie, u niej byłyśmy dwa dni. Mama postanowiła po dwóch dniach szukać mieszkania, wyruszyłyśmy od znajomej i wchodząc do każdego domu kolejno, napotykałyśmy wolne mieszkania u właścicielki kamienicy na I piętrze przy ulicy Wołczyńskiej 15. Właścicielka była starszą osobą około 70 lat, słabo mówiła po polsku, wydawała się nam bardzo miła i dobra, tak rzeczywiście było. Mieszkanie na piętrze

składało się z pokoju i kuchni, ubikacja była na dworze, a woda na korytarzu. Było ono bardzo zagrzybione, na podłodze był obornik koński, po froncie kwatrowali tam Rosjanie i w nim przetrzymywali według relacji gospodyni dwa konie. Jak one dostały się po schodach na piętro do dzisiaj jest dla mnie zagadką. Wzięłyśmy się porządnie do pracy, ja mimo swych dwunastu lat umiałam pracować jak osoba dorosła i nie przypominałam dawnej, z lat przedwojennych, rozpieszczonej jedynaczki, dziecka dobrobytu.

Mieszkanie zostało uprzątnięte, podłoga wyszorowana, ściany pobielone. Rozłożyłyśmy nasze łóżko, a gospodyni wypożyczyła kilka niezbędnych sprzętów. Byłyśmy bardzo szczęśliwe bo miałyśmy dach nad głową i spokojny sen w nocy.

Mama zaczęła sprzedawać rodzinną biżuterię, którą przywiozła ze Wschodu, pieniądze z jej sprzedaży topniały jak lód, a Mama czekała na informację dotyczącą naszego powrotu do Czortkowa. Ocknienie nastąpiło wtenczas kiedy sprzedała ostatni kawałek złota – ślubną obrączkę po zmarłym mężu, a moim ojcu. Zrozumiała, że nie wróci już tam i trzeba podjąć pracę. Udała się do inspektoratu szkolnego i otrzymała propozycję objęcia stanowiska nauczycielki od 1 IX 1946 roku w Rożkowicach. Propozycję pracy przyjęła z zadowoleniem. W czasie wakacji jeszcze przed wyjazdem do Rożkowicz zdarzył się bardzo przykry wypadek, który całkowicie zniszczył naszą żywność, a gdybyśmy były w mieszkaniu to kto wie, czy nie kosztowałby nasze życie. W ogrodzie naszej gospodyni zakopane były miny, które trochę wystawały z ziemi. Jeden z lokatorów zgłosił o tym jednostce wojskowej. Przyjechali żołnierze, przenieśli je na pobliską łąkę, by tam je rozminować. Zapewniali, że zrobią to w bezpiecznej odległości i nam nic nie grozi w konsekwencji wybuchu. Przezorność lokatorów okazała się jednak zbawienna, uciekliśmy z kamienicy daleko. Detonacja była bardzo silna, został zerwany dach kamienicy, okna wyleciały z futrynami, spadł sufit w naszym mieszkaniu i gruz zniszczył produkty żywnościowe (kaszę, smalec). Czego nie zniszczył parowóz to zniszczyła lekkomyślność żołnierzy. Odeмонтовали wprowadzić kamienie, ale żywności nie zwrócili.

Nic dziwnego, że 31 VIII 1946 roku opuściliśmy Kluczbork z bardzo małym dobytkiem. Rożkowice były oddalone od Byczyny 5 km i zamieszkiwali je repatrianci z województwa tarnopolskiego. Nauka odbywała się w dwuizbowym domu parafialnym, budynek szkoły został spalony w czasie działań wojennych i trzeba było go niezwłocznie odbudować. Prymitywne urządzenie klas w domu parafialnym, brak ławek z oparciem, pomocy naukowych stanowiły dużą trudność w procesie dydaktycznym. Prócz kredy i tablicy nie było w szkole niczego co ułatwiłoby pracę nauczyciela i pomagało uczniom w przyswojeniu materiału. Uczniowie w owym czasie nie mieli podręczników, zeszyty robiono z papieru pakunkowego, a atrament z ołówka kopiowego. Uczniowie mimo niedogodności wykazywali wielkie pragnienie wiedzy. Z chwilą okupacji rosyjskiej na Kresach Wschodnich nie mieli dostępu do polskiej szkoły i dlatego byli przerośnięci wiekiem. Mama z uczniami szukała jak najwięcej kontaktu. W tym środowisku zostałyśmy zaakceptowane jako krajanki z tego samego województwa tarnopolskiego (ludność pochodziła z Załoziec pow. Zborów).

Byłyśmy kochane, starano się nam pomagać materialnie, jednak warunki mieszkaniowe zmusiły naszą Mamę do zmiany po roku miejsca pracy. W Rożkowicach mieszkaliśmy na poddaszu w budynku piekarni, miałyśmy jedną izbę, która była i kuchnią, i pokojem. Na środku izby stał piecyk tzw. „cyganek”, na którym gotowałyśmy jednodaniowy posiłek. Rura blaszana przechodziła przez całą izbę. W zimie w izbie było zimno, a w lecie gorąco. Po izbie nawet w dzień w czasie naszej obecności buszowały szczury.

Sytuacja polityczna w owym czasie pomogła mojej Mamie w podjęciu nowej decyzji. Powiat oleski zamieszkały w większości przez autochtonów potrzebował nauczycieli. Na własną prośbę Mama przeniosła się do Pawłowic koło Gorzowa Śląskiego. Obiecywano ładne mieszkanie, lepsze uposażenie, realia okazały się jednak inne.

W dniu 1 IX 1947 roku furmanka gospodarza z Pawłowic zaprzężona w dwa dorodne konie przewiozła nas ze skromnym dobytkiem do Pawłowic. Na miejscu prysnął czar, nadzieja otrzymania mieszkania stała się nie-realna. Noc spędziłyśmy w zadaszanej tylko izbie bez okien i drzwi u litościwej mieszkanki wioski, która nas nakarmiła i użyczyła nam schronienia. Bałyśmy się bardzo, nieufność do obcych prześladowała nas jeszcze z czasów wojny i to uprzykrzało i komplikowało nam życie. Nie będę rozwijać tego tematu, wspomnę tylko, że w owym czasie w okolicach Gorzowa Śl. i Pawłowic grasowała banda Borówki, również odwiedziła ona gospodarza, u którego zamieszkałyśmy na polecenie wójty gminy.

Miałyśmy tzw. „pecha”. Dopiero w 1952 roku, kiedy zdałam maturę i podjęłam pracę, los się do nas uśmiechnął, zaczęło się nam powodzić coraz lepiej. Zarabiałam pieniądze, założyłam rodzinę, ukończyłam studia nauczycielskie. W 1974 roku wybudowaliśmy dom w Kluczborku, tu podjęłam pracę, chciałam być wśród swoich, bo w Kluczborku jest dużo czortkowian.

W roku 1988 odeszła do wieczności moja Mama i spoczęła na kluczborskim cmentarzu. Nie zrealizowały się jej marzenia dotyczące powrotu do Czortkowa. Od wyjazdu w 1946 roku nie była tam ani razu.

Ja już też jestem na emeryturze, mam 71 lat, doczekałam się wnuków.

Często myślę o latach spędzonych w Czortkowie, latach krótkich przed wojną przy boku rodziców oraz o koszmarnych czasach nasyconych strachem przed śmiercią z rąk Rosjan, Niemców albo nacjonalistów ukraińskich.

Najbardziej jednak głęboko wryły się w moją pamięć lata 1944-1946. Wtedy po raz drugi weszli Sowieci do Czortkowa jako „pseudoprzyjaciele” i wypędzili nas z naszego domu. Tego czarnego scenariusza nie zapomnę do końca moich dni. Zawalił się wtedy świat nad moją dziecięcą głową, straciłam poczucie bezpieczeństwa i żyłam jak zaszczytowany pies.

Dwukrotnie odwiedziłam Czortków (1972, 1992), często mi się śni moje miasto rodzinne. Widzę oczyma wyobraźni góry okalające miasto i wstęgę Seretu płynącego zakolami.

Miasto rodzinne, kochane drogie miasto wyrzuciło już mnie za burtę, ja już tam, wśród obecnych jego mieszkańców, poczułam się obco. Wyrzucona stamtąd, już nigdy tam nie wrócę i moje kości też pewnie spoczną na kluczborskim cmentarzu. □

Kazimierz Wesołowski Śladem lwowskiego świętego

Tuchów – miasteczko w diecezji tarnowskiej. Położone nad rzeką Białą (dopływ Dunajca) w odległości ok. 20 km na południe od Tarnowa, a w nim sanktuarium NMP, w którym znajduje się cudowny obraz Matki Bożej Tuchowskiej. Wielowiekowa i bogata jest historia tego miasta, które już w roku 1105 nadane zostało benedyktynom tyńskim przez Judytę, żonę Władysława Hermana. Do roku 1460 kościołem NMP zarządzali księża diecezjalni z diecezji krakowskiej (diecezja tarnowska jeszcze nie istniała) zatwierdzani przez opata tyńskiego. Od 1460 r. do 1820 r. gospodarzyli tu już benedyktyni i to za ich rządów przybył do Tuchowa obraz Matki Bożej. Po kasacie opactwa tyńskiego w latach 1820-1843 pracowali w Tuchowie ojcowie jezuici, potem księża diecezji tarnowskiej, a od 26.04.1893 r. ojcowie redemptoryści, którzy zbudowali tu duży klasztor, w którym mieści się Wyższe Seminarium Duchowne Zgromadzenia. W 1904 roku diecezja tarnowska obchodziła uroczystą koronację cudownego obrazu Matki Bożej Tuchowskiej przygotowaną przez stróżów obrazu ojców redemptorystów. Na uroczystość przybyło około 130 tysięcy wiernych, ponad dwustu księży, kilku biskupów, wśród nich lwowski metropolita arcybiskup Józef Bilczewski wyniesiony na ołtarze przez Jana Pawła II dnia 26.06.2001 r. w czasie pobytu we Lwowie.

Lwów słynął z pobożności Maryjnej. Wiemy też, że arcybiskup Józef Bilczewski był wielkim czcicielem Najświętszej Maryi Panny. Jedną z największych polskich świętości jest wizerunek Matki Bożej Łaskawej z lwowskiej Bazyliki Archikatedralnej, przed którym król Jan Kazimierz złożył śluby, podczas których Matka Boża została po raz pierwszy nazwana Królową Korony Polskiej. W okresie utraty przez Polskę niepodległości prawie o tym fakcie zapomniano, zwłaszcza że austriacki gubernator zażądał wykreślenia z modlitw formuły „Królowo Korony Polskiej” i zastąpienia formułą „Królowo Galicji i Lodomerii”. I dopiero arcybiskup Józef Bilczewski, organizując we Lwowie w 1904 roku Kongres Maryjny – gigantyczny zlot czcicieli Najświętszej Maryi Panny z wszystkich trzech zaborów – nawiązując jednocześnie do ślubów króla Jana Kazimierza przywrócił pamięci narodu Królową Korony Polskiej. W tym samym roku papież Pius X określił Matkę Bożą jako „Królową Korony Polskiej” i zezwolił na włączenie tego tytułu do „Litani Łoretańskiej”. W 1910 roku Stolica Apostolska ustanowiła Królową Korony Polskiej patronką diecezji lwowskiej, a w 1920 roku – w trudnych czasach nawały bolszewickiej – patronką Polski. Papież Benedykt XV włączył też to liturgiczne wezwanie do litanii publicznej. Po trzech latach papież Pius XI przeniósł uroczystości Królowej Korony Polskiej na dzień świętem kościelnym. Wydarzenia, o którym tu teraz mówimy, stały się niejako za przyczyną arcybiskupa metropolity Lwowa Józefa Bilczewskiego.

We Lwowie arcybiskup zasłynął jako społecznik, a w jego działalności dominowało hasło: Bóg i Ojczyzna. Bronił zdecydowanie polskości na Kresach Wschodnich.



Członkowie tarnowskiego TML-u w Sanktuarium MB Tuchowskiej (od prawej: wiceprezes Edward Kupiniak, Irena Dychtoń, Tadeusz Kyrca, Lidia Wodnicka, Kazimierz Wesołowski, Teresa Obrzut-Lewicka i Bogusław Dyduśiak)

Gdy wybuchła w 1918 roku wojna polsko-ukraińska arcybiskup Józef Bilczewski podjął intensywne działania zmierzające do jej szybkiego zakończenia. W tym celu rozpoczął korespondencję przez linię frontu z arcybiskupem unickim Andrzejem Szeptyckim. Niestety, te działania nie wydały owoców. Biskupa zapamiętano też jako człowieka wielkiej świętości, który zawsze chętnie udzielał rady, pomocy i pociechy. Według papieża Piusa XI był jednym z największych biskupów świata. Zmarł 20.03.1923 r. i zgodnie z Jego wolą spoczął na cmentarzu Janowskim – cmentarzu ubogich.

Ojciec Święty Jan Paweł II tuż przed śmiercią podpisał dekret kanonizacyjny dla błogosławionego metropolity lwowskiego arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Datę jego kanonizacji wyznaczył na 23 października ubiegłego roku. Lwowianie są dumni z faktu, że Jan Paweł II czuł się mocno związany, poprzez święcenia kapłańskie i biskupie, z archidiecezją lwowską. Na kapłana został wyświęcony przez ks. kard. Sapiehę, który to święcenia kapłańskie otrzymał we Lwowie z rąk biskupa Józefa Puzyny, potem biskupa krakowskiego. Ks. kard. Puzyna brał udział w święceniach biskupich ks. Józefa Bilczewskiego, który z kolei namaszczał na biskupa ks. Bolesława Twardowskiego. Ks. bp B. Twardowski wyświęcił na biskupa ks. Eugeniusza Baziaka. Było to ostatnie święcenie biskupie w polskim Lwowie. Po wygnaniu ze Lwowa po II wojnie światowej ks. abp E. Baziak został metropolitą Krakowa i to on wyświęcił na biskupa ks. Karola Wojtyłę.

W 2004 roku w Tuchowie obchodzono setną rocznicę koronacji cudownego obrazu, na którą przybył następca bł. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, aktualny metropolita Lwowa kardynał Marian Jaworski. Jak widać lwowskim metropolitom obraz Matki Bożej z Tuchowa jest szczególnie bliski. Ale i cudownemu obrazowi z Tuchowa dane było też wpisać się w historię Kresów. W 1939 r.,

gdy wybuchła II wojna światowa cały nasz kraj ogarnęła panika. Ludność polska masowo uchodziła na Kresy przed nacierającą armię niemiecką. Panika ogarnęła też klasztor redemptorystów tuchowskich. Grupa alumnów tego zakonu uchodząc na Kresy z cudownym obrazem Matki Bożej Tuchowskiej dotarła aż do Łucka na Wołyniu. Dnia 2.10.1939 r. cudowny obraz powrócił cały i niezniszczony do Tuchowa.

Dnia 13.11 ubiegłego roku do Tuchowa udała się delegacja TML-u z Tarnowa w składzie: Edward Kupiniak – wiceprezes Towarzystwa, Irena Dychtoń, Teresa Obrzut-Lewicka (członkowie zarządu), Lidia Wodnicka, Bogusław Dydusiak i Tadeusz Kyrz. Do Tuchowa przybył także ks. prałat Aleksander Dychtoń – kapelan Towarzystwa. W Tuchowie pojawił się też zespół muzyczny GLORIA z tarnowskiej parafii NSPJ, której proboszczem i dziekanem jest ks. prof. Stanisław Sojka – wielki patriota i gorący zwolennik wszelkich działań religijnych i patriotycznych na rzecz Kresów i Lwowa. Celem przybyłych było ofiarowanie Matce Bożej Tuchowskiej medalu Bł. Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego otrzymanego od JE ks. bpa Jana Styry. W 2002 r. na koncercie zespołu GLORIA gość honorowy JE ks. bp Jan Styra obdarował tarnowski TML oraz zespół GLORIA medalem Bł. Józefa Bilczewskiego, wydany w pierwszą rocznicę wyniesienia błogosławionego na ołtarze. Ten medal postanowiono ofiarować Matce

Bożej Tuchowskiej z okazji kanonizacji św. Józefa Bilczewskiego.

Uroczystą mszę świętą celebrowali czcigodni ojcowie oraz ks. prałat A. Dychtoń, zaś zespół GLORIA kierowany przez Kazimierza Wesołowskiego w składzie: Agnieszka Szandula, Barbara Boroń, Józefa Sady, Alfreda Moździerz, Bolesław Błaszak, Tadeusz Kosteki, Kazimierz Burza, Mieczysław Lewicki, Józef Błaszczak, Andrzej Biedrzycki, Stanisław Toś i Kazimierz Dec wykonał kilka pieśni religijnych. Były to: *Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa*, *Maryja* – pieśń suplikacja z XVII wieku, *Modlitwa Ułana Jazłowieckiego* ze słowami Władysława Nowackiego i muzyką Jana Dłutka, *Madonny Kresowe* (wyk. Józefa Sady) ze słowami Kazimierza Wierzyńskiego i muzyką Kazimierza Wesołowskiego oraz *Hymn do MB Łaskawej* ze słowami Jerzego Masiora i muzyką Kazimierza Wesołowskiego.

Przekazując medal lwowiacy, kresowiacy i członkowie zespołu GLORIA modlili się o błogosławieństwo dla wykuszającego się pokolenia Kresowian, o zgodę i pojednanie narodowe, o szczęśliwość wiekiutą dla rodaków spoczywających na Kresach, o opiekę nad Kresami oraz o cud powrotu tych ziem do Macierzy.

Św. abp Józef Bilczewski przed odejściem do Boga w 1923 roku napisał słowa, które brzmią jak testament: „Chrześcijanin, jak wszystko inne, tak i swoją ojczyznę ma kochać w Bogu i dla Boga”. □

Barbara Ruszel-Szymańska

Wspomnienia o moich rodzicach Jadwidze i Mieczysławie Szymańskich (od czasów ich zamieszkania we Lwowie)

Moi Rodzice byli rdzennymi warszawiakami: Mama – Jadwiga z Makowskich, Ojciec – Mieczysław Szymański pochodzili z wielodzietnych mieszczańskich rodzin. Mama ukończyła kursy księgowości i całe życie pracowała w tej dziedzinie. Tato uczył się w Technicznej Szkole Wawelberga i Rotwanda, potem pracował w znanej warszawskiej firmie Berenta i Plewińskiego w dziale obróbki szkła dmuchanego i pomiarowego. Wykazał nieprzeciętne zdolności manualne, organizatorskie i dużą inicjatywę. Z czasem stał się cenionym specjalistą w swojej dziedzinie, kierował działem firmy, współpracował z naukowcami Politechniki, Uniwersytetu Warszawskiego, Techniki Gorzelniczej i in.

Kilka lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości we Lwowie otwarto „Instytut Przemysłu dla Małopolski Wschodniej” (ul. Boularda 5), który miał za zadanie szerzyć wśród ludności regionu drobne rzemiosło np. modelowe stolarstwo, białoskórnictwo, kowalstwo artystyczne, barwienie i tkactwo kilimów, szewstwo, krawiectwo i in. W 1928 roku organizowano kurs obróbki szkła dmuchanego, pomiarowego i wyrobu szklanych ozdób choinkowych. Przemysł farmaceutyczny, chemiczny, laboratoria średnich i wyższych zakładów naukowych były bardzo zainteresowane tymi planami. Do tej pory ampulki do rozlewu leków, lejki, próbki, kolby i inne szkło laboratoryjne, bombki na choinkę sprowadzano głównie z Niemiec i Czech. W kraju, a szczegó-

nie w Małopolsce taki przemysł był mało znany. Z polecenia profesora warszawskiej uczelni prowadzenie tego kursu zaproponowano mojemu Ojcu. Wymagało to zamieszkania na stałe we Lwowie. W lutym 1929 roku w czasie bardzo mroźnej i śnieżnej zimy przeprowadziliśmy się do Lwowa – Ojciec – 34 lata, Mama, brat Wacław – 3,5 roku i ja – 1,5-rocza, zamieszkaliśmy na ul. Kochanowskiego 43A (do czasu wojny stała tam w ogródku figura Matki Bożej).

Pracownia i szkolenie przy Instytucie Przemysłowym rozwijało się bardzo sprawnie, uczniami przeważnie byli chłopcy i dziewczęta z lwowskiego sierocińca. Jednocześnie zorganizowano także kursy dla młodych naukowców w celu samodzielnego wykonania przyrządów pierwszej potrzeby. Na ten kurs zgłosiło się wielu chętnych, między innymi przyszedł profesor UJK Rudolf Weigel, który w późniejszym czasie odegrał tak znaczącą i ważną rolę w lwowskim społeczeństwie.

Zamówienia farmacji i zakładów naukowych na wyroby pracowni były tak duże, że nie nadążano z ich wykonaniem. Ojciec otworzył własną pracownię na ul. Filipówka 9, a w 1934 r., po zakończeniu kursów w Instytucie Przemysłowym, w większym lokalu na ul. Ujejskiego 6. Wyroby i asortyment produkcji zyskały dużą aprobatę klientów. Pracownia rozrastała się szybko i z czasem wynikała potrzeba utworzenia działów: szlifierskiego, pomiarowego, wyrobu termometrów, pomp pró-

niowych, oświetlenia neonowego itp. W warsztacie pracowało przeszło 40 pracowników. Surowiec szklany sprowadzano z Niemiec.

Osobiście Ojciec specjalizował się w wykonywaniu indywidualnych zamówień dla uczonych według ich rysunków i wymagań. Nieraz były to unikalne aparaty z kwarcu i ze szkła (dla prof. Parnasa, Weigla, Pilata, Grzyckiego, Nikliborca, Jakuba, Lorii i in.). Pierwszy we Lwowie rozpoczął produkcję reklam z oświetleniem neonowym – np. dla firmy naftowej „Polmin” na gmachu Szprechera na ul. Akademickiej i na wielu kinach lwowskich. Ojciec miał dwóch zaufanych zastępców – Edmunda Walendowskiego (jego starszy syn był później wieloletnim spikerem Głosu Ameryki) i Romana Garańczuka, w dziedzinie elektromechanicznej. Mama prowadziła księgowość i kierowała działem detalicznej sprzedaży. Plany rodziców na przyszłość były bardzo śmiałe, ale realne, wynikające z potrzeb rynkowych – np. sprowadzenie z zagranicy automatycznej maszyny do wyrobu ampulek, budowa własnego budynku-fabryki dającej możliwość dalszego rozwoju firmy.

Rozwijając i urządzając swoją pracownię Ojciec dawał niejednokrotnie duże zamówienia innym warsztatom lwowskim na wykonanie stolarskich, instalacyjnych, drukarskich, mechanicznych robót, co także sprzyjało rozwojowi rzemiosła w mieście.

Dla nas dzieci – Rodzice nie mieli za wiele czasu, więc aby zabezpieczyć nam najlepsze wychowanie i wykształcenie, brat uczył się w konwikcie oo. jezuitów w Chyrowie, ja w internacie Sióstr de Notre-Dame we Lwowie. Wszystkie długie wakacje spędzaliśmy z Ciocią – siostrą Mamy i jej rodziną. Pomimo nawału pracy Rodzice często w niedzielę bywali w teatrze, a zimą regularnie jeździliśmy na narty, przeważnie do Brzuchowic lub Winnik. We Lwowie nie mieliśmy rodziny i było tam niewielu znajomych, to i w domu goście bywali rzadko.

Nastał wrzesień 1939 roku i wszystko się zmieniło. Przez nasz dom przeszło około 40 osób, uciekinierów z zachodu, których trzeba było nakarmić i położyć spać. Spali pokotem na podłodze w pracowni, jedli po dwoje z jednego talerza. Ojciec mojej koleżanki szkolnej miał dużą piekarnię na ul. Głowackiego i tam codziennie za jego zgodą zaopatrywaliśmy się w pełny plecak pieczywa, ktoś dostał łeb świni, ktoś komisiak – chleb wojskowy, i tak wspólnie pomagaliśmy sobie i ratowali w potrzebie. Stopniowo uciekinierzy rozjechali się – niektórzy dalej, a niektórzy do domu. W mieście Rpsjanie zaczęli wprowadzać sowiecki reżim. Przy wydawaniu nowych sowieckich dowodów rodzice dostali tzw. gu-siówki (od nazwiska sowieckiego komisarza). Oznaczało to, że w ciągu 10 dni należało wyjechać ze Lwowa i osiedlić się w miejscu oddalonym od dużego miasta o 100 km. Dzięki interwencji prof. Weigla w wojewódzkim wydziale zdrowia i wyżej nakaz został cofnięty ponieważ Ojciec posiadał tylko pracownię, w której pracował osobiście w swoim fachu i był potrzebny na miejscu, tzn. nie był „krwiopijcą i wyzyskiwaczem ludu pracującego”. Pracownia została znacjonalizowana i oddana pod zarząd Kierownictwa Aptek (Aptekouprawlenija). Zarządcąznaczono całkiem przypadkowego człowieka, zupełnego laika w tym fachu, ale za to świeżo upieczonoego komunistę – „towarzysza Sobela”. Ojcu pozwo-

lono pracować dalej na prawach zwykłego robotnika. Mamę przeniesiono do innej instytucji jako księgową. Wtedy okazało się, że połowa stałych pracowników to Ukraińcy. Przed wojną nikt w pracowni nie interesował się zagadnieniami narodowości i nigdy nie było żadnej kwestii w tej sprawie. Rodzice pochodzili z centralnej Polski – bardziej jednolitej etnicznie – kresowe spory były im obce. Trzeba jednak podkreślić, że już po nacjonalizacji pracowni wszyscy współpracownicy niezależnie od narodowości zawsze stali po stronie Ojca, służyli pomocą, radą i tak zostało do końca.

W naszym domu także się zmieniło. My byliśmy razem z Rodzicami, oni wracali po pracy regularnie, mieli dużo czasu dla nas i dla siebie, mogli do woli chorować na zwolnieniu lekarskim (co było dawniej nie do pomyślenia).

Jednocześnie zaczęło się „wychowywanie” społeczeństwa w warunkach nowego sowieckiego reżimu – szykany, areszty, wywózki na Sybir, bieda, głód, nocne kolejki po artykuły pierwszej potrzeby – chleb, cukier, mydło – o tym pamiętają wszyscy ci, którzy to przeżyli. Każde z nas miało spakowany plecak i ciepłą odzież na wypadek wywozu. Słuchaliśmy po nocach czy już idą i czy po nas. W naszym domu jako pierwszych wywieźli sąsiadów – uciekinierów z zachodu. Szkoła także się zmieniła – teraz koedukacyjna – szła cicha podjazdowa wojna o krzyż na ścianie, staranie i troska nauczycieli o nasze polskie wykształcenie itp. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak po kolejnych wywozach i aresztowaniach masowo ubywało kolegów w klasie. W szkole i w pracy Rodziców ciągle zmiany dni „wychodnych” – tak celowali, aby dni wolne nie wypadły w niedzielę i święto.

W naszym domu coraz częściej zaczęli bywać znajomi lwowiacy, aby pogadać, ponarzekać, posłuchać i wymienić nowe przepowiednie (słynne 44, gdy zakwitną jabłonie...), wzajemnie podtrzymać się na duchu, podzielić doświadczeniami, jak ogrzać mieszkanie gazem z kuchni, jak wziąć prąd „na lewo”. W 1940 r. zima była wyjątkowo mroźna i śnieżna, więc palenie w piecach gazem stało się koniecznością (węgla nie było). Palono przenośnym palnikiem na gumowej rurce (Pan Bóg ustrzegł od wybuchu). Do dzisiaj w starych mieszkaniach w progach podłogi zachowały się wycięte rowki na gumowe węże. I tak doczekaliśmy wojny rosyjsko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku.

Po wejściu Niemców do Lwowa odkrycie pomordowanych przez NKWD więźniów wywołało okropny wstrząs wśród ludności miasta, my dzieci byliśmy tego świadkami. Zaczęły się szykany i męczenie Żydów, potem mord profesorów na Wzgórzach Wuleckich, łapanki na ulicach i masowe areszty – to wszystko było straszne i tragiczne, ale ducha nie złamało.

Pracownia wróciła w ręce Ojca, pracownicy byli ci sami, wierni i oddani. Pod swoją opiekę pracownię przejął prof. Weigel – jako kierownik Instytutu Przeciwyfusowego. Do wyrobu szczepionki przeciwtyfusowej dla wojska potrzebował w dużych ilościach wielu szklanych i mechanicznych przyrządów. Pracownicy dostali zaświadczenia pracy z pieczęcią – „wroną”, które zwalniały i broniły od przymusowych robót na rzecz III Rzeszy i otrzymywali niewielki „deputat” – przydział żywności – co było znaczną pomocą w tamtych warunkach. Brat i ja pracowaliśmy na równi z innymi. Ojciec przyjął do

pracy kilka młodych osób – synów i córek profesorów i lwowskiej inteligencji – oni także byli pod opieką prof. Weigla. W mieście panował głód i Rodzice zaczęli dożywianie pracowników – codziennie dla każdego talerz gęstej zupy (przeważnie kartoflanki lub krupniku). Gotowała matka jednej z pracownic.

Robota szła pełną parą, zamówień było dużo, surowiec sprowadzano z Niemiec w wielkich ilościach. Byli i tacy, którzy chcieli zarobić na ludzkim nieszczęściu i biedzie i zaczęli szukać współników. Wiedząc że Ojciec produkuje ampułki do szczepionek, proponowali za duże pieniądze dostarczenie mu znakowanych, firmowych ampułek do rozlewu pseudoszczepionki, bez wiedzy profesora Weigla. Ojciec odmówił i zawiadomił profesora.

W tych czasach dawał się odczuć wielki deficyt przyrządów medycznych, między innymi strzykawek. Wtedy w użyciu były szklane w metalowych oprawkach, często pękały w sterylizacji i łamały się. Ojciec opracował wymianę pomiarowego szklanego cylindra w starych oprawkach. Personel szpitali i przychodni lekarskich stali się stałymi i licznymi klientami naszej pracowni.

Jednocześnie do naszego kantorku coraz częściej przychodzili znajomi – czasem po radę, czasem pogadać, czasem spotkać się. Z tych czasów pamiętam wielu znanych zasłużonych lwowskich obywateli. Często gościem bywał także Stanisław Gruszczyński – burmistrz Pruszkowa i senator II RP, uciekinier wojenny – zginął tragicznie ratując żydowskie dziecko. Pochowany został na Łyczakowie. Ojciec stał się dosyć popularny i poważany w lwowskim społeczeństwie i coraz bardziej wrastał w lwowską rzeczywistość. Nieszczęście ludzi jednocy lub dzieli – w tym wypadku społeczeństwo lwowskie jednocyło się i moi Rodzice byli wśród nich.

Na wiosnę 1944 roku Niemcy częściowo ewakuowali instytut szczepionki do Krakowa. Prof. Weigel proponował Ojcu przeniesienie całego warsztatu tamże. Ojciec odmówił – nie chciał zostawiać swojego odzyskanego dorobku życia. Po wyjeździe profesora tymczasowo zarząd Instytutu przejął długoletni współpracownik prof. Weigla, dobry znajomy Ojca, nasz stały lekarz rodzinny (jak i wielu innych rodzin lwowskich) prof. Henryk Mosing, który pozostał jeszcze na długie

lata w Instytucie jako pracownik naukowy i dobry duch lwowskiej polskiej społeczności.

Na drugi dzień po zajęciu Lwowa przez Rosjan w pracowni pojawił się rosyjski kierownik wydziału zdrowia (w asyście NKWD) i przejął pracownię znowu dla Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii. Czasy się trochę zmieniły, na razie pozwolono Ojcu kierować pracownią, a nam wszystkim razem w niej pracować. Trwało to jakiś czas, zapotrzebowanie na wyroby szklane malało, starzy pracownicy rozjeżdżali się (ekspatriacja), ja z bratem poszliśmy na studia. Warsztat przeniesiono na teren Instytutu – na ul. Zieloną 12. Z czasem zaczęła się likwidacja, pracownia stała się niepotrzebna. Szkło laboratoryjne dostarczały fabryki (niemieckie reparacje wojenne). Ojciec odszedł z pracowni, przeniósł się do naukowego laboratorium w Instytucie Nafty i Gazu, gdzie pozostał do końca.

Przez długie lata był członkiem parafialnego komitetu przy kościele św. Marii Magdaleny. Po zamknięciu kościoła przez władze sowieckie w 1962 roku pracował w komitecie katedralnym. Zaczęły się niedomagania i postępująca choroba coraz bardziej ograniczała możliwości udzielania się społecznie. Odszedł od nas w 1977 roku. Mama przeżyła Go o 12 lat. Oboje pochowani są na cmentarzu Janowskim.

Przez te 50 lat, od kiedy Rodzice zamieszkali we Lwowie, stali się prawdziwymi lwowiakami, uznanymi przez tutejszą społeczność. Razem z nimi przeżywali te ciężkie czasy, dzielili tragedie, wzajemnie się pocieszali i wzajemnie wspomagali. Oboje bardzo pomagali materialnie i żywnościowo samotnym osobom i tym, których dotknęła wojna i reżim. Pomoc zawsze była bezinteresowna, cicha, bez rozgłosu i reklamy.

Rodzice do końca swoich dni pozostali wierni swoim zasadom moralnym, umieli współżyć z ludźmi różnego pokroju i narodowości, zawsze zachowując honor i dumę Polaka, zawsze pogodni, życzliwi, gotowi poradzić i pomóc w trudnej chwili. Do dzisiejszego dnia wielu odwiedzających Lwów jego starych mieszkańców zachodzi do nas tutaj i zawsze z wielkim uznaniem ciepło wspomina moich Rodziców.

Rodzina mojego brata i moja zachowały tradycje i zasady wpojone nam przez Rodziców w naszym lwowskim, polskim domu. □

Danuta Braty

Święty Mikołaj u Polaków na Kresach

W dniach 9-10 grudnia 2005 r. został zorganizowany wyjazd z pomocą humanitarną na Kresy Wschodnie, aby sprawić radość przybyciem św. Mikołaja i wesprzeć na okres świąteczny dzieci, młodzież i starsze osoby.

Organizatorami wyjazdu byli: VII Liceum Ogólnokształcące im. J.Korczaka w Tarnowie z dyrektorem p. Marianem Kozikiem na czele wraz z TMLiKPW Oddział Tarnów oraz Zespół Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych im. J.Piłsudskiego w Tarnowie, przedstawiciele innych szkół, Kuratorium Oświaty w Krakowie – Delegatura w Tarnowie, przy znacznym wsparciu krakowskiego Kuratorium.

Do akcji dołączyły się władze powiatu i Gminy Tarnów, a także parafianie z Tarnowca.

Środki finansowe i rzeczowe pochodziły ze zbiorów prowadzonych przez młodzież i ww. organizacje oraz od sponsorów, z darów ofiarowanych w punktach handlowych i od indywidualnych darczyńców.

Sponsorów, między innymi, pozyskali dla TML tarnowscy old boy'e – drużyna piłkarska „Gacuse”, która zorganizowała turniej charytatywny piłki nożnej.

W wyniku tej imprezy uzyskano znaczną kwotę pieniędzy i dary rzeczowe.

Mikołaj był więc tym razem wyjątkowo „bogaty”.



Spotkanie ze św. Mikołajem w kościele parafialnym w Pnikucie

Transport sfinansował Starosta Powiatowy w Tarnowie.

Dwa zapelnione po dach autobusy, w wesołym nastroju, bo jechała duża grupa radosnej młodzieży, wyjechały rano spod VII LO w Tarnowie.

Po wyjątkowo sprawnym pokonaniu przejścia granicznego w Medyce trafiły do polskich skupisk w podmościckich miejscowościach: Pnikut, Czystki, Krysowice (przedszkole prowadzone przez Siostry Służebniczek), Strzelczyska (Szkoła Polska). Wszędzie witały przybyłych radosne oczy dzieciaków i przymgłone łzą wzruszenia oczy starszych. Dzieci zachwyciły nas polskimi kolędami, pięknie brzmiącymi kresowym zaśpiewem i wierszami. Wszystkim sprawiliśmy ogromną radość. Dyrektor Szkoły w Strzelczyskach p. Alicja Bałuch szczególnie dziękowała pani prezes Oddziału TMLiKPW Halinie Żmudzie za przekazanie pomocy na rzecz dożywiania dzieci w okresie zimowym.

W następnym dniu pojechaliśmy do Lwowa. W polskim przedszkolu (ul. Meteorologiczna) czekały już na nas dzieci, wychowawcy i rodzice. Dary zawiozła tam osobiście (jak od wielu lat) pani Aleksandra Stasiak – inspektor Kuratorium Oświaty – Delegatury w Tarnowie. Należy podkreślić, że wszędzie występował prawdziwy św. Mikołaj, do którego nawet najmłodsze dzieci miały wielkie zaufanie. Radość, serdeczne przyjęcie, odświe-

ny nastrój spowodowały, że wszyscy czuliśmy się jak w jednej wielkiej rodzinie.

Kolejnym miejscem, które odwiedziliśmy było Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, mające siedzibę w budynku przy Cmentarzu Orłąt. Organizacja ta skupia osoby przeważnie starsze, spełniające niezwykle ważną rolę dla naszej historii i oddania czci najwartościowszym Synom naszego Narodu. Im należy się nie tylko pomoc, ale przede wszystkim szacunek i wdzięczność. Nie mogliśmy spotkać się z założycielem i wieloletnim Prezesem tej organizacji – p. Eugeniuszem Cydzikiem – choremu złożyliśmy życzenia telefonicznie. Spotkaliśmy się bezpośrednio z prezesem Janem Franczukiem i księgową p. Danutą Kuziw. Tam tarnowski Oddział TMLiKPW przekazał paczki świąteczne. Przekazano też pomoc na rzecz Uniwersytetu III Wieku.

Młodzież, pod przewodnictwem p. Edwarda Kupinaka z tarnowskiego Oddziału TML i KPW, zwiedziła Cmentarz Łyczakowski i Orłąt, Starówkę, Wały Hetmańskie.

Z wyjazdu pozostaną im w pamięci informacje o historii kresowej, które mogli potwierdzić naocznie, spotykając tak wielką rzeszę Rodaków, odwiedzając kościoły, zwiedzając Lwów. Pozostanie też na przyszłość poczucie obowiązku pamiętania o naszych Rodakach i satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku. □

Anna Kołodrubiec

Ocalić od zapomnienia – pochodzenie współczesnych Oleśniczan

Korzenie współczesnych Oleśniczan wywodzą się z różnych miejsc II Rzeczypospolitej Polskiej, dlatego, aby nie zaginęła wśród młodych ludzi wiedza o ich przodkach, grupa nauczycieli w Gimnazjum nr 2 w Oleśnicy zdecydowała się na przeprowadzenie spe-

cialnego programu edukacyjnego „Ocalić od zapomnienia – pochodzenie współczesnych Oleśniczan”. Okazją do realizacji przedsięwzięcia była 60 rocznica wysiedlenia Polaków z Kresów po zakończeniu II wojny światowej na Ziemię Zachodnie

pracy kilka młodych osób – synów i córek profesorów i lwowskiej inteligencji – oni także byli pod opieką prof. Weigla. W mieście panował głód i Rodzice zaczęli dożywianie pracowników – codziennie dla każdego talerz gęstej zupy (przeważnie kartoflanki lub krupniku). Gotowała matka jednej z pracownic.

Robota szła pełną parą, zamówień było dużo, surowiec sprowadzano z Niemiec w wielkich ilościach. Byli i tacy, którzy chcieli zarobić na ludzkim nieszczęściu i biedzie i zaczęli szukać współników. Wiedząc że Ojciec produkuje ampułki do szczepionek, proponowali za duże pieniądze dostarczenie mu znakowanych, firmowych ampułek do rozlewu pseudoszczepionki, bez wiedzy profesora Weigla. Ojciec odmówił i zawiadomił profesora.

W tych czasach dawał się odczuć wielki deficyt przyrządów medycznych, między innymi strzykawek. Wtedy w użyciu były szklane w metalowych oprawkach, często pękały w sterylizacji i łamały się. Ojciec opracował wymianę pomiarowego szklanego cylindra w starych oprawkach. Personel szpitali i przychodni lekarskich stali się stałymi i licznymi klientami naszej pracowni.

Jednocześnie do naszego kantorku coraz częściej przychodzili znajomi – czasem po radę, czasem pogadać, czasem spotkać się. Z tych czasów pamiętam wielu znanych zasłużonych lwowskich obywateli. Często gościem bywał także Stanisław Gruszczyński – burmistrz Pruszkowa i senator II RP, uciekinier wojenny – zginął tragicznie ratując żydowskie dziecko. Pochowany został na Łyczakowie. Ojciec stał się dosyć popularny i poważany w lwowskim społeczeństwie i coraz bardziej wrastał w lwowską rzeczywistość. Nieszczęście ludzi jednoczy lub dzieli – w tym wypadku społeczeństwo lwowskie jednoczyło się i moi Rodzice byli wśród nich.

Na wiosnę 1944 roku Niemcy częściowo ewakuowali instytut szczepionki do Krakowa. Prof. Weigel proponował Ojcu przeniesienie całego warsztatu tamże. Ojciec odmówił – nie chciał zostawiać swojego odzyskanego dorobku życia. Po wyjeździe profesora tymczasowo zarząd Instytutu przejął długoletni współpracownik prof. Weigla, dobry znajomy Ojca, nasz stały lekarz rodzinny (jak i wielu innych rodzin lwowskich) prof. Henryk Mosing, który pozostał jeszcze na długie

lata w Instytucie jako pracownik naukowy i dobry duch lwowskiej polskiej społeczności.

Na drugi dzień po zajęciu Lwowa przez Rosjan w pracowni pojawił się rosyjski kierownik wydziału zdrowia (w asyście NKWD) i przejął pracownię znowu dla Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii. Czasy się trochę zmieniły, na razie pozwolono Ojcu kierować pracownią, a nam wszystkim razem w niej pracować. Trwało to jakiś czas, zapotrzebowanie na wyroby szklane malało, starzy pracownicy rozjeżdżali się (ekspatriacja), ja z bratem poszliśmy na studia. Warsztat przeniesiono na teren Instytutu – na ul. Zieloną 12. Z czasem zaczęła się likwidacja, pracownia stała się niepotrzebna. Szkło laboratoryjne dostarczały fabryki (niemieckie reparacje wojenne). Ojciec odszedł z pracowni, przeniósł się do naukowego laboratorium w Instytucie Nafty i Gazu, gdzie pozostał do końca.

Przez długie lata był członkiem parafialnego komitetu przy kościele św. Marii Magdaleny. Po zamknięciu kościoła przez władze sowieckie w 1962 roku pracował w komitecie katedralnym. Zaczęły się niedomagania i postępująca choroba coraz bardziej ograniczała możliwości udzielania się społecznie. Odszedł od nas w 1977 roku. Mama przeżyła Go o 12 lat. Oboje pochowani są na cmentarzu Janowskim.

Przez te 50 lat, od kiedy Rodzice zamieszkali we Lwowie, stali się prawdziwymi lwowiakami, uznanymi przez tutejszą społeczność. Razem z nimi przeżywali te ciężkie czasy, dzielili tragedie, wzajemnie się pocieszali i wzajemnie wspomagali. Oboje bardzo pomagali materialnie i żywnościowo samotnym osobom i tym, których dotknęła wojna i reżim. Pomoc zawsze była bezinteresowna, cicha, bez rozgłosu i reklamy.

Rodzice do końca swoich dni pozostali wierni swoim zasadom moralnym, umieli współżyć z ludźmi różnego pokroju i narodowości, zawsze zachowując honor i dumę Polaka, zawsze pogodni, życzliwi, gotowi poradzić i pomóc w trudnej chwili. Do dzisiejszego dnia wielu odwiedzających Lwów jego starych mieszkańców zachodzi do nas tutaj i zawsze z wielkim uznaniem ciepło wspomina moich Rodziców.

Rodzina mojego brata i moja zachowały tradycje i zasady wpojone nam przez Rodziców w naszym lwowskim, polskim domu. □

Danuta Braty

Święty Mikołaj u Polaków na Kresach

W dniach 9-10 grudnia 2005 r. został zorganizowany wyjazd z pomocą humanitarną na Kresy Wschodnie, aby sprawić radość przybyciem św. Mikołaja i wesprzeć na okres świąteczny dzieci, młodzież i starsze osoby.

Organizatorami wyjazdu byli: VII Liceum Ogólnokształcące im. J. Korczaka w Tarnowie z dyrektorem p. Marianem Kozikiem na czele wraz z TMLiKPW Oddział Tarnów oraz Zespół Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych im. J. Piłsudskiego w Tarnowie, przedstawiciele innych szkół, Kuratorium Oświaty w Krakowie – Delegatura w Tarnowie, przy znacznym wsparciu krakowskiego Kuratorium.

Do akcji dołączyły się władze powiatu i Gminy Tarnów, a także parafianie z Tarnowca.

Środki finansowe i rzeczowe pochodziły ze zbiorów prowadzonych przez młodzież i ww. organizacje oraz od sponsorów, z darów ofiarowanych w punktach handlowych i od indywidualnych darczyńców.

Sponsorów, między innymi, pozyskali dla TML tarnowscy old boy'e – drużyna piłkarska „Gacuse”, która zorganizowała turniej charytatywny piłki nożnej.

W wyniku tej imprezy uzyskano znaczną kwotę pieniężną i dary rzeczowe.

Mikołaj był więc tym razem wyjątkowo „bogaty”.



Spotkanie ze św. Mikołajem w kościele parafialnym w Pnikucie

Transport sfinansował Starosta Powiatowy w Tarnowie.

Dwa zapelnione po dach autobusy, w wesołym nastroju, bo jechała duża grupa radosnej młodzieży, wyjechały rano spod VII LO w Tarnowie.

Po wyjątkowo sprawnym pokonaniu przejścia granicznego w Medyce trafiły do polskich skupisk w podmościckich miejscowościach: Pnikut, Czystki, Krysowice (przedszkole prowadzone przez Siostry Służebniczki), Strzelczyska (Szkoła Polska). Wszędzie witały przybyłych radosne oczy dzieciaków i przymgłone łzą wzruszenia oczy starszych. Dzieci zachwyciły nas polskimi kolędami, pięknie brzmiącymi kresowym zaśpiewem i wierszami. Wszystkim sprawiliśmy ogromną radość. Dyrektor Szkoły w Strzelczyskach p. Alicja Bałuch szczególnie dziękowała pani prezes Oddziału TMLiKPW Halinie Żmudzie za przekazanie pomocy na rzecz dożywiania dzieci w okresie zimowym.

W następnym dniu pojechaliśmy do Lwowa. W polskim przedszkolu (ul. Meteorologiczna) czekały już na nas dzieci, wychowawcy i rodzice. Dary zawiozła tam osobiście (jak od wielu lat) pani Aleksandra Stasiak – inspektor Kuratorium Oświaty – Delegatury w Tarnowie. Należy podkreślić, że wszędzie występował prawdziwy św. Mikołaj, do którego nawet najmłodsze dzieci miały wielkie zaufanie. Radość, serdeczne przyjęcie, odświe-

ny nastrój spowodowały, że wszyscy czuliśmy się jak w jednej wielkiej rodzinie.

Kolejnym miejscem, które odwiedziliśmy było Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, mające siedzibę w budynku przy Cmentarzu Orląt. Organizacja ta skupia osoby przeważnie starsze, spełniając niezwykle ważną rolę dla naszej historii i oddania czci najwartościowszym Synom naszego Narodu. Im należy się nie tylko pomoc, ale przede wszystkim szacunek i wdzięczność. Nie mogliśmy spotkać się z założycielem i wieloletnim Prezesem tej organizacji – p. Eugeniuszem Cydzikiem – choremu złożyliśmy życzenia telefonicznie. Spotkaliśmy się bezpośrednio z prezesem Janem Franczukiem i księgową p. Danutą Kuziw. Tam tarnowski Oddział TMLiKPW przekazał paczki świąteczne. Przekazano też pomoc na rzecz Uniwersytetu III Wieku.

Młodzież, pod przewodnictwem p. Edwarda Kupinaka z tarnowskiego Oddziału TML i KPW, zwiedziła Cmentarz Łyczakowski i Orląt, Starówkę, Wały Hetmańskie.

Z wyjazdu pozostaną im w pamięci informacje o historii kresowej, które mogli potwierdzić naocznie, spotykając tak wielką rzeszę Rodaków, odwiedzając kościoły, zwiedzając Lwów. Pozostanie też na przyszłość poczucie obowiązku pamiętania o naszych Rodakach i satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku. □

Anna Kołodrubiec

Ocalić od zapomnienia – pochodzenie współczesnych Oleśniczan

Korzenie współczesnych Oleśniczan wywodzą się z różnych miejsc II Rzeczypospolitej Polskiej, dlatego, aby nie zaginęła wśród młodych ludzi wiedza o ich przodkach, grupa nauczycieli w Gimnazjum nr 2 w Oleśnicy zdecydowała się na przeprowadzenie spe-

cialnego programu edukacyjnego „Ocalić od zapomnienia – pochodzenie współczesnych Oleśniczan”. Okazją do realizacji przedsięwzięcia była 60 rocznica wysiedlenia Polaków z Kresów po zakończeniu II wojny światowej na Ziemi Zachodnie

oraz 750 rocznica otrzymania praw miejskich przez Oleśnicę.

Programem tym objętych zostało 8 klas, liczących przeciętnie 30 uczniów oraz nauczyciele i pozostali pracownicy gimnazjum. Program był realizowany w ciągu całego roku szkolnego 2004/2005 i zakończony został uroczystym otwarciem wystawy pt. „Ocalić od zapomnienia...” w Bramie Wrocławskiej 17 maja 2005 roku.

Jednym z zasadniczych celów programu było utrwalenie wśród młodzieży informacji o nazewnictwie i położeniu geograficznym miasta lub wsi, następnie powiatu i województwa, z których przybyli osiedlający się rodziny. Zadaniem uczniów miało być sporządzenie map i zaznaczenie na nich miejscowości, okolicznych większych miast, wsi, rzek, terytorium województw, ściśle według wskazówek członków rodziny. Na pozór sprawa bardzo błaha, ale właśnie ona nastrożyła uczniom najwięcej problemów. Wiele nazw miejscowości, zwłaszcza z byłych województw II Rzeczypospolitej, tj.: lwowskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, po 1945 roku zostało zmienionych lub zniekształconych wbrew zasadom Dziedzictwa Kultury UNESCO przy specjalnej komisji ONZ. Niektóre miejscowości zostały w ogóle zlikwidowane, np. Warszawka, z której pochodzą poszczególne rodziny mieszkające w Oleśnicy. Fakt nieistnienia jej obecnie nie oznacza, że pamięć o tej wsi zaginęła. Przeciwnie, istnieje ona zarówno w pamięci jak i w oleśnickich dokumentach różnego rodzaju. Dlatego, aby uniknąć pomyłek w zaznaczeniu terytorium gimnazjaliści wykorzystywali mapę Polski sprzed 1939 roku z polskimi nazwami miejscowości.

Najczęściej wskazywanymi nazwami były miasta ze wschodniej części Rzeczypospolitej, które dzisiaj należą do Ukrainy i Litwy, takie jak: Lwów, Wilno, Grodno, Kowel, Buczacz, Drohobycz, Tarnopol, Kamieniec Podolski, Stanisławów, Łuck, Kołomyja, Nowogródek, Skalat, Drohiczyn, Sądowa Wisznia, Bełz, Zaleszczyki, Sokal, Brody, Stryj, Żółkiew, Nadwórna, Komarno, Gródek Jagielloński i Rudki.

W dalszej kolejności pod względem liczebności zaznaczone były miejscowości, najczęściej wsie w ziemi lwowskiej, np.: Siemianówka, Nowa Wieś, Żurów, Stanisławowa, Warszawka, Mochmate, Matków, Jastkowice, Mikulice, Uście Zielone, Horpin, Babicze, Czerniatów, Tomaszgród, Buczały, Chłopy, Woroniaki, Szutów. Następnie w ziemi stanisławowskiej: Żurów i Posada Nowomiejska. Na Podolu: Łukowiec, Płotecznio oraz Włodzimierz. Ziemia wołyńska reprezentowana była przez: Zabłoćce, Bystrzyce, Helenówkę, a ziemia łucka przez: Zagajniki, Hojnowkę, Równie i Żulin. Z okolic Tarnopola: Złoczów, Stare Siolo, a także Borki. Z terenu nowogródzkiego do Oleśnicy przybyli mieszkańcy wsi Baranowice, natomiast z ziemi wileńskiej dość licznie zaznaczyli swą obecność osiedleni z miejscowości: Rokiszki, Klukowice i Poniewież. Najrzadziej wystąpiły: Sielec Bełzki, Kamionka Strumiłowa, Jaryczów Stary, Pieniaki koło Brodów, Żołynia i Wankowice.

Uczniowie zaznaczali także na mapach miejscowości z innych części Polski, a także z terenu dzisiejszej Rumunii, Białorusi, Niemiec, Czech, Słowacji, Węgier, Chorwacji i Włoch. Jednocześnie na poszczególnych mapach pojawiały się całe opisy historii rodzin pod względem przemieszczania się, jak np. trasa przejścia pra-

dziadka począwszy od kampanii wrześniowej w 1939 roku, pobyt w obozie jenieckim w Rydze, powrót do domu do Lwowa, ucieczka przed aresztowaniem, poszukiwanie własnej rodziny przesiedlonej na Ziemi Zachodniej. Na innych podane były opisy tras wywózki rodzin na Syberię do województw wschodnich po wkroczeniu Armii Czerwonej 17 września 1939 roku, z użyciem sformułowania „IV Rozbiór Polski”, trasy przejazdu do przymusowej pracy lub też zaznaczone miejscowości, w których ukrywali się poszczególni członkowie rodzin przed mordami dokonywanymi przez nacjonalistyczne bandy UPA we wszystkich województwach dzisiejszej Ukrainy.

Jednym z celów tego programu było także uświadomienie ważności pochodzenia nazwiska rodzinnego, a w przypadku szlachty rodowego oraz herbu. Dodatkowo tworzenie drzewa genealogicznego, określenie wydarzeń historycznych, w których brali udział pradiadkowie i dziadkowie gimnazjalistów, nauka poprawnego zapisu dat, miejscowości, poszanowanie rodzinnych pamiątek, dokumentów, listów i fotografii. Mówiąc krótko – naszej historii.

Efektom tego działania było przeprowadzenie około 1000 autoryzowanych wywiadów. W dalszej kolejności powstały różnego typu prace literackie, jak opis, wywiad czy pamiętnik rodzinny. Wiele uczniów stworzyło bardzo obszerne opracowania, niemalże książki. Całe rozdziały były opracowane komputerowo. Wykonane zostały także kserokopie najważniejszych dokumentów oraz starych fotografii osób i budynków ze szczegółowym opisem, do których dołączono miniaturowe mapy. O czym najczęściej opowiadali pradiadkowie i dziadkowie swym wnukom?

Zacznijmy od nazwisk. Liczne w Oleśnicy, zresztą jak w całym powiecie oleśnickim są nazwiska szlacheckie, wywodzące się od dawnych nazw miejscowych Kresów Rzeczypospolitej. W obrębie tej grupy społecznej, najstarsi członkowie rodzin podawali nazwy tych miejscowości z wyraźnym zaznaczeniem pochodzenia szlacheckiego. Niejednokrotnie uczniowie przytaczali historię powstania tej miejscowości, z dokładnym opisem rodu, często z pełnym drzewem genealogicznym. Istotnie, nazwiska te są charakterystyczne tylko dla kresów i figurują w spisach szlachty, które można znaleźć w cennych dokumentach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

Oleśnickie rodziny ze szlacheckim pochodzeniem najliczniej deklarowały się herbem Sas-Drag i Jastrzębiec. Natomiast inne nazwy herbów szlachty polskiej występowały rzadziej. Dodatkową prawidłowością dającą się zauważyć odnośnie nazwisk, to spora grupa nazwisk odmiennych, a także związanych z wykonywanym dawniej zawodem, z charakterystycznymi dla kresów końcówkami.

Część uczniów wskazywała także informacje, iż nazwisko wywodzi się z obcego kraju, np. z Węgier, z Niemiec, z Czech. Pojawiały się także nazwiska z Rumunii, z polskich rodzin, które po 1945 roku postanowiły powrócić do Polski. Kilka rodzin podkreśliło swoje tatarskie pochodzenie. Wskazywały także, iż ich przodkowie – Tatarzy otrzymali szlachectwo polskie za udział w najważniejszych bitwach i wojnach, stojąc wiernie zawsze po stronie Rzeczypospolitej Polskiej.

Na uwagę zasługuje przypadek jednej z rodzin, która mieszkała w powiecie oleśnickim jeszcze przed 1939 rokiem. Przodek tej rodziny, Polak urodzony na wileńszczyźnie, w czasie zaboru rosyjskiego nie chciał służyć w armii rosyjskiej, przybył więc na teren zaboru pruskiego. W rodzinie tej kultywowane były wileńskie zwyczaje, polska mowa i świadomość narodowości polskiej, a obecnie corocznie odbywa się zjazd rodzinny, w czasie którego zliczane i zapisywane są wszystkie osoby.

Dość spora grupa osiedleńców, to ludzie pochodzenia chłopskiego, posiadający swoje gospodarstwa rolne, także częściowo zajmujący się przed wojną rzemiosłem, jak np. bednarz, cieśla, stolarz, kowal. Jeśli chodzi o mieszkańców miast, to najczęściej były podawane zawody nauczyciela, lekarza, prawnika, zawodowego oficera, kolejarza, urzędnika.

Uczniowie opisywali bardzo różnorodne wydarzenia historyczne dotyczące ich rodzin, a także całych rodów. Przykładowo: z okręgu Tarnopola jeden z prapradziadków uczennicy był posłem na sejm. Z kolei inna uczennica podała całą historię zajmowanych przez członków rodu stanowisk na przestrzeni kilkuset lat, np. kanonik inflancki, łowczy rzeczycki, podczaszyc czernichowski, stolnik, komornik łucki, itd. Przodkowie tej dziewczynki podpisali się pod elekcją króla Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Jana III Sobieskiego i Augusta II. W innym przypadku przytoczony był opis udziału prapradziadka w wojnie z Japonią w 1905 roku, który za odniesione rany i poświęcenie w walce otrzymał ziemię w nagrodę od cara.

Jednakże w większości prac największą uwagę skupiono na okresie I wojny światowej, na latach 1920-1921, a także od roku 1939 do 1945/46 wraz z okresem ekspatriacji aż do osiedlenia się w Oleśnicy. Wiele uczniów podkreślało fakt, iż najstarsi członkowie rodziny brali udział w I wojnie światowej, a także z dumą, co jest szczególnie ważne, iż pradiadkowie walczyli w wojnie przeciw bolszewikom w 1920 roku, tocząc bój o polski Lwów. Często padały określenia: „Mój prapradziadek był Legionistą-Piłsudczykiem”. Bardzo ciekawą, choć niezwykle smutną historię opowiedziała swemu wnukowi babcia, urodzona w Sokalu, o tym, jak jej ojciec będąc uczniem gimnazjum poszedł na wojnę przeciw bolszewikom wraz ze swymi kolegami z klasy. Część tych chłopców już nigdy z niej nie powróciła.

W innej pracy z kolei uczeń opisał okrucieństwa jakich dopuszczali się żołdacy bolszewicy w okolicy, w której mieszkała rodzina. Podawane były także w różnych pracach typy ran ciała jakie odnieśli żołnierze. Najbardziej jednak pamiętali starsi ludzie II wojnę światową. W licznych pracach podkreślany był fakt wkroczenia w 1939 roku najpierw armii niemieckiej, a później na tereny wschodniej Polski sowieckiej. Dla wielu rodzin rozpoczęła się gehenna wywózki na Syberię. Jedna z gimnazjalistek napisała w swej pracy: „... moja praprababcia posiadała piękny dwór w pobliżu Kołomyi. Pewnej nocy wszyscy w nim mieszkający zostali wywiezieni na Syberię do przymusowej pracy w kopalni. Po zakończonej wojnie tylko mojej babci udało się wrócić do Polski ... Co kilka lat jeździ do tej miejscowości i zapala świeczki na cmentarzu przed 1 listopada ...”. W innej pracy chłopiec podaje: „Mój pradiadek z prababcią urodzili się we Lwowie, tam też mieszkali, później w czasie

wojny byli aresztowani i wywiezieni na Syberię. Po zakończeniu wojny wszyscy członkowie rodziny szukali się przez Czerwony Krzyż już na Śląsku”. Wspomniane były także wywózki na roboty przymusowe do Niemiec. Opisywani byli niejednokrotnie także ci, którzy z robot nie wrócili i co najbardziej zadziwiająco, z pełnymi ich danymi, łącznie z rokiem urodzenia. Oznacza to, że w gronie rodzinnym nadal z wielkim pietyzmem przechowywane są informacje o zmarłych członkach rodziny, a pamięć o nich jest żywa. Przymusowe roboty łącznie ze śmiercią w Niemczech nie ominęły również tych Polaków, którzy posiadali niemieckie pochodzenie. Często także pojawiał się wątek wcielenia do armii polskiej w czasie wybuchu wojny w 1939 roku lub aresztowania przez wojska sowieckie, wysłania do obozu pracy i pobytu w nim aż do końca wojny.

W zdecydowanej większości opisywane były także prześladowania Polaków przez ukraińskie, nacjonalistyczne bandy UPA na terenach województw: lwowskiego, tarnopolskiego, wołyńskiego i stanisławowskiego, a także w przemyskim i lubelskim. Oto przykładowo: „... mój pradiadek ... został zamordowany przez UPA w 1944 roku w Sielcu Bełzkim, a dziadek uciekł przed mordem do stryja mieszkającego w powiecie tarnobrzeskim”. W innej historii rodzinnej z lubelszczyzny: „... dziadkowie ukrywali się co noc w specjalnie zbudowanej ziemiance, bo wiedzieli, że za współpracę z partyzantami mogą spodziewać się napaści UPA”. Natomiast opis zdarzeń, mających miejsce we wsi Zalesie w przemyskim znalazł się w literaturze fachowej w okresie powojennym, z którym nie zgadzają się dawni mieszkańcy, a dzisiaj oleśniczanie: „Co noc można było się spodziewać napaści, ponieważ wielokrotnie banderowcy podchodzili pod wieś, zawsze jednak odganiani. 23 października 1945 roku wieś została w połowie spalona. Opis ten podaje, że był to odwet za niszczenie mienia wsi ukraińskich, ale to nieprawda. Większość wsi pobliskich była opuszczona już przez Polaków i nikt nie śmiał przechodzić na tamtą stronę, natomiast systematycznie były one palone przez banderowców. Do Zalesia przyszedł oficjalny list o planowanym odwecie i tak się też stało. W napadzie tym zginęło 15 Polaków”.

W pracach pojawiały się również opisy współpracy zwykłych mieszkańców wsi z Armią Krajową, np. „We wsi Buczały i Chłopy, w lwowskim, zorganizowany był cały punkt zrzutów. Amerykańskie samoloty zrzucały w nocy na pola między wsiami skrzynie ze sprzętem wojskowym potrzebnym Armii Krajowej. W tych miejscowościach była także szkoła dla podchorążych, którzy przyjeżdżali na zajęcia ze Lwowa ...”.

Oprócz historii rodzin opisywane były także zabytki architektoniczne, historia danej miejscowości oraz zwyczaje i tradycje w danym okręgu, w tym także kulinarne.

W opisach wspomniani byli także mieszkańcy innych wyznań, np.: „Sokal to piękne małe miasteczko, przez które przepływa rzeka Bug, a nad brzegiem rzeki były rozmieszczone zabytki i kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej Sokalskiej. Handlem zajmowali się w tym mieście głównie Żydzi, którzy prawie wszyscy zginęli w czasie II wojny światowej...”. W kilku opowieściach pojawiły się także wątki pomocy Żydom udzielanym przez Polaków, ich ukrywania i dostarczania żywności.

W większości wywiadów dziadkowie i babcie samodzielnie podawali także informacje o przebiegu przesiedlenia na Dolny Śląsk, terminie podróży, ciężkich warunkach przejazdu, a także przyczynach wysiedlenia Polaków z Kresów Rzeczypospolitej. Obecnie dla młodego pokolenia nie jest zrozumiałe pojęcie transportu w „bydłym wagonie”, więc najstarsi członkowie rodzin tłumaczyli, iż jedna rodzina otrzymywała tylko jeden wagon, w którym musieli zmieścić się członkowie całej, niejednokrotnie licznej rodziny, podstawowy do życia dobytek, zwierzęta gospodarskie, żywność dla zwierząt. Uświadomiło to młodemu pokoleniu także, z jakim wielkim szacunkiem powinno się obchodzić np. ze starymi fotografiami, meblami, czy innymi pamiątkami przywiezionymi z Kresów.

Wspominanymi natomiast zwyczajami było rozsypywanie ziaren zbóż i grochu w noc wigilijną, co miało sprawić dobry urodzaj latem, dzielenie się opłatkiem ze zwierzętami w Wigilię, dekorowanie choinki ozdobami z kolorowej bibułki, wieszanie ozdób ze słomy, wysypywanie tatarakiem wejścia do domu w czasie Zielonych Świątek. Tradycyjną potrawą wschodnią, która króluje do dnia dzisiejszego, niepodzielnie w Oleśnicy, podobnie jak na całym Dolnym Śląsku są pierogi zwane „ruskimi”. Inną tradycyjną potrawą na Wigilię Bożego Narodzenia, obok opłatka, jest zawsze kutia. Kutia na Święta jest w domach także tych Oleśniczan, którzy nie wywodzą swych korzeni z kresów, co dało się zauważyć w pracach uczniów.

Z całą pewnością można stwierdzić, iż wśród mieszkańców Oleśnicy nadal z wielkim szacunkiem kultywowana jest pamięć o Kresach i przekazywana z pokolenia na pokolenie z wielką miłością do ziem przodków. Pieczołowicie przechowywane są także wspomnienia i pamiątki o tych, którzy nie mogli przyjechać ze swoją rodziną, gdyż rozdzieliła ich śmierć. Wśród zbiorów pamiątek jednej z rodzin wywodzącej się z Sądowej Wiszni zachowany został wiersz młodego człowieka Zygmunta Urbanika, który został wywieziony wraz z całą rodziną na Syberię w 1940 roku i tam pozostał na wieczność, mimo iż bardzo pragnął przeżyć i wrócić do domu.

Pierwszy rok na Sybirze

*Pierwszego marca roku czterdziestego
Dla nas Polaków, tak nieszczęśliwego
Przywieźli nas na Purmę, na Sybir daleki
Między szare góry i spokojne rzeki
Gdzie tylko wiatry drzewami kołyszą
A ludzie w przedwiecznych ziemiankach mieszkają.
Na biednych Polaków czeka barak stary,
Którego pluskwami zatłkane są szpary.
We środku baraku małe prycze stoją
Ale prycz w baraku dla ludzi za mało
Tak, że się piętrowe postawić musiało.
Jedni nad drugimi noce przesypiali,
A w dzień komendanci na robotę gnali.
O chlebie i wodzie chodzili do pracy,
Na mrozie i śniegu robili biedacy
Gdy po ciężkiej pracy przyszli na spoczynek
Zaraz zajmowali pod sklepem ogonek
Aby kupić normę chleba czarnego
I do tego jeszcze źle wypieczonego.*

*I tak żyli półtora miesiąca
Czekając mąk naszych prędkiego końca.
Tymczasem wielkie nieszczęście się stało
Połowę ludzi na tyfus zachorowało
Dużo z nich teraz w mogile spoczywa
Tylko wiatr im smutne pieśni śpiewa.
Przyszła maj, z nim nastała wiosna
Lecz dla nas wcale nie była radosna.
Ciągłe myśleliśmy o naszej polskiej wiosnie,
Jak ją spędzaliśmy wesoło, radośnie,
A tu na Sybirze choć wprawdzie jest piękna
Ale dla nas była jakby przeklęta.
Choć piękne kwiaty tu pozakwitały
Lecz dusz ludzkich nie rozweselały.
Zawsze myślę o tym jak w domu to było
Na swój ogród i pole robić się chodziło
Jedzenia i ubrania miał człowiek do woli,
A tu obdarty i głodny pracuje w niewoli.
I od tej myśli wszyscy nie odstają
Kiedy nareszcie wolność odzyskają?
Moskale zawsze nam opowiadają
Przywykać trzeba, choć normę chleba nam dają,
W ogrodach kartofle sadzić nam każą
I nowe baraki postawić nam obiecują.
O Polsce mówią – na zawsze zapomnijcie,
A do władzy sowieckiej wszyscy przywyknijcie.
Lecz my Polacy nie myśleliśmy wcale
O tym co mówią do nas ci głupi Moskale.
Zawsze tylko opowiadamy o tem
Kiedy do Polski pojedziemy z powrotem.
I przyszło lato tak długo czekane
Lecz takie dla nas nie było żądane.
Przeszły dni, tygodnie, miesiące
I kiedy na niebie podniosło się słońce
Dnie były coraz cieplejsze
I mrozy były już łagodniejsze
.....*

Autor nie ukończył swego wiersza, zmarł na tyfus. Pozostali członkowie jego rodziny, którym udało się przeżyć na Syberii przywieźli ten wiersz do Oleśnicy, jako szczególną pamiątkę po zmarłym.

Kończąc artykuł należy podkreślić, iż wielką rolę w kultywowaniu pamięci o Kresach II Rzeczypospolitej Polskiej na terenie Oleśnicy pełni Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Od momentu powstania w 1988 roku przekazuje oleśnickiemu społeczeństwu wiedzę o historii i dziedzictwie kulturalnym Lwowa i Kresów. To właśnie dzięki niemu powstał m.in. duży zbiór pozycji książkowych dostępnych w oleśnickich bibliotekach, z którego korzystają młodzi mieszkańcy miasta, by pamiętać o ziemi przodków mogła przetrwać. W swej działalności zawsze stara się zainteresować młodzież, inicjuje udział w konkursach wiedzy o Lwowie, propaguje biografie ciekawych postaci, jest zawsze obecne w życiu kulturalnym Oleśnicy i poprzez swą postawę daje dowód wielkiemu oddaniu ziemi kresowej.

Warto wspomnieć także, iż realizatorami niniejszego programu byli: Katarzyna Jurzyk – polonistka, Marzena Helińska – historyk, Barbara Sokółowska – bibliotekarka, Paweł Weliczko – informatyk, Anna Kołodrubiec – polonistka, koordynatorka i autorka projektu oraz uczniowie gimnazjum wraz ze swymi rodzinami. Hono-

rowy patronat objął nad programem Burmistrz Oleśnicy Jan Bronś, Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Oleśnicy pod kierunkiem prezesa Leszka Mulki oraz Miejski Ośrodek Kultury i Sportu w Oleśnicy wraz z dyrektorem Agatą Szpilyk.

Budującym jest także fakt, iż młodzi mieszkańcy Oleśnicy pragną poznać i zapamiętać najważniejsze wydarzenia z życia swoich rodzin, by przekazać je następnym pokoleniom. Realizacja programu uzmysłowiła jego uczestnikom – uczniom i nauczycielom – z jak

wielkim szacunkiem powinno się przechowywać pamiątki przywiezione z Kresów: stare fotografie, dokumenty, obrazy, meble, a nawet stroje.

Dzięki temu nie zaginie pamięć o tamtych czasach i ziemiach, o ludziach i ich życiu codziennym, przeżywanych troskach, o sąsiadach różnych wyznań i narodowości, którzy żyjąc razem tworzyli jedną społeczność. W dziejach Oleśnicy i Dolnego Śląska zawsze będzie się pojawiać wątek Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, na stałe wpisany w historię śląskiego regionu. □

Mariusz Oberc

Gwiada Betlejemka ponownie zawitała do Przemyślan

„O Ziemi! Na której tyle zostawiam pamiątek umierając, o Ziemi, piękna matko nasza” – tak pisał wielki czciciel ojczyzny, Józef Ignacy Kraszewski. Wydawało się, że w pół wieku od zakończenia wojny światowej parafia w Przemyślanach umarła na zawsze, na co miało wpływ świadome niszczenie przez system ZSRR polskości i religii katolickiej na kresach dawnej Rzeczypospolitej.

Zabytkowy kościół w Przemyślanach wybudowano w 1645 roku, przetrwał wiele najazdów hord tatarskich, przeżył obie wojny światowe i dopiero uległ władzy sowieckiej po roku 1945. Po wysiedleniu Polaków świątynię przeznaczono na fabrykę urządzeń militarnych a dla tego celu przedzielono kościół stropem żelbetonowym. Wieloletnia działalność firmy całkowicie zrujnowała wnętrze, fasadę i otoczenie.

Po powstaniu państwa ukraińskiego nastawienie nowych władz powoli zmieniano się, jednakże półwieczna sowietyzacja pozostawiła trwały ślad w mentalności mieszkańców tych ziem i potrzeba jeszcze dużo czasu oraz zmiany pokolenia, aby Ukraina powróciła do rodziny krajów europejskich. Wpływy sowieckiej nietolerancji ogarnęły również duchowieństwo unickie, o czym świadczy chociażby odpowiedź Ukraińskiej Cerkwi Greko-Katolickiej w osobie proboszcza parafii św. Mikołaja w Przemyślanach, który w listopadzie 1996 roku skierował do Lwowskiej Wojewódzkiej Administracji Państwowej list, a jego kopie przesłał m.in. do ówczesnego prezydenta Leonida Kuczmy. Treścią listu była odmowa oddania polskiej wspólnoty katolickiej w Przemyślanach kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Spór o świątynię zakończył się dopiero uiszczeniem przez polskiego proboszcza swego haraczu, w postaci 52 tysięcy dolarów, miejscowym władzom za swoją własność. Pieniądze zebrano wśród lokalnej ludności i z darów Polaków w Polsce.

Przywracanie kościoła dla wiernych zaczynało się w pionierskich warunkach. Salezjanin Piotr Smolka rozpoczął posługę duszpasterską w rozpadającej się szopie bez światła i okien. Choć sam miał niewiele, to jednak pomagał jeszcze biedniejszym. Miesiąc po miesiącu, rok po roku mozolną pracą i cierpliwością nowego proboszcza parafia w Przemyślanach nabierała kształtów. Odbudowa kościoła opierała się głównie na zbiórkach pieniężnych jego byłych wiernych, jednakże na apel księdza Smolki odpowiadali również sponsorzy. Jednym z nich był rzeszowski PKS, którego dyrektor



Niestrudzony ks. prob. Piotr Smolka w czasie renowacji odzyskanego kościoła parafialnego w Przemyślanach w 1994 r.

dr Czesław Piela udzielił znaczącej pomocy. Jego pracownik, Włodzimierz Kaszałowicz, wykonał projekt techniczny okien, aby zabezpieczyć świątynię, materiały ofiarowały rzeszowskie Przedsiębiorstwo „GÓR-HUT” i firma „BIP” Stanisława Baska z Nabyłca, a prace wykonała nieodpłatnie sześciuosobowa brygada PKS-u. Ta sama brygada, w osobach M. Walusa, G. Wójtowicza, J. Wróbla, S. Mikruta, Z. Rudnickiego i T. Puterki, wykonała dwa lata wcześniej formę na betonowy odlew krzyża dla Cmentarza Orląt, na zamówienie ówczesnego opiekuna nekropolii, Eugeniusza Cydzika.

Z indywidualnych ofiarodawców, znacznego wsparcia finansowego udzielił były parafianin mieszkający za

oceanem, duchowo zaś wspierał działalność księdza Smolki były proboszcz parafii w Wołkowie Henryk Szymusik. Urodzony w 1917 roku kapłan jako chłopiec uczęszczał do kościoła w Przemyślanach, a po posłudze duszpasterskiej spędza emeryturę w krakowskim Domu Księża Chorych. Kiedy ksiądz Smolka odzyskał świątynię Szymusik zaczął go wspierać i utrzymywać stały kontakt, jego siostra Teresa natomiast namalowała dwa obrazy dla kościoła, które ozdabiają wnętrze.

Heroiczna walka Piotra Smolki spowodowała pozytywne nastawienie ukraińskiej części Przemyślan, która zaczęła udzielać mu wsparcia. Nawet duchowni greko-

katolicycy powoli zmieniają swój stosunek do polskich współbraci. Z roku na rok wiekowy kościół młodnieje, ksiądz Smolka pomaga swoim parafianom, czym wzbu-
dza zaufanie i szacunek. W ostatnich latach zaczął wydawać przesłania Bożonarodzeniowe, które weszły już na stałe do działalności duszpasterskiej proboszcza.

Wskrzeszenie kolejnej parafii katolickiej na dawnych ziemiach polskich jest doniosłym faktem, budzącym nadzieję wielu byłych kresowiaków i nie tylko dzieci, ale i jej parafianie cieszą się, że Gwiazda Betlejemka ponownie zawitała do nich świecąc coraz mocniejszym blaskiem. □

Zbigniew Żyromski

Tajemniczy sarkofag w podziemiach lwowskiego kościoła jezuitów

Przeglądając numer 4 (87) / 2005 dwumiesięcznika „Semper Fidelis” natrafiłem na notatkę w „Wieściach ze Lwowa” informującą, że udostępniono podziemia kościoła św. św. Piotra i Pawła zakonu jezuitów, gdzie urządzono Galerię Sztuki i że znajduje się tam również tajemniczy sarkofag bazaltowy z XVII wieku (powinno być – z XVIII wieku). Przypomniałem sobie, że byłem w tych podziemiach 4 lipca 2003 roku i sarkofag ten zainteresował mnie wówczas, gdyż był przeznaczony dla arcybiskupa metropolity lwowskiego Mikołaja Ignacego z Wyżyc Wyżycyckiego.

Moją rodzinną miejscowością są Monasterzyska położone w ówczesnym powiecie buczackim. W końcowym okresie ekspatriacji, jako jeden z ostatnich wyjechał stamtąd proboszcz kościoła pw. Wniebowzięcia NMP ks. Antoni Joniec, który zabrał ze sobą m.in. obraz Matki Boskiej Bolesnej. Początkowo obraz znajdował się w kaplicy kościelnej w Łańcucie, zaś w 1953 r. został przekazany do kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Bogdanowicach koło Głubczyc w woj. opolskim. Od 1998 roku monasterzyszczyk w połowie września pielgrzymują do swojej patronki, zaś wiosną 2003 r. postanowiono ufundować dwie tablice – pamiątkową oraz informacyjną o historii obrazu Matki Boskiej Bolesnej. Opracowanie historii tego obrazu powierzono mnie. Miałem do dyspozycji relację z dokumentu pisanego w 1742 r. po łacinie i przetłumaczonego na język staropolski. Wynikało z niego, że to właśnie arcybiskup Wyżycki podjął decyzję o wysłaniu komisji, która miała zbadać prawdę o cudowności wizerunku MB Bolesnej.

Podczas wizyty 4 lipca 2003 r. we Lwowie ze znajomym dowiedzieliśmy się, że istnieje możliwość zwiedzenia czterech obiektów, a koszt wynosi 100 hrywien niezależnie od liczby osób, które się zgłoszą. Zebrała się grupka 8 osób, w tym nas dwóch Polaków, i koszt na jedną osobę wyniósł tylko ponad 10 hrywien.

Jak wiadomo, w podziemiach kościołów odbywały się pochówki, zmarłych chowano najczęściej w trumnach drewnianych, zaś w wyjątkowych przypadkach – w kamiennych sarkofagach. Po 1945 roku, gdy te obiekty przejęła władza sowiecka, dążyła do zniszczenia

wszystkiego, co związane było z wiarą lub z polskością. Przewodnik ukraiński na ten temat nie chciał wiele mówić, faktem jest, że trumny zostały zniszczone i wywiezione. Oprowdzając nas po pustych wówczas podziemiach przewodnik przedstawił rys historyczny obiektu, a gdy znaleźliśmy się w pomieszczeniu, w którym na środku ustawiony był sarkofag, stwierdził że jest to miejsce pochówku dostojnika kościelnego.

Zdając sobie sprawę, że może to być ktoś związany z historią Kresów usiłowałem w mroku odczytać napisy i obejrzeć stan nagrobka. Zdążyłem jedynie pobieżnie odczytać nazwisko i stwierdzić, że od dołu znajduje się prostokątny otwór o wymiarach ok. 30 x 40 cm, a towarzyszący mi znajomy zrobił dwa zdjęcia: jedno – widok ogólny sarkofagu, drugie – od czoła z widocznym herbem arcybiskupa, na którym widoczne są: tarcza herbowa o dosyć niecodziennym kształcie, z zawieszonym u dołu krzyżem maltańskim i gołębiem o rozpostartych skrzydłach (jest to Order Orła Białego, ustanowiony w 1705 roku), zaś u góry tarczy siedzi na koronie gołąb z gałązką oliwną w dziobie. Wyżej znajduje się kapelusz biskupi z rozchodzącym się na obie strony sznurowym pasem zakończonym potrójnym chwostem. Nad tarczą po bokach korony widnieją pastor, infuła oraz podwójny krzyż patriarchalny. Po bokach nagrobka zamocowane są metalowe (zardzewiałe) uchwyty transportowe. Niczego więcej nie udało mi się wówczas ustalić, ponieważ byliśmy z grupą i przewodnikiem, który nadawał tempo zwiedzania.

Po opuszczeniu podziemi zastanawiałem się, jak można spokojnie obejrzeć sarkofag i odczytać tekst, znajdujący się na jego górnej powierzchni? Taka okazja nadarzyła się dopiero 11 sierpnia 2004 roku. Korzystając z pobytu w sanatorium w Truskawcu, wybraliśmy się ze znajomą na jednodniową wycieczkę do Lwowa z zamiarem wejścia m.in. do podziemi kościoła jezuitów. Po szczęśliwym nam – choć innych chętnych do zwiedzania nie było przewodniczka po wykupieniu przez nas biletów wyraziła zgodę na oprowadzenie tylko nas dwoje.

Tym razem w podziemiach, w narożnikach i pod ścianami, stały eksponaty sztuki współczesnej z cera-



Fot. Jan Szajner
Sarkofag arcybiskupa metropolity lwowskiego
J. M. Wyżycyckiego

miki i szkła. Jedynym starym „eksponatem” był sarkofag ustawiony na podwyższeniu w środkowej części pomieszczenia. Wewnątrz panował mrok. Gdy wyjawilem przewodniczce zamiar zrobienia zdjęć i odczytania napisu na górnej powierzchni sarkofagu, nie sprzeciwiła się, a nawet mi w tym pomogła. Fotografowanie było bardzo utrudnione. Po wykonaniu czterech zdjęć przewodniczka, która знаła alfabet łaciński, pomogła mi odczytać tekst na sarkofagu, który zapisałem. Po wywołaniu zdjęć okazało się, że niecały tekst da się odczytać, ale z pozostałych fragmentów udało się uzyskać wystarczającą informację o właścicielu sarkofagu.

OSSA
NICOLAI
IGNATII
DE WYŻYCE
WYŻYCKI
ARCHIPISCOPI
METROPOLITANI
LEOPOLIENSIS
+FUNCTUS EST
ANNO DOMINI
17
IA ARCYBISKUP
Y ZEMNO
DUSZE
W CZYŚCU
ZOSTAIOCE
PRZEZ ŻADNE
RATUNKU
PROSZĄ
???
MARYA

Tekst do miejsca, w którym widnieje rok „17...”, jest bez braków, ale pozostały nie jest w pełni zrozumiały. Krój liter jest różny, szczególnie widoczny przy literze „A”. Np. w słowach „IA, ZOSTAIOCE, ŻADNE” litera „A” ma poprzeczkę prostą, natomiast w pozostałych poprzeczka jest załamana ku dołowi i składa się z dwóch równych kresek ustawionych względem siebie pod kątem.

Łacińskie słowo „OSSA” oznacza kości, zaś „FUNCTUS EST” – zmarł. Zastanawia w tym tekście niedokończona data śmierci – wykuto tylko dwie cyfry stanowią-



Fot. Jan Szajner
Widok od czoła sarkofagu z herbem arcybiskupa
J. M. Wyżycyckiego

ce początek roku, co może oznaczać, że arcybiskup kazał sobie wykonać ten sarkofag jeszcze za życia, a data miała być uzupełniona po jego śmierci. Ale nie została uzupełniona. Czy zmarł poza Lwowem i tam został pochowany?

Kim był arcybiskup Wyżycki? Według księdza Piotra Niteckiego, data i miejsce urodzenia są nieznane. Najprawdopodobniej urodził się przed 1700 rokiem. Wiadomo, że po przyjęciu święceń, scholastyk warszawski i dziekan krakowski od 1726 roku, 6 maja 1737 roku został uroczystie nominowany przez papieża na arcybiskupa lwowskiego. Ingres do katedry odbył się 10 grudnia 1737 roku. Podczas swej pracy duszpasterskiej przeprowadzał wizytacje diecezji, rozwinął życie zakonne i erygował nowe parafie.

W parafii w Roźniatowie w kaplicy znajdował się obraz Matki Boskiej Bolesnej łaskami słynący. Dekretem z 1738 roku arcybiskup Wyżycki pozwolił jezuitom sprawować wszelkie urzędy, erygując tym samym w tej miejscowości parafię.

W okolicy Monasterzysk w prywatnym domu był obraz Matki Boskiej Bolesnej; pewnego razu spostrzeżono, że twarz Marii przybiera różne wyrazy i zmienia się – raz jest smutna, raz pogodna. Wizerunek również zaczął płakać krwawymi łzami. Pomimo kilkakrotnego obmycia krew występowała ponownie. Z polecenia metropolity 3 czerwca 1742 roku wysłano komisję dla zbadania prawdy o obrazie. Po sporządzeniu protokołu i przedstawieniu go arcybiskupowi, wydał on dekret, w którym polecił przenieść obraz MB Bolesnej do kościoła w Monasterzyskach, co nastąpiło 14 sierpnia 1742 roku.

Również w domu wdowy Jadwigi Dolińskiej w Brzozdowcach w maju 1746 roku zdarzył się cud. Od tego czasu w kronice parafialnej odnotowano liczne łaski i cuda. 1 kwietnia 1747 roku arcybiskup Wyżycki polecił słynący łaskami obraz Chrystusa ukrzyżowanego przenieść do kościoła pw. Podwyższenia św. Krzyża w Brzozdowcach.

Inny obraz, z ukrzyżowanym Jezusem konającym, przywieziono na Kresy Wschodnie z Rzymu około roku 1700. Pozostawał on początkowo w rękach prywatnych. Pierwszym znakiem szczególnej łaski wizerunku było uzdrowienie syna Sobieszczańskich – Jana. Po tym wydarzeniu obraz przeniesiono do dworskiej kaplicy w Nowym Stawie. Liczne łaski, uzyskane za pośrednic-

twem obrazu, a także takie zjawiska jak krwawiące rany i światłość, zainteresowały komisję teologiczną. Na jej wniosek metropolita wydał dekret orzekający o cudowności wizerunku. 14 sierpnia 1747 roku Mikołaj Wyżycki zdecydował o oddaniu obrazu pod opiekę karmelitów bosych w Milatynie Nowym, gdzie w 1771 roku wzniesiono nową świątynię.

W sanktuarium w Kochawicy o.o. karmelici opiekowali się obrazem Matki Boskiej sprowadzonym w 1749 roku. Wizerunek ten czynił wiele cudów, toteż w 1755 roku arcybiskup Wyżycki ogłosił obraz jako cudowny. 15 sierpnia 1912 roku, za zgodą papieża Piusa X, arcybiskup Lwowa Józef Bilczewski dokonał uroczystej koronacji.

Arcybiskup Mikołaj Wyżycki, podczas sprawowania posługi duszpasterskiej w kościele o.o. Dominikanów Bożego Ciała we Lwowie, koronował 2 lipca 1754 roku obraz Matki Bożej Zwycięskiej koronami ufundowanymi przez członków rodu Potockich z inicjatywy hr. Józefa Potockiego (1673-1751).

Jak można zauważyć, arcybiskup miał upodobanie w mnożeniu kultu obrazów w parafiach, a tym samym przywiązywaniu wiernych do kultuwowania wiary katolickiej. Arcybiskup Mikołaj Wyżycki zmarł 7 kwietnia 1757 roku i pochowany został w nieznanym miejscu, zaś sarkofag pozostał pusty – jako dzieło sztuki z połowy XVIII wieku. W notatce podano, że sarkofag ten wykonano z bazaltu. To chyba błąd, bowiem bazalt jest skałą magmową, wylewną, tj. wulkaniczną, popękaną przy krzepnięciu, w kolorze od ciemnoszarego poprzez fioletowy do czarnego, o nienaturalnej łupliwości. Jest stosowany jako kamień w robotach drogowych w postaci kruszywa i rzadko kostki oraz krawężników. Obecnie bazalt jest topiony i odlewany w postaci różnego rodzaju kształtek, jako materiał odporny na ścieranie. Do rzeźbienia i polerowania nie nadaje się. W Polsce występuje na Dolnym Śląsku i w Krakowskim. Przed wojną eksploatowano go na Wołyniu. Według mojej pobieżnej oceny sarkofag wykonano z gorszego gatunku czarnego marmuru z jasnymi plamami. □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. dr Irena Berg



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 25 listopada ub. roku zmarła w Tarnopolu dr Irena Berg, lekarz-społecznik, jedna z założycieli i czynnych działaczy Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Tarnopolu, córka majora 27 Pułku Ułanów, jeńca Starobielska, zamordowanego w 1940 r. Jako kilkuletnie dziecko wywieziona do Kazachstanu, po wojnie wraz

z matką i siostrą zamieszkała w Krzemieńcu u dziadka-lekarsza, który pozostał tam i do końca dni swoich niósł pozostałym jak On Polakom pomoc i otuchę. Jego też wzorem Zmarła po ukończeniu studiów medycznych zamieszkała w Tarnopolu wpisując się na trwałe w pamięć tamtejszych Polaków i jako Człowiek, i jako Lekarz. Ostatnio uzyskała upragnione polskie obywatelstwo.

Pogrzeb odbył się w dniu 27 listopada w Szumsku k. Krzemieńca. Spoczęła obok Dziadka i Matki.

Cześć Jej pamięci!

Tarnopolanie

Śp. ks. prałat Kazimierz Bochenek (7 VII 1914 – 12 XI 2005)



Tłumy wiernych zgromadziły się w dniu 16 listopada 2005 roku wokół opolskiego kościoła św. Piotra i św. Pawła, by pożegnać zmarłego kilka dni wcześniej wieloletniego proboszcza tej parafii księdza prałata Kazimierza Bochenka. Nabożeństwu i uroczystościom pogrzebowym przewodniczył opolski biskup pomocniczy ks. Paweł Stobrawa. Trumna została złożona w grobowcu na przykościelnym cmentarzu.

W pożegnaniu uczestniczyli nie tylko parafianie, również przedstawiciele NSZZ „Solidarność”, Związku Sybiraków, Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Towarzystwa Miłośników Kresów Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej i Lwowa, bo przez wszystkie lata posługi kapłańskiej w sposób niezwykle zaangażowany śpieszył ksiądz prałat z pomocą duchową i materialną wszystkim takiej pomocy potrzebującym. W wybudowanym przy jego osobistym wsparciu Domu Katechetycznym miały swoją siedzibę agendy Związku Sybiraków, i tutaj każdego roku, w kolejne rocznice tragicznych zsyłek na Sybir – Polaków zamieszkałych na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej – odbywały się uroczyste Msze Święte odprawiane w intencji żyjących członków Związku Sybiraków i tych, którzy na Sybirze na zawsze pozostali.

Ksiądz prałat Kazimierz Bochenek urodził się 7 lipca 1914 roku w Ropczycach, powiatowym mieście województwa lwowskiego. W rodzinnym mieście ukończył edukację podstawową, a w 1935 roku w miejscowym

Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki złożył egzamin dojrzałości. Po maturze odbył roczną służbę wojskową w Brześciu nad Bugiem, był to kurs podchorążych. W 1936 roku wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego we Lwowie. Rektorem był wówczas ks. Eugeniusz Baziak, późniejszy metropolita krakowski. Po ukończeniu trzeciego roku studiów wybuch II wojny światowej przerwał dalszą naukę. Po wejściu wojsk sowieckich do Lwowa seminarzyści wyrzuceni z dotychczas zajmowanych budynków zostali przegarnięci przez zakon OO Zmartwychwstańców, tam w głębokiej konspiracji kontynuowali studia teologiczne.

3 kwietnia 1940 roku w Kaplicy św. Kazimierza w Katedrze Lwowskiej Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny z rąk bp. Eugeniusza Baziaka przyjął święcenia kapłańskie. Mszę Świętą Prymicijną z pomocą ks. rektora Jana Nowickiego odprawił w kaplicy Sióstr Józefitek we Lwowie, natomiast pierwszą Mszę Świętą w rodzinnych Ropczycach dopiero na Boże Narodzenie 1941 roku. Po święceniach życzliwie przyjęty przez proboszcza ks. infułata Kazimierza Bilczewskiego został wikariuszem w kolegiacie Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Stanisławowie. Były to niezwykle ciężkie czasy, zmieniali się okupanci, Sowieci zastąpili Niemcy, ale Sowieci wrócili. Kapłani stale byli narażeni na wielkie niebezpieczeństwa, nasiliły się one w 1943 roku, kiedy do zbrodniczych akcji przystąpili ukraińscy nacjonaliści.

Wypędzony przez władze sowieckie wraz ze swoimi wiernymi wyruszył ks. Kazimierz Bochenek w dniu 26 maja 1946 roku ze Stanisławowa na Zachód. Końcówką stacją podróży było Oppeln Ost. – Opole Wschód. Tu repatriantami i przybyłymi z nimi księżmi serdecznie

Śp. prof. Bolesław Broś (16.11.1921 – 26.01.2006)

W dniu 26 stycznia 2006 roku zmarł w wieku 85 lat nasz Druh serdeczny, jeden z ostatnich z pokolenia wielkich lwowskich Kolumbów – prof. dr inż. Bolesław Broś. Osierocił on nie tylko swoją rodzinę, ale też resztki skupionej wokół Niego grupy lwowskich harcerzy-weteranów – członków Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej – Pierwszej Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki, oraz członków Harcerskiego Kręgu Obrońców Lwowa 1939 r. Spoczął na cmentarzu Świętej Rodziny we Wrocławiu.

Był wybitnym specjalistą w zakresie budownictwa i inżynierii geotechnicznej. Stypendystą renomowanych uczelni w Wielkiej Brytanii i Norwegii. Studiował na Politechnice Lwowskiej, a następnie na Wydziale Politechnicznym Akademii Górniczej w Krakowie. Doktoryzował się na Politechnice Wrocławskiej, tam też był asystentem. Od 1956 r. pracował w Akademii Rolniczej we Wrocławiu, kolejno jako zastępca profesora, docent, profesor nadzwyczajny (1976) i profesor zwyczajny (1989). Kierował Katedrą Gruntoznawstwa i Budownictwa Ziemnego, Zakładem Fundamentowania i Konstrukcji Inżynierskich w Instytucie Budownictwa Wodnego i Ziemnego Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Był członkiem Rady Naukowej Instytutu Budownictwa Wodnego PAN oraz członkiem Prezydium Rady

zaopiekowali się ks. infułata Emil Kobierzycki i ks. Kazimierz Borcz z opolskiej parafii Matki Boskiej Bolesnej, kapłani ci przybyli z Brodów rok wcześniej. Bardzo serdecznie kapłanów powitał administrujący diecezją ks. dr Bolesław Kominek, późniejszy metropolita wrocławski.

Tu na Śląsku Opolskim ks. Kazimierz Bochenek pracował kolejno na następujących urządach kościelnych, w następujących miejscowościach: parafia św. Jacka w Bytomiu – wikariusz (1946-1947); parafia w Biskupowie – administrator (1947-1949); parafia Św. Krzyża w Opolu – wikariusz (1949-1951); Niższe Seminarium Duchowne w Opolu – dyrektor (1951-1953); parafia św. Rocha w Dobrzemiu Wielkim – proboszcz (1953-1971); parafia św. Piotra i św. Pawła w Opolu – proboszcz (1971-1991). Był ponadto m. in. członkiem diecezjalnej komisji duszpasterskiej, sędzią sądu duchownego, dziekanem dekanatu opolskiego. Został wyniesiony do godności kapelana Jego Świątobliwości.

Był żarliwym kapłanem, w swoich parafiach wraz z kolejnymi pokoleniami wikariuszy zakładał kolejne grupy parafialne: Ruchu „Maitri”, Odnowy w Duchu Świętym, Rodziny Szenstackiej i inne.

Po osiągnięciu wieku emerytalnego zamieszkał w Diecezjalnym Domu Księża Emerytów w Opolu, i już tu obchodził kolejne jubileusze 60- i 65-lecia kapłaństwa.

Odszedł od nas wspaniały ksiądz, szlachetny i prawy człowiek, dla którego dobro innych stanowiło wartość najwyższą. Był przedostatnim z grona ponad 150 kapłanów archidiecezji lwowskiej pracujących na Śląsku Opolskim.

Jerzy Duda

Naukowej Instytutu Badawczego Dróg i Mostów w Warszawie. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim O.O. Polski.

Ostatnio chorował, sił mu ubywało. Zmarł niespodziewanie w trakcie prowadzenia kilku rozpoczętych prac. Ciągłe był czynny – właśnie uczestniczył w pracach przy przygotowaniu do wydania książki o wrocławskich pionierach i udziale w powojennej odbudowie Wrocławia – lwowiaków. Uzgadniał z władzami sprawę uruchomienia przy Muzeum Historycznym Wrocławia działu harcerskiego. Przewodniczył Towarzystwu Przyjaciół Harcerzy, współpracował z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz z redakcją „Semper Fidelis”. Brał też jeszcze udział w inspekcjach zapór wodnych – Jego autorstwa.

Do ostatka sprawował funkcję opiekuna – komendanta naszego Kręgu ZHP – Pierwszej Lwowskiej i żegał wspomnieniowymi artykułami odchodzących na wieczną wartę członków Kręgu. Niewiele już pozostało, ażeby pożegnać w dniu 30 stycznia 2006 r. – Jego. Ale odprowadziła Go, pomimo złej zimowej pogody, liczna grupa osób – jego uczestników, współpracowników, kolegów przyjaciół, druhów. Ze sztandarem żegnało Go grono naukowców z Akademii Rolniczej. Z kwiatami i sztandarem odprowadzili Go harcerze z Dolnośląskich Chórów ZHP i ZHR ze swymi komendantami na czele.

Pochodził ze znanej, godnej rodziny polskich „nafcziarzy”. Urodził się w Drohobyczu 16.11.1921 r., ale całą

młodość spędził we Lwowie w domu rodziców przy ulicy Dwernickiej, tuż naprzeciw naszego sławnego VIII Gimnazjum, do którego uczęszczał i które było siedzibą Pierwszej Lwowskiej Drużyny Harcerskiej, której został członkiem wiernym zasadzie, że jak być harcerzem, to na zawsze. Tam uformowała się Jego osobowość, tam Jego trwałe przyjaźnie – na całe życie – trwające do dni ostatnich.

We wrześniu 1939 r. ochotniczo brał udział w Obronie Lwowa w oddziałach wartowniczych, poczym wstąpił do organizowanej przez generała Januszajtisa tajnej organizacji Służba Zwycięstwu Polski. Był odznaczony Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa.

W okresie okupacji sowieckiej i niemieckiej studiował na Politechnice Lwowskiej. Przesiedlony w ramach tzw. repatriacji do Wrocławia, od sierpnia 1945 z miejsca włączył się w odbudowę Państwowej Fabryki Wagonów i innych obiektów przemysłowych. Kierował wykonawstwem inżynieryjno-budowlanym oraz pracował w biurach projektów związanych z odbudową lub budową nowych obiektów w zakresie mostownictwa, budownictwa ogólnego i przemysłowego, głównie na terenie Ziemi Zachodnich.

Jak tylko zaistniała taka możliwość, włączył się w prace zorganizowane przez hm. Józefa Dobieckiego w 1978 r. Kręgu Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej – Pierwszej Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Od 1985 r. pełnił funkcję sekretarza Kręgu i wspólnie z ówczesnym przewodniczącym Kręgu prof. Markiem Zakrzewskim kierował jego działalnością, był „duszą Kręgu”. Każdy z dorocznych zjazdów Kręgu był przez Niego obsługiwany fachowymi referatami o tematyce lwowskiej, szczególnie harcerskiej. Udzielał się też w pracy bratniego Harcerskiego Kręgu Obrońców Lwowa 1939 z siedzibą w Krakowie, organizując wspólne okolicznościowe spotkania.

Od 2003 r., tj. od śmierci ostatniego przewodniczącego Kręgu płk. Jana Reutta, całością prac Kręgu kierował Druh Broś. We wrześniu 2004 roku zorganizował poże-

galny już zjazd resztek członków. Rok 2005 był pierwszym, w którym już spotkań nie było ze względu na nieubłagane prawa biologiczne. Większość członków Kręgu odbywała już swoje „wieczne warty” lub utrudzona wiekiem i chorobami już o zjazdach myśleć nie mogła, tym bardziej, że główny organizator i dusza tych spotkań – prof. Broś – też już wiele sił nie miał.

Z głęboką zadumą pochylał się nad Jego życiorysem wypełnionym stałą intensywną pracą i myślą w Krakowie. Robił wszystko, co było w Jego mocy, na przekór wysiłkom różnych władz, by nie pozwolić na zapomnienie, na odesłanie do lamusa historii chlubnej historii Kresów Wschodnich, a szczególnie lwowskiego harcerstwa – w tym tej Pierwszej Lwowskiej.

Czuwaj Druhu Bolesławie!

Czuwaj! Tym zawołaniem pozdrawialiśmy się, witali, żegnali ...

Dziś żegnamy!

Żegnamy Ciebie nasz drogi Przywódcu! Żegna Cię Krąg Pierwszej Lwowskiej, któremu oddałeś wiele lat swego życia, wiele trudu, a wszystko po to, aby uchronić od zapomnienia to, co stanowiło treść naszego wspólnego lwowskiego harcerskiego życia.

Żegna Cię Krąg Obrońców Lwowa 1939!

Żegna Cię grupa kolegów naszego niezapomnianego VIII Gimnazjum!

Żegna Cię też Terenowy Wrocławski Starszoharcerski Krąg ZHP. Wszyscy z podziękowaniem za współpracę, za kierownictwo, za pełen głębokiej miłości do Lwowa codzienny trud, za tworzenie tej serdecznej przyjaźnielskiej spójni wśród nas, lwowskich wygnañców...

Niech Ci ta śląska ziemia lekka będzie!

Niestety, nie lwowska! Lecz i śląską uczyniłeś swoją – swym zapalem w budowie i utrwalaniu jej polskości!

Feliks Cały
wspólnie z Druhami
Bolesławem Kierskim
Wacławem Ogielskim
Tadeuszem Zachariasiewiczem

Śp. prof. zw. dr inż. Bolesław Broś



Urodzony 16.11.1921 r. w Boryslawiu. Studiował na Wydziale Inżynieryjnym Politechniki Lwowskiej i Wydziale Politechnicznym Akademii Górniczej w Krakowie, doktor nauk technicznych Politechniki Wrocławskiej, profesor zwyczajny nauk technicznych. Specjalista w zakresie budownictwa i inżynierii geotechnicznej, kierownik Katedry Gruntoznawstwa i Budownictwa Ziemi, kierownik Zakładu Geotechniki, Zakładu Fundamentowania i Konstrukcji Inżynierskich w Instytucie Budownictwa Wodnego i Ziemi oraz w Instytucie Inżynierii Środowiska Akademii Rolniczej we Wrocławiu.

Członek Rady Naukowej Instytutu Budownictwa Wodnego PAN w Gdańsku, członek Rady Naukowej Instytutu Badawczego Dróg i Mostów w Warszawie.

Pionier odbudowy Dolnego Śląska, od sierpnia 1945 r. brał udział w odbudowie wielu obiektów zniszczonych podczas wojny we Wrocławiu i na Ziemiach Zachodnich.

Działacz Harcerstwa Polskiego we Lwowie i we Wrocławiu. Odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Odszedł od nas nagle w dniu 26 stycznia 2006 r. wybitny uczony i pedagog, wychowawca wielu pokoleń młodzieży akademickiej, młodej kadry naukowej i specjalistów inżynierii geotechnicznej. Pożegnaliśmy Go 30 stycznia 2006 r. na cmentarzu we Wrocławiu-Sępólnie – cmentarzu, gdzie znajduje się pomnik Orłąt Lwowskich.

Był inicjatorem i motorem wydania wspomnień, które ukazały się już po Jego śmierci pt. „Pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich”. W książce tej znajdują się wspomnienia Profesora z pierwszych lat powojennych we Wrocławiu.

Żegnamy serdecznego Przyjaciela, dobrego człowieka, zakochanego we Lwowie i Kresach Wschodnich.

Cześć Jego Pamięci!

Zarząd Główny TMLiKPW

Śp. Kazimierz Kaźmierczyk (1920-2005)

Dnia 5 listopada 2005 r. odszedł na wieczną wartę porucznik rezerwy, Obrońca Lwowa w 1939 r. Kazimierz Kaźmierczyk. Urodził się na Kresach we wsi Smoleńskie, pow. Brody 25.11.1920 roku.

W roku 1939 jako podchorąży wraz z wycofującymi się wojskami włączony został do obrony Lwowa. Dowodził plutonem CKM na ulicach miasta (Szymonowiczów, Listopada) odpierając przez całą noc gwałtowne ataki nieprzyjaciela. Później Zamarstynów i walka wręcz na Zboiskach...

Wspomnienia o kresowiance Ludwinie Nowickiej (1929-2005)

„Wraz z każdym człowiekiem,
żyjącym na tym świecie,
wschodzi słońce uczynności.”

Phil Bosmans

11 września ubiegłego roku w gorzowskim hospicjum zmarła **Ludwina Nowicka**, wybitna aktorka, która – mimo przejścia na emeryturę – angażowała się nadal w życie teatralne, choć na innych płaszczyznach. Prowadziła z sukcesami teatry amatorskie, pracowała z dziećmi, młodzieżą, dorosłymi, emerytami, niepełnosprawnymi i skazanymi. Współpracowała z klubami osiedlowymi i środowiskowymi, m.in. „Pogodną Jesienią”, gdzie ma siedzibę Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Z jego inicjatywy, w tymże klubie, 7 października ub. roku odbył się wieczór poświęcony Jej pamięci.

Prowadząca to spotkanie Anna Makowska-Cieleń zaprosiła do udziału aktorów gorzowskiego Teatru im. J. Osterwy, którzy pieśnią i recytacją stworzyli wileńsko-nadniemeński klimat. Anna Łaniewska zaśpiewała m.in. Wilię, Alina Horanin recytowała Inwokację z „Pana Tadeusza” i balladę „Świtez” Adama Mickiewicza. Aleksander Maciejewski przejmująco przekazał strofy wiersza ulubionego Cypriana K. Norwida „Ty mnie do pieśni pokornej nie wolał”.

Akcenty wileńskie tego wieczoru nawiązywały do Jej wczesnej biografii. Urodziła się 15 kwietnia 1929 roku w **Wilnie** w rodzinie o artystycznych upodobaniach. W 1946 roku osiadła z rodziną w Gorzowie Wlkp. i temu miastu – choć grała w teatrach innych miast – pozostała wierna do ostatnich dni.

Studia aktorskie ukończyła w 1953 r. w łódzkiej PWST. Jest także absolwentką szkoły muzycznej w klasie fortepianu i śpiewu solowego. Karierę sceniczną zaczęła od występów w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu. Następnie pracowała w teatrach Zielonej Góry, Jeleniej Góry, Bielska-Białej, Lublina i Gorzowa Wlkp, skąd w 1990 roku odeszła na emeryturę.

Elementem scenografii w sali klubu były m.in. zdjęcia ze sztuk teatralnych. Na jednym z nich Anna Łaniewska rozpoznała siebie sprzed 20 lat w spektaklu „Tygrys tańczy dla Szu-Hin”, w którym partnerowała Ludwinie Nowickiej. O pracy scenicznej i pasjach ucze-

Był kombatantem – czynnym członkiem Szarych Szeregów i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Wśród licznych odznaczeń posiadał Krzyż Obrony Lwowa 1939.

W dniu 8 listopada Rodzina, Przyjaciele oraz organizacje społeczne z udziałem plutonu honorowego WP oraz Chóru Politechniki Szczecińskiej żegnali Zmarłego na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Cześć Jego Pamięci!

Zarząd TMLiKPW
Oddział w Szczecinie



Od lewej: Alina Horanin i Aleksander Maciejewski – aktorzy Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp. oraz Anna Makowska-Cieleń prowadząca Wieczornicę

nia się języków obcych przypominała Alina Horanin, kiedy jej Teatr „Instigo” grający w języku esperanto, wielokrotnie nagradzany, otrzymał zaproszenie do występów za granicą, uczyła się języka danego kraju. W ten sposób – oprócz esperanto – poznała j. francuski, włoski, niemiecki.

Podczas wieczoru były też osobiste wspomnienia. Helena Dobrowolska, przyjaciółka aktorki z czasów studenckich (mieszkały w jednym pokoju akademickim – przyp. A. M-C.), opowiedziała o wspólnym bytowaniu w młodzieńczych latach, a także o działalności śp. Ludwiny w gorzowskim Klubie Inteligencji Katolickiej.

Wspominałam już, że Ludwina Nowicka pracę zawodową łączyła z prowadzeniem teatrów amatorskich. Pod jej kierownictwem pracował Teatr Paroniów, działający na peryferiach miasta, Przystanek 101 czy Teatr Seniora. O niezwykłej energii i talencie pedagogicznym, o wnoszeniu radości, dobra i piękna – opowiadała najstarsza członkini Teatru Seniora Eugenia Ochocka, która odczytała wiersz gorzowskiej poetki Barbary Trawińskiej poświęcony zmarłej aktorce. Zdzisław Czubakowski, prezes gorzowskiego Oddziału Wspólnoty Polskiej, pamięta L. Nowicką od 1946 r. „Podziwialiśmy nie tylko jej talent, ale i niepospolitą urodę” – wspomniał. Przypomniał nam, że w latach sześćdziesiątych cała Polska podziwiała piękny portret Ludwiny Nowickiej, wykorzystany przez fotografa Zbigniewa Łackiego na okładce popularnego wówczas „Przekroju”.

Niezwykle ciekawe wiadomości przekazali obecni na wieczorze brat i bratowa aktorki. Okazało się, że pisała Ona systematycznie pamiętniki, o czym nikt nie wiedział. Na pewno warto czynić starania o ich publikację. Będzie to interesujący dokument ilustrujący życie prawdziwego człowieka, promieniującego przyjaźnią i miłością. Pozostały też listy, fotografie, a także kroniki ilustrujące bogaty dorobek współpracy ze wspomnianymi wcześniej teatrami zawodowymi i amatorskimi.

Treścią Jej ostatnich dni była praca z młodymi ludźmi, bo – jak często powtarzała – „warto ich serca zapalić”. Dyskutowała z nimi o twórczości Dostojewskiego, Norwida, Mrożka... Organizowała wycieczki do

teatrów w całej Polsce. Planowała wyjazd z grupą teatralną do Kolonii na Światowe Spotkanie Młodzieży. Nie zdążyła... Akurat choroba zabrała Ją na drugą stronę. Ci którzy Ją znali i pamiętają, wiedzą że śp. Ludwina jest „małym światłem, które wędruje przez noc współczesnego świata i na swojej drodze zapala zamarte gwiazdy” (Phil Bosmans). I chociaż już Jej nie ma, ten ciepły prąd uczynności odczuwać się będzie zawsze. Aniołami są ci, którzy promieniają dobrem. Aniołowie nie umierają.

Anna Makowska-Cieleń

Nowe książki

Ks. Józef Wolczański – Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939-1945. Materiały źródłowe, cz. 1, Kraków 2005, s. 590 + fotografie i mapa.

Okres zapoczątkowany rozpadem Związku Radzieckiego otworzył przed historykami możliwość badań naukowych w obszarach dotąd mało lub zgoła całkowicie niedostępnych. Uwaga ta dotyczy nie tylko problematyki represji sowieckiego reżimu względem podbitych narodów, ale także szerokiego kręgu zagadnień objętych ideologiczną cenzurą. Wśród nich istotne miejsce zajmuje zagadnienie martyrologii narodu polskiego z rąk ukraińskich nacjonalistów okresu II wojny światowej.

Problem ten podejmuje recenzowany tom źródeł, opracowany i podany do druku przez ks. prof. dra hab. Józefa Wolczańskiego, pracownika naukowego Wydziału Historii Kościoła Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Przedmiotem publikacji są sprawozdania kapłanów archidiecezji lwowskiej z lat 1939-1945, relacjonujące krwawe wydarzenia w poszczególnych parafiach, których sprawcami były zbrojne oddziały ukraińskich nacjonalistów. W książce zamieszczono nieznanych dotąd 306 raportów z 25 dekanatów. Najczęściej dokumenty te powstawały niemal *na gorąco*, pod bezpośrednim wpływem zaistniałych napadów i mordów dokonywanych na polskiej ludności. Miały na celu nie tylko poinformować Kurie Metropolitalną obrządku łacińskiego we Lwowie o tragicznych wydarzeniach, ale również utrwalić dramat Polaków poddanych bezwzględnej eksterminacji. Autorzy raportów nie spodziewali się bynajmniej jakichś skutków owych sprawozdań, bo Kościół katolicki nie miał żadnych możliwości interweniowania u władz niemieckich czy sowieckich na rzecz zabezpieczenia ludności przed zagładą ze strony Ukraińców. Stawiali

raczej na rzetelną dokumentację, która w przyszłości pozwoliłaby odsłonić Prawdę. Czas ten wreszcie nadszedł. Omawiany materiał był dotąd przechowywany w Archiwum Metropolii Lwowskiej najpierw w Lubaczowie, a ostatnio w Krakowie. Nigdy dotąd nie był dostępny dla badań naukowych.

Wydawca zatroszczył się nie tylko o prezentację źródeł, ale opracował je z zastosowaniem aparatu naukowego. Każdy dokument posiada bogatą dokumentację w formie przypisów, objaśniających szczegóły oraz ukazujących losy życiowe bohaterów w formie biogramów. Ten aspekt jest szczególnie ważny w omawianej pracy, bowiem czytelnik otrzymuje do ręki rzetelną porcję wiedzy historycznej, komentującej i merytorycznie wzbogacającej publikowane źródła. Do książki dołączono w postaci osobnej wkładki mapę archidiecezji lwowskiej z zaznaczeniem miejscowości opisywanych w prezentowanych dokumentach. Cennym wzbogaceniem edycji są fotografie osób duchownych i świeckich, zniszczonych ukraińskimi napadami kościołów oraz pośmiertne zdjęcia ofiar. Zamieszczono także facsimile kilkunastu oryginałów dokumentów. Ponadto na końcu widnieją indeksy: osobowy i geograficzny, ułatwiający tym samym orientację w zasobie książki. Całość poprzedza wprowadzenie pióra ks. prof. dra hab. Józefa Wolczańskiego.

Wydaje się, że recenzowana publikacja ma bezcenne wręcz walory historyczne. Nie można jej zarzucić manipulowania faktami, czy subiektywizmu w opisie wydarzeń, bo dokumenty mówią swoim własnym głosem. Z całą pewnością stanowią one wyjątkową bazę w procesie odsłaniania białych plam w przestrzeni stosunków polsko-ukraińskich nie tylko podczas II wojny światowej. W najbliższej przyszłości planowane są dalsze kolejne dwie części omawianej książki. Kolportaż prowadzi autor: ul. Warszawska 1/13, 31-155 Kraków, jak i Zarząd GŁ TMLiKPW we Wrocławiu. □

klubów żeglarskich oraz powstania floty handlowej, pasażerskiej i wojennej.

W celu zorganizowania na odpowiednim poziomie okazjonalnej wystawy i wydania informatora zwracamy się z uprzejmą prośbą do Czytelników czasopisma „Semper Fidelis” o przesyłanie interesujących nas materiałów na adres:

Koło Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch.
im. „Orląt Lwowskich”
ul. 10 lutego 10
81-301 Gdynia, skr. poczt. 397.

Nie wymagamy oryginalnych dokumentów – wystarczy kserokopie oraz spisanie wspomnień. □

Lista Ofiarodawców w miesiącach XII 2005 r. – I 2006 r.

1. Adam Zając, Rzeszów, pomoc świąteczna 50.-	12. Jerzy Prószyński, Wrocław, pomoc świąteczna 100.-
2. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica pomoc świąteczna 100.-	13. TMLiKPW Nysa, pomoc świąteczna dla Polaków 200.-
3. TMLiKPW Gorzów Wlkp., Cmentarz Łyczakowski 5120,36	14. Irena Stuchly-Solarewicz, Wrocław, pomoc świąteczna dla Polaków na Wschodzie 100.-
4. Karol Kuflowski, Olsztyn, pomoc świąteczna 100.-	15. Jerzy Pomersbach, Wrocław, pomoc świąteczna 50.-
5. Zofia Kempa, Trzebnica, pomoc dla Polaków na Wschodzie 100.-	16. Ewa Dziurzycka, Wrocław, pomoc świąteczna 30.-
6. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań 50.-	17. Józef Bieńko, Stalowa Wola, na wydawnictwo 50.-
7. Andrzej i Elżbieta Poraj-Malina, Warszawa ... 200.-	18. Helena Niwińska, Kraków, na wydawnictwo 50.-
8. Maciej Baranowski, Kancelaria Radcy Prawnego, Katowice 100.-	19. Janina Wolnicka, Sandomierz, na wydawnictwo 100.-
9. Czesław Chmiel, Wrocław pomoc świąteczna na Kresy 50.-	20. Eugeniusz Antoni Matula, Warszawa 50.-
10. Wanda Stojanowska, Wrocław pomoc świąteczna na Kresy 100.-	21. Mieczysław Wilczyński, Katowice 100.-
11. Jadwiga Dawidowicz, Wrocław, pomoc świąteczna 150.-	

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Greetings from Borderlanders to the Bishop of Wrocław	1
Kazimierz Wesolowski – Reflexions on the end of 2005	1
Helena Wiewiórska – The Borderlanders Abroad (cont.)	3
Aleksander Smoliński – Without "Fire and Sword" at Zbaraż and Brzeżany (cont.)	6
Piotr Marek Stański – The Lwów Theatre in Vienna and Paris	11
Piotr Marek Stański – The Hellers family: Mira, Ludwik and Irena Bohuss	12
Zbigniew Umański – Borderland chronicle	14
Maria Pawłowiczowa – War vicissitudes of priests in the East Borderland of the Second Polish Republic	20
Edward Poskier – History of Lwów breweries	22
Tadeusz Tomkiewicz – A Borderland triptych – Bukaczowce, Chreptów, Paczków	24
Zbigniew Kabata – The Banner – a poem	28
Józef Zając – Our Lady's sanctuaries in the Borderland	29
Zbigniew Umański – "From Kleparów to the wide world"	29
Piotr Franków – Polish Independence Day celebrated at Gorzów Wielkopolski	34
Krystyna Pustelnik, I. Kopeć – Successful quinquennium	37
Mieczysław Kostur – The VIth District Competition of Lwów Poetry and Song at Świdwin	38
Halina Bogucka – Competitions of Lwów song and poetry in Koszalin	40
Diary of the armoured train "Gen. Iwaszkiewicz" in the Polish-Soviet War of 1920 (cont.)	41
Bogumiła Rajca – Sixty years after expulsion of Poles from the East Borderland	45
Kazimierz Wesolowski – Tracing the saint from Lwów	49
Barbara Ruszel-Szymańska – Recollections of my Warsaw parents' long stay in Lwów	50
Danuta Braty – Santa Claus visiting Poles in the Borderland	52
Anna Kołodrubiec – To save from oblivion – descent of contemporary inhabitants of Oleśnica	53
Mariusz Oberc – The Bethlehem Star again in Przemyślany	57
Zbigniew Żyromski – Mysterious sarcophagus found in the basement of Jesuit Church in Lwów	58
OBITUARY COLUMN	
The late Irena Berg	60
Jerzy Duda – Rev. Prelate Kazimierz Bochenek (1914-2005)	60
Feliks Cały, Bolesław Kierski, Wacław Ogiński, Tadeusz Zachariasiewicz – The late Bolesław Broś (1921-2006)	61
The late Bolesław Broś	62
The late Kazimierz Kaźmierczyk (1920-2005)	63
Anna Makowska-Cieleń – Recollection of the Borderland actress Ludwina Nowicka (1929-2005)	63
New books	64
Information	64
List of Donors	65

Informacja

Informujemy uprzejmie, że w 2006 roku Rada Miasta Gdyni zamierza zorganizować wiele imprez z okazji 80-lecia powstania miasta.

W związku z tym zwrócono się do naszego Koła TML-u o dostarczenie wszelkich posiadanych materiałów dla przypomnienia i podkreślenia wielkiego wkładu społeczeństwa i władz Lwowa w narodzinach i rozwoju miasta Gdynia.

Szczególnie zależy nam na materiałach dotyczących żaglowca „Lwów”, obchodów dni Święta Morza,



*Pomnik dłuta Cypriana Godebskiego, odsłonięty w 1901 r. (na skraju parku Kościuszki we Lwowie).
Agenor hr. Gołuchowski namiestnik Galicji, mąż stanu.
Zniszczony – kiedy?*